

TAJNIKI POLITYKI
Jak założyć partię,
która się przebiję

LAS JEST NASZ!
I ty możesz obronić
swój krajobraz

KOŚCIÓŁ, NAUKA I LGBT+
Słowa rodzą przemoc,
pora wrócić do rozumu

POLACY WYWOŁANI
Wędrowny Zakład
Fotograficzny

Kraków 25 sierpnia 2019 nr 34 (3659)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Dlaczego pijemy

- **W Polsce
alkohol łatwiej
kupić niż chleb**
- **Trzy czwarte z nas
pije głównie w domu**
- **Telewizje nadają
7 godzin reklam
piwa dziennie**



weź, czytaj!

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”

W PRENUMERACIE

4 wydania* **wraz z dostawą do domu**

za **69 zł**



* oferta dotyczy 4 kolejnych (począwszy od „Zwierzeń zwierząt”) wydań (3,4/2019 i 1,2/2020).

Zamów je na powszech.net/prenumeruj

** okładki przedstawiają wydania archiwalne – chcesz je otrzymać? Napisz: zamowienia@tygodnik.com.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę
TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate,
na której podane są ceny

**Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl**

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez
internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela
Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263
(w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail:
kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	
Slot (13 numerów)	99 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze
na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALES MANAGO
marketing automation



KS. ADAM

Boniecki: Przeciwnik wasz, diabeł, krąży

IRYTUJE MNIE PRZYPISYWANIE POLSKIEMU Kościołowi ogromnego wpływu na społeczeństwo – a więc i odpowiedzialności za jego wszystkie naganne postawy. Oczywiście ludzie biją brawo, gdy z ambony słyszą potwierdzenie swoich fobii i uprzedzeń, ale kiedy usłyszą, co papież, najwyższy autorytet Kościoła, mówi np. o stosunku do uchodźców, entuzjazm jest wyraźnie mniejszy. Na niektórych działa jeszcze autorytet konkretnych kościelnych postaci, kiedyś prymasa Wyszyńskiego, Jana Pawła II, a dziś, *toutes proportions gardées*, księdza Rydzyka. Nie jest to jednak żaden „rząd dusz”. Nie te czasy.

Piszę to, przypominając sobie rok ósmy Wielkiej Nowenny (1964/65), poświęcony „na walkę z narodowymi wadami: pijaństwem, lenistwem, marnotrawstwem”. Albo słowa bp. Tadeusza Bronakowskiego, przewodniczącego Zespołu KEP ds. Apostolstwa Trzeźwości, o tym, że „sierpień jako miesiąc abstynencji jest przeżywany od 1984 r. ze względu na przypadające w tym czasie święta maryjne i rocznicę odnowienia Jasnogórskich Ślubów Narodu”. Zważywszy na fakt, że od tego czasu spożycie alkoholu znacznie wzrosło, można zwątpić w siły rzekomego wpływu Kościoła na nasze społeczeństwo.

Nie chcę przez to kwestionować znaczenia „miesiąca trzeźwości” ani Wielkiej Nowenny. Gdyby nie działalność Kościoła, to przypadająca na statystycznego Polaka porcja czystego alkoholu byłaby jeszcze większa. Sierpniowa wstrzeźliwość tych, którzy ją podejmują (na ogół zresztą nie są to alkoholicy), ma znaczenie – to również gest solidarności z ofiarami alkoholizmu. We wczesnych latach 70. XX w., kiedy w Rzymie były jeszcze osiedla nędzy Acquadotto Felice i Tor Fiscale, podobne do brazylijskich faweli, spotkałem w nich księdza, don Silvio, który mieszkając tak, jak



jego sąsiedzi *baracatti*, nie używał i nie podawał do posiłków wina. On i wspierający go wolontariusze ze wspólnoty *focolarich* byli abstynentami właśnie po to, aby okazać solidarność z mieszkającymi tu rodzinami alkoholików.

Takie gesty jak „miesiąc trzeźwości” są potrzebne. Kościół od dawna angażuje się też jednak w konkretne działania. Przykładowo: Licheń. W 1999 r., z okazji wizyty Jana Pawła II, zapoczątkowane tu wcześniej inicjatywy przybrały postać profesjonalnego Licheńskiego Centrum Pomocy Rodzinie i Osobom Uzależnionym. Posługujący pielgrzymom marianie wiedzieli, że przychodzący do nich skruszeni alkoholicy, a także ich udęczone rodziny potrzebują nie tyle pobożnych pouczeń, co konkretnej pomocy. Od ponad dwudziestu lat księża, zamiast powtarzać bezsilne słowa, kierują tych ludzi do Centrum. Takich miejsc jak Licheń jest wiele. Wybrałem ten przykład (nieco *pro domo sua*), by przypomnieć, że Licheń to nie tylko zdjęty z pomnika kustosze, ale wiele ludzi i dzieł (np. istniejące na terenie sanktuarium hospicjum) służących ludziom.

Niestety, ani państwo, ani Kościół nie uporały się w Polsce z alkoholizmem. Państwo zawsze było i jest kuszone dochodami z akcyzy (wpływy z akcyzy i VAT-u za alkohol oraz wyroby tytoniowe wynoszą ok. 40 mld złotych rocznie), Kościół zaś swoje działania obronne ostatnio skupił na „tęczowym niebezpieczeństwie”. Nadal jednak społecznych inicjatyw kościelnych służących najsłabszym są w Polsce tysiące. Media ogólnopolskie milczą o nich, jeżeli nie zostaną ujawnione w nich jakieś nadużycia. Media lokalne nie mogą ich przemilczać – są zbyt ważne i obecne w życiu społeczności.

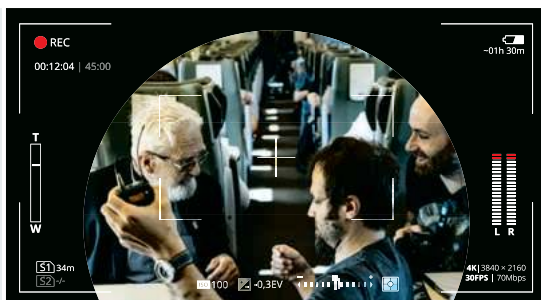
Pierwszy papież św. Piotr pisał do pierwszych chrześcijan: „Bądźcie trzeźwi! Czuwajcie! Przeciwnik wasz, diabeł, jak lew ryczący krąży szukając, kogo pożreć” (1 P 5, 8). On wiedział, że nietrzeźwość jest diabelnie niebezpieczna.

©P

TP

Zostań mecenasem filmu o ks. Bonieckim!

Pomysł na filmowy portret księdza Bonieckiego powstał kilka lat temu, a reżyserka Aleksandra Potoczek realizuje zdjęcia już od wielu miesięcy.



W tym czasie ekipa filmowa przejechała z księdzem Adamem blisko 30 tys. kilometrów. Producent dokumentu, Fundacja Tygodnika Powszechnego, wciąż zbiera pieniądze na dokończenie nad nim prac. Dzięki Państwa hojności udało się już zebrać **82 proc.** potrzebnej kwoty, nadal jednak prosimy o wsparcie. Wpłaty można dokonywać przez Facebooka lub bezpośrednio na konto Fundacji.

Zbiórka na Facebooku:
powszech.net/film

Fundacja Tygodnika Powszechnego, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Konto w Santander Bank Polska S.A.: 31 1910 1048 2006 1845 1121 0001, w tytule przelewu: „Film”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



20 Jak założyć partię, która się przebiję

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Liczą się pomysł, emocje i efekt świeżości, nie program, historia i skład osobowy.



28 Musi szumieć

MICHAŁ KSIĄŻEK
*Nie pozwolimy
wyciąć naszego
lasu – mówią
mieszkańcy
Szumina na
Mazowszu.
I twardo negocjują
z leśnikami.*



32 Kłopot z ciałem

ARTUR SPORNIAK

*Polskie spory o LGBT+
osiągnęły niebezpieczny poziom:
od przemocy słownej coraz łatwiej
przechodzimy do fizycznej.
Najwyższy czas wrócić do rozumu.*



50 Sahel: wojna na krzyżówce świata

MARCIN ŻYŁA

*Na południe od Sahary trwa walka z dżihadystami.
Eksperti ostrzegają: jeśli Zachód nie ochroni cywilów,
powtórzy błędy z Afganistanu i Libii.*

64 Koniec wędrówki

Z AGNIESZKĄ
PAJĄCZKOWSKĄ,
FOTOGRAFKĄ,
ROZMAWIA ADAM
ROBIŃSKI:

*Nigdzie mi się
nie spieszyło, nie
miałam problemu
z tym, żeby przez
półtorej godziny
rozmawiać
o wnukach czy
operacji kolana,
skrobiąc ziemniaki.
To stało się
ważniejsze niż
zdjęcia.*



69 Głos pokolenia Y

DOROTA KOZIŃSKA

*Gdyby wielbiciel Jakuba Józefa Orlińskiego nie mieli możliwości
dawania upustu emocjom w internetowych komentarzach,
z pewnością mdleliby i wypadali z łóż.*

6 Taniej już było
MAREK RABIJ

7-11 Wiadomości / Komentarze

18-19 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

**20 Jak założyć partię,
która się przebijie**
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

25 Sojusz lewicy ideologicznej
PAWEŁ MARCZEWSKI:
*Lewica pozostaje w narożniku,
który wskazał jej PiS*

28 Musi szumieć
MICHAŁ KSIĄŻEK

■ ■ **WIARA**

32 Kłopot z ciałem
ARTUR SPORNIĄK

36 Powaga oślicy Balaama
ALBERT GORZKOWSKI: *Ironia
i satyra w Biblii mają budować,
a nie niszczyć*

38 Ołtarz czy mihrab
MARCELINA SZUMER-BRYSZ
*Spór o Hagię Sophię nie ustaje,
a prawo do świątyni roszczą sobie
nie tylko muzułmanie*

■ ■ **ŚWIAT**

42 Most nad Dońcem
PAWEŁ PIENIAŻEK: *Prezydent
Ukrainy obiecał odbudować most
w Donbasie, ale to nie jest proste*

46 Co dalej ze sprawą Epsteina
JAN SMOLEŃSKI: *Śmierć
miliardera oskarżonego
o wykorzystywanie seksualne
nieletnich wywołała w USA
spekulacje*

TEMAT TYGODNIKA



WOJCIECH STROZYK / REPORTER

12 Co nam pływa w kieliszku

MAREK RABIJ

W Polsce spożycie alkoholu na głowę nie należy
do najwyższych w Europie. A mimo to
najważniejsze pytanie o picie wciąż brzmi u nas:
„ile?”, a nie – „po co?”.

15 Do dna

ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM BRZÓŻKĄ, BYŁYM
DYREKTOREM PAŃSTWOWEJ AGENCJI
ROZWIĄZYWANIA PROBLEMÓW ALKOHOLOWYCH:

Jeśli chodzi o alkohol, jesteśmy w tym samym
miejscu, w którym przemysł tytoniowy
był w latach 70.

■ **FELIETONY** ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER 41 SZYMON HOŁOWNIA

76 JAN KLATA

77 PAWEŁ BRAVO 82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: FOT. RONNIE CHUA / ADOBE STOCK / MONTAŻ „TP”
Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

49 Babie lato z brexitem

PATRYCJA BUKALSKA:
*Na Wyspach Brytyjskich
trwa burzliwy czas w polityce*

**50 Sahel: wojna na krzyżowce
świata** MARCIN ŻYŁA

53 Tygodnik Czytelników

■ ■ **HISTORIA**

54 Dwakroć zafałszowany
REMIGIUSZ OKRASKA: *Kazimierz
Pużak i paradoksy pamięci
o niepodległościowych socjalistach*

■ ■ **NAUKA**

58 Krajobraz po powodzi
JAREK GRYZ: *Rzeka danych
generowanych przez ludzkość
płynie coraz szerszym strumieniem*

61 Wielkie miraż
MICHAŁ ECKSTEIN:
*Automatyczne algorytmy
i gigantyczne bazy danych*

■ ■ **KULTURA**

64 Koniec wędrówki ROZMOWA
Z AGNIESZKĄ PAJĄCZKOWSKĄ

69 Głos pokolenia Y
DOROTA KOZIŃSKA

72 Beznadzieja młodości JAKUB
MAJMUREK o serialu „Euforia”

74 Bułka z czekoladą
ANITA PIOTROWSKA o filmie
Pedro Almodóvara „Ból i blask”

76 Podróżnicy
LEKTOR o książce Julii Boyd
„Wakacje w Trzeciej Rzeszy”

■ ■ **WAKACJE**

78 Warholand
JAKUB MEJER: *Muzeum Warhola
w Medzilaborcach jest jak
wieża z kości słoniowej*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Strona świata: Jemen**

W trwającym dziesiąty rok krwawym konflikcie pojawił się nowy front
– **WOJCIECH JAGIELSKI** opisuje, jak przeciwko sobie zwrócili się
dotychczasowi sojusznicy, a Jemen stanął przed groźbą rozpadu
tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ **Kryzys klimatyczny – serwis specjalny**

Tematu klimatycznej katastrofy nie da się już dłużej ignorować
– w **SERWISIE SPECJALNYM** poruszamy na bieżąco
najważniejsze zagadnienia związane z naszą planetą.
tygodnikpowszechny.pl/kryzys-klimatyczny



**WOŚ
SIĘ JEŻY** wolność równość ekonomia

Co czwartek na TygodnikPowszechny.pl



f /TygodnikPowszechny ■ t /Tygodnik ■ i /Tygodnik ■ y YouTube /TygodnikPowszechny



OBRAZ
TYGODNIA

TANIEJ JUŻ BYŁO

Susza to nie wszystko. Słabsze plony są dla działających w Polsce sieci handlowych dogodnym pretekstem do przyspieszenia tempa podwyżek cen żywności co najmniej do europejskiej średniej.

MAREK RABIJ

CZERWIEC BYŁ SZÓSTYM MIESIĄCEM Z RZĘ-
du, w którym rosły ceny towarów i usług.
W styczniu inflacja zwiększyła się o 0,7 proc.,
w lutym – 1,2, w marcu – 1,7, w kwietniu – 2,2,
w maju – 2,4, a w czerwcu o 2,6 proc. Drożało
wszystko, ale najszybciej żywność. Nic dziw-
nego, że z braku mocniejszych tematów media
pośrodku sezonu ogórkowego epatują cenami
kapusty, która poszła w górę o 500 proc. w skali
roku, czy ziemniaków, które tylko w maju po-
drożały o 100 proc. Winowajcą jest oczywiście

susza rolnicza, która w maju i w czerwcu utrzy-
mywała się w aż 15 z 16 województw.

Rodzimi sprzedawcy żywności mogą oczy-
wiście kupować surowce za granicą. Rzecz
w tym, że pogoda nie sprzyja zbiorom nie
tylko w Polsce. Jak podaje Eurostat, tego-
roczne zbiory zbóż w Europie będą o co naj-
mniej 7 proc. słabsze od zeszłorocznych, naj-
gorszych od lat. Ale czy to wystarczy do wy-
jaśnienia skokowego wzrostu cen żywności
w Polsce?

4.06.2019 Łódź.
Lidl. Zakupy
w Lidlu. Torebki
foliowe.

Wiele wskazuje na to, że przyczyn należy poszukać także w strukturze naszego handlu. Tylko w latach 2010-16 udział dziesięciu największych sieci handlowych w Polsce wzrósł z 43 do poziomu 58 proc. rocznej wartości handlu spożywczego – wynika z raportu firmy badawczej Roland Berger. W tym roku – jak szacuje ta sama firma – ponad 60 proc. z 245 mld zł wydanych w Polsce na żywność trafi do kas wielkiej handlowej dziesiątki.

Na koncentrację w polskim handlu detalicznym od lat skarżyli się rolnicy, pokazując niskie ceny skupu, jakie narzucają im wielkie sieci. Argumentem za nieregulowaniem mechanizmów rynkowych, które dużych czynią jeszcze większymi, od lat były jednak ceny żywności, które – jak przekonują branżowi lobbyści – bez hipermarketowego filtra byłyby nie do udźwignięcia dla przeciętnej polskiej rodziny.

Warto zadać pytanie, czy ta argumentacja ma jeszcze sens. Owszem, za jedzenie płacimy nadal o 36 proc. mniej niż przeciętny Europejczyk – tak wynika z danych Eurostatu za 2017 r. Rzecz w tym, że w 2016 r. różnica sięgała 40 proc. W ciągu tylko 12 miesięcy nadrobiliśmy więc 3,2 pkt proc. średniej unijnej ceny. A prościej – ceny żywności rosły u nas dużo szybciej niż w Europie.

Prezes dużej polskiej firmy drobiarskiej (rozmówca już nie żyje, niech więc pozostanie anonimowy, jeśli nie może wyrazić zgody na ponowne przytoczenie jego słów w innym kontekście) tak mówił mi w wywiadzie przed trzema laty: „My dziś sprzedajemy do dużych sieci handlowych parówki drobiowe po ok. 4 zł za kilogram i nawet przy naszych mocach produkcyjnych właściwie na tym nie zarabiamy. Tymczasem inne firmy, należące do międzynarodowych koncernów mięsnych, to samo potrafią zaoferować sieciom po 3,5 zł za kilogram. Ich polskie oddziały ciągną na wielomilionowych stratach. Myśli pan, że tam w centralach menedżerowie nie potrafią liczyć? Przeciwnie, wkalkulowali już te straty w koszty inwestycji w wielki polski rynek, który za kilka, najpóźniej kilkanaście, lat zwróci im to z nawiązką”.

©

KRAJ W SKRÓCIE

CYTAT PIERWSZY. „Błędne i nieprawdziwe ideologie chcą zatruć nasze serca i umysły w odniesieniu do najbardziej świętych rzeczy. (...) Nie możemy na to pozwolić, bo to także nas obraża” (abp Marek Jędraszewski podczas procesji maryjnej w Kalwarii Zebrzydowskiej).

CYTAT DRUGI. „Są dzisiaj w naszym kraju tacy, którzy chcą się wedrzeć do naszych rodzin, do naszych szkół, przedszkoli i naszego życia. Oni chcą odebrać nasze świętości i nasze prawa. (...) To trzeba odeprzeć” (Jarosław Kaczyński na pikniku rodzinnym w Stalowej Woli).



GRZEGORZ BUKALA / REPORTER

CYTAT TRZECI. „Wszystkiego najlepszego, zdrowia, a potem spełnienia marzeń dotyczących wytopienia czerwonej i tęczkowej zarazy” (życzenia Roberta Popkowskiego, radnego Sejmiku Wielkopolskiego, złożone w mediach społecznościowych konińskiemu radnemu PiS).

CYTAT CZWARTY. „Umiesz kręcić pupą, fajnie ruszasz się / Obiektem pożądania właśnie stała się” (wokalista zespołu discopolowego Weekend do wybranej z publiczności dziewczynki podczas transmitowanego przez telewizję publiczną koncertu w Kielcach).

CYTAT PIĄTY. „Nie bardzo rozumiem, jak ktoś mówi, że broni w Polsce demokracji. Demokracji w Polsce nigdy nie było” (Paweł Kukiz na wiecu wyborczym w Płocku).



MARCIN ŻYŁA, autor tekstu o wojnie na Sahelu (s. 50), będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia Tok FM w środę 21 sierpnia o godz. 16.00.
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

W kogo uderzył ten nóż



MICHAŁ OKOŃSKI

PODCZAS ZAMKNIĘTEJ IMPREZY W POZNAŃSKIM KLUBIE występujący przed niewielką publicznością performer zainscenizował zabójstwo abp. Marka Jędraszewskiego (a mówiąc precyzyjniej: plastikowej lalki z przyklejonym w miejsce twarzy zdjęciem metropolity krakowskiego). Zdjęcia ze zdarzenia, opublikowane początkowo na portalu społecznościowym, zamieściła następnie większość mediów – obejrzał je zapewne każdy zainteresowany biegiem spraw publicznych w Polsce.

W kraju, w którym kilka miesięcy temu zamordowano prezydenta Gdańska, trudno lekceważyć akty nawet symbolicznej przemocy. Oto dlaczego w sprawie kwietniowego spalenia kukły Judasza w Pruchniku wypowiadał się przedstawiciel episkopatu, a dwóch uczestników wydarzenia usłyszało zarzuty (były to skądinąd zarzuty: nieobyczajnego zachowania, nieostrożnego obchodzenia się z ogniem i tamowania drogi publicznej). Oto dlaczego niejaki Piotr Rybak za spalenie kukły Żyda we Wrocławiu został skazany na więzienie. Oto dlaczego w sprawie poznańskiej również wypowiadają się politycy i rzecznik biskupów, a prokuratura wszczyna postępowanie sprawdzające.

Tych kilku zdań nie piszę jednak z oczywistej skądinąd potrzeby potępienia przemocy. Piszę (pokonując niechęć związaną z wpisywaniem się w opisany na tych łamach przez Andrzeja Stankiewicza scenariusz, zgodnie z którym wywoływanie lęku przed LGBT+ jest jednym z pomysłów na kampanię wyborczą PiS, jak niegdyś było nim straszenie uchodźcami), żeby zwrócić uwagę na fakt, że poznański performer uderzył przede wszystkim w tych kilka procent polskiego społeczeństwa, które odnajduje się w skrócie LGBT+.

W mrocznych fantazjach niejednego prawicowego publicysty, a może nawet i biskupa, osoby te nie przypominają obywateli takich samych jak większość społeczeństwa i stanowią figurę obcego. Otóż figura ta, niestety, otrzymała właśnie twarz *drag queen* posługującej się pseudonimem Mariolkaa Rebell. O ileż łatwiej wykluczać ze wspólnoty lub straszyć przebraną postacią wymachującą ze sceny nożem (i jak łatwo wtedy się nie zastanawiać: z poczucia bezsilności? z rozpacz?) niż własnym sąsiadem czy współpasażerem w pociągu, który od pozostałych nie różni się niczym prócz orientacji seksualnej.

Szanse na spokojną rozmowę o prawach osób LGBT+, o opresji słownej, która je spotyka w minionych tygodniach, o dyskryminacji i lęku, które są ich udziałem, nigdy nie były wielkie, ale teraz jeszcze zmalały.

©

Kamiński chce być potężny

ANDRZEJ STANKIEWICZ



WRAZ Z NOMINACJĄ MARIUSZA KAMIŃSKIEGO NA szefa MSWiA powstaje największy rządowy aparat bezpieczeństwa od czasu upadku komunizmu. Decyzja w tej sprawie to jednak niespodzianka. Po pierwsze, gdyby premier Morawiecki miał coś do powiedzenia, raczej wyrzuciłby z rządu Kamińskiego, który od objęcia władzy przez PiS jest koordynatorem służb specjalnych. Po wtóre, niedawno szefową MSWiA została Elżbieta Witek, a to resort, który nie lubi częstych zmian. Po trzecie, marne są efekty działań służb Kamińskiego na odcinku tropienia przekrętów PO – z głośnego „audytu” rządów Tuska, który Kamiński wygłosił w 2016 r. w Sejmie, niewiele się ostało.

Ale prezes PiS wciąż Kamińskiemu ufa. Owego zaufania nie nadszarpnęło nawet to, że syn ministra został namierzony na lukratywnym stanowisku w Banku Światowym. Niezbyt efektowny, skryty Kamiński dzięki Kaczyńskiemu po cichu, ale systematycznie rozszerza swoje wpływy. Cel jest jeden: stworzenie mniej lub bardziej formalnego Ministerstwa Bezpieczeństwa Narodowego, najpotężniejszej instytucji w kraju. Nominacja na szefa MSWiA to najpoważniejszy krok na tej drodze. Kierując służbami specjalnymi, Kamiński dostaje teraz do ręki nowe, potężne narzędzia: służby mundurowe, na czele z policją. Do tego prezesem NIK zostanie wkrótce zaprzyjaźniony z nim minister finansów Marian Banaś.

Kiedy Kamiński dwa lata temu zgłosił pomysł powołania superresortu, PiS się nie zdecydował. A projekt był brawurowy: nowy twór miał być wywiadem, kontrwywiadem, formacją zwalczającą terroryzm oraz superpolicją. „W przypadku uzasadnionym interesem służby” miał prawo odmówić przeprowadzenia zleconego przez prokuraturę śledztwa.

Ale ta nominacja to spore ryzyko. Kamiński opiera władzę na wąskiej grupie współpracowników. Takie zarządzanie można sobie wyobrazić w małym CBA, ale nie w policji. Z drugiej strony to nie ma być ministrem będzie się musiał liczyć albo się go bać. I może to jest klucz do tej nominacji. ©



IAN GRACZYŃSKI / EAST NEWS



TYTUS ZMIJEWSKI / PAP

STÓJ I PŁAĆ. „W ocenie Izby, interesy Skarbu Państwa i użytkowników autostrad płatnych w umowach koncesyjnych nie zostały w pełni zabezpieczone” – piszą kontrolerzy NIK w raporcie na temat funkcjonowania autostrad prowadzonych przez prywatnych inwestorów. Co z punktu widzenia kierowców najważniejsze, ustalone przez koncesjonariuszy stawki opłat za przejechanie kilometra autostrady są znacznie wyższe niż na państwowych, a brak jawności zawieranych umów rodzi znaki zapytania związane ze standardami obsługi; strona publiczna traci także m.in. na niekorzystnych modelach finansowania budowy i utrzymania dróg oraz rozkładu ryzyka. Korki na autostradach publicznych i prywatnych są, na szczęście, takie same.

© M O

Dziwna śmierć z aferą w cieniu

W KILKUOSOBOWEJ CELI warszawskiego więzienia miał popełnić samobójstwo Dawid Kostecki – zdaniem prowadzącej śledztwo w sprawie jego zgonu prokuratury powiesił się na prześcieradle, zaczepionym o górną pryzę, samemu leżąc na dolnej, ukryty pod kocem. W tę wersję wydarzeń nie wierzy rodzina oskarżonego o kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą byłego boksera: krewni uważają, że do śmierci Kosteckiego mogły się przyczynić osoby trzecie, i apelują o ponowne przeprowadzenie sekcji zwłok. Przez media przewinęła się m.in. informacja o znalezionych na szyi denata śladach świadczących o nakłuciach igłami, które biegli uznali wcześniej za „zadawnione strupy”; inna niepokojąca wiadomość dotyczy próby popełnienia samobójstwa przez kolejnego więź-

nia mającego zeznawać w tej samej sprawie co Kostecki.

Zmarły był ważnym świadkiem w tzw. aferze podkarpackiej, dotyczącej funkcjonujących tam (i ochraniających ponoć przez skorumpowanych lokalnych funkcjonariuszy Centralnego Biura Śledczego) agencji towarzyskich; prowadzący te agencje bracia R. handlowali kobietami, a przy okazji mieli gromadzić kompromitujące nagrania z udziałem swoich klientów, wśród których znajdowali się także politycy. Przed wiadomością o samobójstwie Dawida Kosteckiego śmierć poniosło dwóch innych świadków w tej sprawie.

Politycy Koalicji Obywatelskiej wystosowali pisma domagające się wyjaśnień ze strony prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry i nadzorującego Służbę Więzienną wiceministra sprawiedliwości Michała Wójcika, żądają także pilnego zwołania posiedzenia sejmowej komisji sprawiedliwości i praw człowieka.

© OKM

Wołanie z wysp Pacyfiku

RATUJCIJE TUVALU, RATUJCIJE ŚWIAT – śpiewały dzieci, witając delegatów z 18 państw w Funafuti, najludniejszym atolu archipelagu Tuvalu, położonego na Pacyfiku. To jeden z 48 krajów, które do 2100 r. znajdują się pod wodą, jeśli uprzemysłowiona część świata nie ograniczy emisji gazów cieplarnianych.

Przebieg tegorocznego Forum Wysp Pacyfiku pokazuje, że widmo zatonięcia całych państw to słaby argument w starciu z kalkulacją gospodarczo-polityczną. Nie udało się przyjąć deklaracji wzywającej do globalnego zakazu budowy nowych elektrowni węglowych i radykalnego ograniczenia węgla w energetyce. Gdy pytano premiera Tuvalu, czy zastrzeżenia do tych postulatów zgłosiło państwo na literę A, Enele Sopoaga odpowiedział: „Tak, absolutnie”. Jedynym krajem Forum, którego nazwa zaczyna się na A, jest Australia. Węgiel to jej drugi najważniejszy towar eksportowy, a premier Scott Morrison wspiera górnictwo.

Wicepremier Australii Michael McCormack oskarżył mieszkańców tonących wysp, że wymuszają na jego kraju zamknięcie opłacalnego przemysłu. A przecież, do wodził, miejsca pracy czekają na nich w Australii. Mylił się premier Tuvalu, sądząc, że jeśli zadba o gości – racząc ich daniami z owoców morza i zabawiając tradycyjnym tańcem fatele – to dostrzegą, iż Tuvalu to polinezyjski mikrokosmos, o który warto walczyć.

Premier Fidżi, Frank Bainimarama, w wywiadzie dla „Guardiana” oskarżył Australię o znieważenie wyspiarskich narodów. Na pytanie, czy Fidżi poszuka wsparcia w Pekinie, odpowiedział: „Chińczycy nas nie obrażają. (...) To dobrzy ludzie, zdecydowanie lepsi od Morrisona”. Pochlebstw wobec Pekinu nie powstrzymał fakt, że Chiny to największy globalny emitent CO₂.

Czy wzbierający gniew małych, zagrożonych zatonięciem narodów okaże się – wobec polityki Australii – cennym orężem Pekinu w geopolitycznej batalii o ten region Pacyfiku, historycznie będący dotąd w australijsko-amerykańskiej strefie wpływów? © AGATA KASPROLEWICZ



PACIFIC ISLANDS FORUM

Półwysp Koreański: marzenia i testy

ZJEDNOCZENIE KOREI ma się dokonać w 2045 r., w setną rocznicę wyzwolenia Półwyspu spod okupacji japońskiej – tak chciałby prezydent Korei Południowej Moon Jae-in, który swoje plany przedstawił 15 sierpnia, z okazji święta, upamiętniającego to właśnie wydarzenie (Dzień Wyzwolenia celebrowany jest po obu stronach granicy). Moon poprzysiągł też przypieczętować denuklearyzację i zapewnić pokojowe współistnienie obu krajów jeszcze za swojej kadencji.

Optymizm Moona nie wytrzymuje jednak zderzenia z rzeczywistością. Po fiasku

szczytu amerykańsko-północnokoreańskiego w Hanoi, gdy Donald Trump przedwcześnie opuścił obrady, obserwujemy impas w dialogu z Koreą Północną. Od 25 lipca jej przywódca Kim Dzong Un regularnie testuje rakiety (ich zasięg nie przekracza jednak 500 km). Ostatni test, w miniony piątek, został określony przez północnokoreańskie politbiuro jako „idealny”.

Trump zdaje się tego nie dostrzegać: dopiero co ogłosił, że otrzymał kolejny „piękny list” od Kima. Dyktator miał go w nim przeprosić za swoje wojenne popisy (które mają być odpowiedzią na ćwiczenia wojskowe na Południu) i zaprosić do wznowienia rozmów. Według Trumpa możemy się ich spodziewać w niedalekiej przyszłości. © ROMAN HUSARSKI z Seulu

Rosja: awaria zwiastuna burzy

ANNA ŁABUSZEWSKA



NAZWA TEJ SKRZYDLATEJ RAKIETY z silnikiem o napędzie jądrowym „Buriewiestnik” (Zwiastun burzy) historykom literatury rosyjskiej skojarzy się z poematem Gorkiego „Pieśń o zwiastunie burzy”. To dynamiczny utwór o przecuciu bliskiej rewolucji i upojeniu jej żywiołową siłą. Natomiast to, co przydarzyło się rakiecie „Buriewiestnik” na sekretnym poligonie koło Siewierodwińska 8 sierpnia, nie zwiastuje rewolucji. Każde natomiast zadać wiele pytań, na które trudno znaleźć odpowiedzi na podstawie nikłych i bałamutnych danych oficjalnych i licznych teorii konspiracyjnych w mediach społecznościowych. Co Rosja testuje? Czy prace nad nową Wunderwaffe Putina, którą rok temu chwalił się w prezentacji komputerowej, są na ukończeniu? Czy awarie – ta w Siewierodwińsku oraz z okrętem-batyskafem „Łoszarik” – oznaczają porażkę ambitnych planów Kremla uzyskania przewagi militarnej nad USA?

Rekonstrukcja wydarzeń na poligonie doświadczalnym nie jest łatwa – rosyjskie władze dołożyły starań, aby obraz zaciemnić. Na dobrą sprawę nie wiadomo, czy były to testy „Buriewiestnika”. Taką myśl poddał Donald Trump i potwierdzają ją niektórzy eksperci.

Znamienna jest tu gra informacyjna Rosji, jako żywo przypominająca schemat czarnobylski: dementować informacje, np. o podniesionym poziomie radiacji w okolicach poligonu, aby następnie – gdy o zaburzeniu tła powiadomiła Norwegia, a miejscowa ludność masowo zaczęła wykupywać jod w aptekach – niechętnie przyznać, że poziom jest szesnastokrotnie przekroczony. Wiadomo, że podczas awarii zginęło siedem osób, w tym pięciu naukowców, a kilku rannych odwieziono do szpitala. Nie powiadomiono przy tym lekarzy, że mają do czynienia z napromieniowanymi pacjentami. Po kilku dniach w mediach pojawiła się wiadomość, że w organizmie jednego z medyków stwierdzono obecność cezu-137.

Czy to koniec niespodzianek, jakie niesie ze sobą „Zwiastun burzy”? ©

Bez „Więzi” Polska nie ma środka

JAKO PIERWSZE CZASOPISMO w historii Patronite, „Więź” przekroczyła poziom stu tysięcy złotych przekazanego wsparcia. Patronite to serwis, który umożliwia pozyskiwanie comiesięcznego wsparcia od sympatyków danego przedsięwzięcia. Po dwóch latach zbiórki „Więź” zajmuje ósme miejsce wśród najlepiej zarabiających profili pod względem sumy comiesięcznego wsparcia (8380 zł). „To przykład potencjału niezależnego dziennikarstwa, finansowanego dzięki sile społeczności” – powiedział Mateusz Górski z Patronite. Ostatnio „Więź” przechodzi kłopoty finansowe. Zbiórka pozwoli finansować działalność w sieci.

„Więź” to katolicki serwis internetowy, drukowany kwartalnik, wydawnictwo oraz think tank: Laboratorium „Więzi”. Pierwszy numer miesięcznika „Więź” ukazał się w lutym 1958 r. – na fali popaździernikowej odwilży. Redaktorem naczelnym został Tadeusz Mazowiecki. Pismo przeciwstawiało się m.in. rozpętanej przez komunistyczne władze kampanii antysemitkiej w marcu 1968 r., a w 1976 r. stanęło w obronie prześladowanych robotników. Dziś z pozycji katolicyzmu otwartego na świat porusza najważniejsze problemy społeczno-polityczno-kulturalne, takie jak solidarność społeczna, populizm, zranieni w Kościele, klerykalizm.

Jak ważnym przedsięwzięciem jest „Więź”, pokazała też nasza miniankieta. Poprosiliśmy kilku autorów i współpracowników, aby dokończyli zdanie: „Bez »Więzi«...”. Oto wyniki: „Polska nie ma środka” (Tomasz Ponikło); „Chrześcijaństwo w Polsce byłoby mniej mądre” (Wojciech Bonowicz); „Katolik bez »Więzi« jak starzec bez życia chęci” (o. Józef Puciłowski); „Zabrakłoby nam ważnych świadectw o tym, że więź z Kościołem jest także budowaniem więzi między ludźmi” (s. Barbara Chyrowicz).

© P ASK



Redaktorki i redaktorzy „Więzi” z portretami Tadeusza Mazowieckiego.

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

AGENDA. „Czy to papież, czy organ ONZ?” – pytały konserwatywne media po wywiadzie Franciszka dla dziennika „La Stampa”. W rozmowie ani razu nie pojawiło się słowo „Bóg”, była za to mowa o lodowcach, plastiku, lasach, segregacji śmieci oraz o populistach i nacjonalistach, którzy interes własnego narodu przeciwstawiają dobru wspólnemu wszystkich ludzi.

RESPEKT. Zaproszony na jasnogórskie uroczystości abp Jan Romeo Pawłowski z Watykanu mówił za to o „flagach, marszach i pochodach”, które chcą nas „oszukać, stłamsić i poniżyć”. Także o „blichtrze pseudowolności” w duchu „róbta, co chceta” i „zrodzonych w chorych umysłach ideologiach”, wprowadzanych „za judaszowe pieniądze”. Kazanie zakończył apelem o narodową jedność – by wszyscy Polacy byli „wielką rodziną, gdzie każdy ma miejsce, godność i własne zdanie, respektujące drugiego”.

LICZENIE. By wziąć udział w uroczystościach Wniebowzięcia (i wysłuchać homilii abpa Pawłowskiego), do Częstochowy przyszło pieszko 70 tys. osób (4 tys. więcej niż rok temu). Najdalej mieli pielgrzymi z Helu (638 km w 19 dni). Ponad 9 tys. wiernych przyjechało rowerami, a 330 osób przybiegło. Były też pielgrzymi na rolkach, motocyklach i koniach.

ROZLICZANIE. Inny sposób spędzania wakacji wybrał ks. Łukasz Kachnowicz, znany lubelski duszpasterz, który w czerwcu poinformował o „przejściu na urlop”. Gdy zaczął pojawiać się na marszach LGBT+, abp Stanisław Budzik, ordynariusz lubelski, nakazał mu powrót do diecezji. Kachnowicz ogłosił, że nie zamierza wracać do kapłaństwa ani ukrywać się ze swoją orientacją seksualną. Coming out zakończył się suspensą.



MANUEL RUEDA / CNS / KAI

SZAMAN ISIDORO JAJOY z plemienia Inga błogosławi uczestników spotkania przedsynodalnego w Bogocie (Kolumbia; 14 sierpnia 2019 r.).

W obradach wzięli udział biskupi, księża, siostry zakonne i wierni świeccy. Na życzenie papieża tego typu spotkania odbywają się we wszystkich 9 krajach regionu Amazonii. Błogosławieństwo szamana zwińczyło wspólną ekumeniczną modlitwę kończącą panel dyskusyjny o nowych drogach Kościoła i ekologii integralnej.

© P

Tajemnica pod pręgierzem



MACIEJ MÜLLER

WOLĘ WIĘZIENIE NIŻ ZŁAMANIE TAJEMNICY SPOWIEDZI – zadeklarował arcybiskup Melbourne Peter Comensoli, komentując trwające w australijskim stanie Victoria prace nad przepisami nakazującymi księżom informowanie organów ścigania o wszelkich znanych przypadkach pedofilii. Pod sankcją dwóch lat więzienia będą zobowiązani donieść także o przestępstwach, o których dowiedzieli się podczas spowiedzi. Analogiczne przepisy wprowadziły już – lub zamierzają to zrobić – pozostałe stany i terytoria australijskie. Na początku lipca watykańska Penitencjaria Apostolska przypomniała, że spowiednik dowiaduje się o grzechach „nie jako człowiek, ale w imieniu samego Boga”.

Abp Comensoli tłumaczył, że Kościół zachęca spowiedników do nakłaniania osób wyznających grzech pedofilii, aby „wyznały swe czyny poza konfesyjonałem”. „Prawa dzieci muszą mieć pierwszeństwo przed starożytnymi rzymskimi tradycjami” – powiedział tymczasem premier Victorii Daniel Andrews. Chrissie Foster, znana działaczka na rzecz ofiar, przypominała zeznania pedofila ks. Michaela McArdle’a z 2004 r.: spowiadał się ze swoich przestępstw ponad 1500 razy 30 różnym spowiednikom; zalecali mu modlitwę.

Trudno jednak wyobrazić sobie spowiedź bez chroniącej ją tajemnicy.

© P

Nowa ścieżka do bólu

ŁUKASZ ŁAMŻA



SKÓRA NASZPIKOWANA JEST ROZMAITYMI receptorami bólu (czyli nocyceptorami), w najprostszej postaci będącymi po prostu „nagimi” wypustkami neuronów, które aktywują się w reakcji na wysoką lub zimną temperaturę albo uszkodzenie mechaniczne. To wiemy od lat. W połowie sierpnia Hind Abdo z Karolinska Institutet i współpracownicy opisali w „Science” niespodziewaną rolę odgrywaną przez mniej znany, a równie istotny co neurony, składnik układu nerwowego: komórki glejowe. Określa się je czasem jako „pomocników” neuronów, jednak dziś wiemy, że to gruba niesprawiedliwość, a ich liczne odmiany pełnią rozmaite funkcje również w zaawansowanych procesach poznawczych, takich jak uczenie się.

Teraz na granicy między naskórkiem i skórą odkryto odrębną populację komórek glejowych – tzw. nocycepcyjne komórki Schwanna – inicjujących sygnał bólowy. Dzięki eksperymentom na myszach udało się potwierdzić, że ich aktywacja wywołuje taką samą reakcję co „zwykły” ból. Pozostaje do zbadania, czy odpowiadają one za jakiś konkretny aspekt ludzkiego przeżycia bólu. Ból bowiem – o czym łatwo się przekonać, na próbę szczypiąc się w skórę lub kłując się igłą, równocześnie z uwagą „wczuwając się” w pojawiające się doznanie – kryje w sobie wiele bogatej treści, a badania anatomiczne tego typu nieodmiennie prowadzą do głębszego zrozumienia pierwszoosobowych przeżyć cielesnych. © P



KOLIZJA JOWISZA. Zebrane przez sondę Juno dane sugerują, że jądro Jowisza jest rozproszone. Ten gazowy olbrzym zbudowany jest również z pierwiastków cięższych niż wodór i hel – odpowiadają one za 5–15 proc. masy całej planety, jednak obszar ich występowania sięga niemal połowy jej promienia. To sytuacja nietypowa – u nowo powstających planet ciężkie pierwiastki opadają zwykle szybko ku środkowi planety, tworząc zbitą, gęstą kulę, jak choćby metaliczne jądro naszej Ziemi. Według Shang-Fei Liu i współpracowników młody Jowisz mógł zderzyć się z inną, ogromną protoplanetą, która rozbiła jego jądro i sama rozpadła się na kawałki, do dzisiaj spowite w obłokach gazu. © P ŁK

Ebola niedługo uleczalna?

SŁOWA „PRZEŁOM” lepiej w medycynie nie nadużywać, ale jest to jedna z lepszych wiadomości ostatnich lat: w Demokratycznej Republice Konga, gdzie trwająca od roku epidemia gorączki krwotocznej ebola zabiła już niemal 1900 osób, przetestowano z sukcesem dwie metody leczenia choroby. Przeciwciała zawarte w eksperymentalnych lekach REGN-EB3 i mAb114, podawane pacjentom szybko po zarażeniu, w ok. 90 proc. neutralizowały działanie wirusa ebola na ludzkie komórki. Nowe leki wypróbowano od listopada na siedmiuset chorych – od teraz mają być podawane wszystkim, u których stwierdzono obecność wirusa. Wiadomość ma też znaczenie psychologiczne;

może sprawić, że osoby z pierwszymi objawami zarażenia ebolą będą chętniej zgłaszać się do klinik. Wcześniej leczenie choroby było wyłącznie objawowe; w odnotowanych dotychczas jej ogniskach endemicznych śmiertelność wynosiła od 53 do 88 proc.

Do końca epidemii w Kongu (zdaniem WHO największego wyzwania w zakresie zdrowia publicznego w historii) jest jednak daleko. W minionym tygodniu pierwsze przypadki eboli zanotowano w kolejnej prowincji kraju – graniczącym z Rwandą Kiwu Południowym. 24-letnia kobieta, którą już w lipcu zakwalifikowano do grupy wysokiego ryzyka (miała kontakt z chorymi), zmarła mimo otrzymania eksperymentalnej szczepionki, testowanej z sukcesem w Kongu. © P MARCIN ŻYŁA

KULTURA W SKRÓCIE

GRA O TRON.

Autor cyklu powieściowego, z którego czerpał słynny serial HBO, czuje się wyzwolony po zakończeniu jego emisji. W wywiadzie dla „Observera” George R.R. Martin zapewnia, że pisząc dwie powieści, które mają domknąć sagę, nie będzie z kolei czerpał z serialu.

SKĄD CZERPAŁ TOLKIEN?

Na festiwalu Literacki Sopot Ryszard Derdziński, znawca twórczości autora „Władcy Pierścieni”, podzielił się z widzami wynikami badań dowodzących, że jeden z przodków Tolkiena urodził się w osiemnastowiecznym Gdańsku. Wyciągnięcie wniosków z tej wiadomości pozostawiamy ministrowi kultury.

DOBRZE BY BYŁO.

Minister Piotr Gliński bowiem wyciąga wnioski nader chętnie. „To dobrze, że Polka otrzymuje prestiżową nagrodę – mówi o sukcesach międzynarodowych Olgi Tokarczuk. – Dobrze by było, żeby była rozsądną polską pisarką, która by rozumiała polskie społeczeństwo i polską wspólnotę. To zresztą przestanie do wszystkich polskich wybitnych artystów, którzy często używają bardzo mocnych słów i złych emocji w swych wypowiedziach publicznych”.

SEZON FESTIWALOWY.

Co się zaś tyczy festiwali: z wielu wakacyjnych propozycji kulturalnych w tym tygodniu wybraliśmy Cieszanów Rock Festival, gdzie zagrały m.in. Hańba, Inkvizycja, KSU i Armia, w strefie City NGO można było spotkać także ekipę „Tygodnika Powszechnego”.



GRZEGORZ BUKAŁA / AG



CO NAM PŁYWA W KIELISZKU

W Polsce spożycie alkoholu na głowę nie należy do najwyższych w Europie. A mimo to najważniejsze pytanie o picie wciąż brzmi u nas: „ile?”, a nie – „po co?”.

MAREK RABIJ

NIEDAWNO SKOŃCZYŁEM TRZYDZIEŚCI lat. Szkołę – kilkanaście lat temu. Jestem mężczyzną. Mieszkam na wsi lub w małym mieście, zwykle już z własną rodziną. Nigdy nie głodowaliśmy, nasz status materialny uległ nawet w ostatnich latach zauważalnej poprawie, ale domowy budżet właściwie co miesiąc

spinamy praktycznie na zero. Nie mam też wyraźnych poglądów politycznych, choć obyczajowo bliżej mi do tych, dla których rodzina to chłop i baba, a nie jakieś tęczne dyrdymały.

Jeszcze słowo o naszym domowym budżecie, bo jest w nim pozycja, która dla mnie ma kluczowe znaczenie. To alko-

hol. W zeszłym roku co miesiąc wydawałem na niego średnio 362 zł. Rocznie – ponad 4,3 tys. zł. Wystarczyłoby na przykład na zakup luksusowej polisy na życie, ale nie znam nikogo, kto by taką miał. Nie mam też wielu takich znajomych, którzy w drodze do roboty nie zaglądają do monopolowego po „małpkę” lub ćwiartkę

z czymś mocniejszym, a wieczorem nie chcą odpocząć przed telewizorem, sącząc piwko. Albo i trzy.

Poznajmy się – jestem jednym z tych 17 proc. Polaków, którzy co roku kupują blisko 70 proc. alkoholu sprzedawanego w sklepach w całym kraju. W przyszłym roku będą mistrzostwa Europy w piłce nożnej, pewnie więc zostawię w monopolowych więcej. Oszczędzać to można na wakacjach lub remoncie domu, a nie na piwie po 2 – 3 zł za puszkę. Nie kalkuluje się, jak to mówią.

Alkohol zajmuje w moim życiu zbyt wiele miejsca? Bzdura. Traktuję go w sumie jak powietrze. Ono też jest wszędzie.

W czterech ścianach

*Czysta wódka, cały stół w ogródkach,
browar i gorzka żołądkowa.*

Ja zostaję tu do jutra.

*To tradycja narodowa jak pieprzony
karp i kutia.*

*Smirnoff, Bols i Lodowa w naszej krwi
jak Kuruniowska.*

(PEZET/NOON, „SZÓSTY ZMYŚL”, 2004)

Do powyższego portretu stałego klienta sklepu monopolowego w Polsce trzeba dodać jeszcze jeden pozornie nieistotny, ale bardzo ważny element. W odróżnieniu od nacji południowych – i podobnie jak większość mieszkańców Europy Północnej – pijemy wciąż głównie w domowym zaciszu, w czym bez wątpienia pomaga gęsta sieć ponad 250 tys. punktów sprzedaży alkoholu (więcej na ten temat w wywiadzie na kolejnych stronach). W badaniu CBOS aż 75 proc. ankietowanych jako miejsce, gdzie najbardziej lubi pić, wskazywało właśnie swój dom. Tymczasem pierwsze badanie różnic kultury picia alkoholu, przeprowadzone trzy lata temu w 19 krajach Europy, udowodniło, że ten kameralny model konsumpcji, na pierwszy rzut oka mniej dotkliwy dla społeczeństwa, paradoksalnie, niesie ze sobą zwiększone ryzyko powstania okołoalkoholowych patologii. Odsetek osób przyznających się do picia w sposób ryzykowny (co najmniej trzy – cztery porcje wybranego napoju przy każdej nadarzającej się okazji, przy założeniu, że takowe okazje trafiają się raz na tydzień) wahał się we wspomnianym badaniu od 10 proc. dla Włoch aż do 60 proc. dla Wielkiej Brytanii, Litwy i krajów nordyckich. Polska znalazła się w tym zestawieniu niebezpiecznie blisko liderów, z od-

setkiem ryzykownie pijących na poziomie 40 proc.

Sposób, w jaki spożywamy alkohol, jest więc zarazem jednym z głównych powodów wzrostu jego konsumpcji, obserwowanego w Polsce właściwie bez przerw już od połowy lat 90. W domowym zaciszu, w towarzystwie krewnych lub przyjaciół, picie po prostu przestają towarzyszyć bezpieczniki społecznej kontroli, wstydu i odpowiedzialności. Łatwiejsze staje się także przenoszenie zwyczajów konsumpcyjnych z pokolenia na pokolenie. Wśród ryzykownie pijących Polaków jedynie 20 proc. nie mieszkało w dzieciństwie w domu, w którym także pito systematycznie alkohol.

W głośnej „Antropologii codzienności” prof. Roch Sulima stawia tezę, że libacje alkoholowe nadal stanowią w Polsce narzędzie służące „wyzwalaniu i wzbogacaniu grupowych ekspresji”. Wspólne picie to z pewnością rytuał i doświadczenie zbiorowe. Taka obserwacja nie wyczerpuje jednak odpowiedzi na kluczowe pytanie: czego w epoce, która zdaje się mieć konsumpcyjną ofertę na każdą okazję, szukamy po staremu na dnie kieliszka?

Ulga w procentach

*I właściwie kto wódki nie pije,
ten jest wywrotowcem, tak
Świadomie uszczuplającym dochody
państwa – bezieidowcem.*

(KAZIK STASZEWSKI,
„CZTERY POKOJE”, 2000)

Kiedy na początku 2012 r. to pytanie zadał Polakom TNS OBOP, aż 68 proc. ankietowanych wskazało na chęć odreagowania codziennego stresu. Być może należałoby połączyć tamte wyniki z obserwacjami późniejszego badania ADP „The Workforce View in Europe 2017”, z którego wynikało, że 22 proc. Polaków codziennie doświadcza stresu w miejscu pracy. Tak wysokiego odsetka osób, którym praca kojarzy się z napięciem psychicznym, badacze nie odnotowali w żadnym z krajów Europy (w Hiszpanii, która zamykała ranking, stres towarzyszył w pracy zaledwie co dziesiątemu zatrudnionemu). A przecież gdy powstawał ten ostatni raport, polski rynek pracy wychodził już z ponaddwudziestoletnich mroków bezrobocia, sięgającego w niektórych momentach i regionach kraju nawet 40 proc.

Systematyczny wzrost spożycia alkoholu można więc uznać za jeszcze jedną

pozycję w narodowym rachunku transformacji ustrojowej, ślad zbiorowej terapii przeprowadzanej domowymi sposobami przez Polaków przeżywających ciężko konfrontację z gospodarką wolnorynkową. Badania prowadzone w latach 90. przez Elżbietę Tarkowską pokazały, że dla osób wykluczonych ekonomicznie alkohol stanowił podstawowe lekarstwo na poczucie zawieszenia między życiem, które już odeszło (likwidacja zakładu pracy), a nieznaną jeszcze przyszłością. W mniej uderzeniowej dawce mógłby rzeczywiście stanowić narzędzie do radzenia sobie z codziennymi troskami mniejszego kalibru.

Drugą najczęściej podawaną przyczyną sięgania po kieliszek w badaniu TNS OBOP były względy towarzyskie i obyczajowe. Aż 18 proc. ankietowanych czuło ze strony znajomych i przyjaciół presję, która zmuszała ich do picia. Co dziesiąty badany nie wyobrażał sobie urodzin bez alkoholu, a 6 proc. odnotowało identyczne oczekiwania także w związku z imieninami. Bez względu na to, czy spotykaliśmy się ze znajomymi i przyjaciółmi (52 proc. respondentów), czy z najbliższą rodziną (29 proc.) lub dalszymi krewnymi (26 proc.) – wszędzie dało się zaobserwować oczekiwanie, że do kompanii dołączy także alkohol.

Dr Jacek Moskalewicz, kierownik zespołu badań nad alkoholizmem w Instytucie Psychiatrii i Neurologii, powszechną obecność alkoholu w codziennych rytuałach Polaków wiąże po prostu z jego widocznością na polskich ulicach. W wielu sklepach spożywczych wódka, piwo i wino sąsiadują na półkach z produktami pierwszej potrzeby. W niedziele niehandlowe pracują stacje benzynowe i niektóre małe sklepy osiedlowe, w których asortyment alkoholi zwykle znacznie przewyższa wybór pieczywa czy nabiału. Obecność reklam producentów piwa nie budzi zastrzeżeń już nie tylko w telewizji, ale także podczas wydarzeń sportowych, koncertów i innych imprez masowych. W rezultacie zanika, jak mówi badacz, także konsensus co do tego, że użycie alkoholu podlega szczególnym normom społecznym, zbędnym przy konsumpcji innych dóbr spożywczych. Tymczasem w naszej kulturze wyłączono prawie wszystkie te normy, zauważa dr Moskalewicz.

– Chociaż coraz mniej pije się w pracy oraz za kierownicą. Jest poprawa – dodaje. ➔

→ W badaniu ARC Rynek i Opinia sprzed trzech lat aż 93 proc. ankieterów potępiło siadanie za kierownicą w stanie po spożyciu. Zmianę społecznego klimatu wokół jazdy po pijanemu widać jeszcze lepiej w policyjnych statystykach, w których w latach 2004-18 liczba wypadków drogowych spowodowanych przez nietrzeźwych kierowców spadła z 3888 do 2134 – czyli o nieco ponad 45 proc. W tym samym okresie łączna liczba wypadków na polskich drogach zmniejszyła się tylko o 38,1 proc.

We wspomnianym badaniu 87 proc. ankieterów kategorycznie potępiło także picie podczas ciąży, a 90 proc. nie podobało się łączenie alkoholu z opieką nad dziećmi. Niestety, nie widać tej zmiany w statystykach medycznych, które rokrocznie notują mniej więcej stałą liczbę noworodków z alkoholowym zespołem płodowym (FAS).

Klub opojów i oźralców

Jeżeli nie wypijający kielicha swego, broniąc się od dolewki sąsiada, wyniósł go w górę albo za siebie uchylił, pachotek na to czatujący sprawnie mu go dolał; jeżeli skrył go pod stół, toż samo zrobił mu siedzący pod stołem służka.

(JĘDRZEJ KITOWICZ, „OPIS OBYCZAJÓW”, KONIEC XVII W.)

Wspomniany zanik norm społecznych kierujących spożyciem alkoholu, rzecz jasna, nie zaczął się w Polsce dopiero po

1989 r. W gruncie rzeczy można nawet pokusić się o pytanie, czy korpus takich norm zdołał się kiedykolwiek wykryształizować i upowszechnić na ziemiach polskich. Pierwszy polski wiersz, „O zachowaniu się przy stole” przypisywany Przecławowi Słocie, milczy wprawdzie o pijaństwie, ale był to zapewne zabieg edukacyjny zgodny z duchem epoki, która w trzeźwości widziała jeden z warunków zbawienia. Bliższe tamtej rzeczywistości są raczej opowieści kronikarzy. Wincenty Kadłubek pisał, że „nałóg biesiadowania nieprzyjacielem jest cnotliwości”, ale jako dowód przytaczał historię Kazimierza Sprawiedliwego, abstynenta, który urządzał pijatyki, po pierwsze, „aby z odurzonych umysłów innych ludzi dowiedzieć się, jakich zalet jemu samemu brakuje. Po wtóre, aby poznać sądy innych o sobie. Po trzecie, aby od spojo-nych gości potajemnie wydostać knowania przeciw sobie, których nie może wydobyc od trzeźwych”.

Kroniki i życiorysy polskich władców i wielmożów spływają alkoholem, choć trzeba uczciwie zaznaczyć, że w stopniu co najmniej takim samym jak dzieje innych domów panujących. Władysław Jagiełło był abstynentem, podobnie jak jego najmłodszy syn Kazimierz Jagiellończyk, który w dodatku – jak pisał szczerze tym zdumiony kronikarz Marcin Bielski – „w łaźnicy się rad często myjał”.

Inni Jagiellonowie za kołnierz jednak nie wylewali. Jan Olbracht, któremu „wy-

ginęła szlachta” podczas nieudanej ekspedycji mołdawskiej, po powrocie do Krakowa oddawał się nocnym rajdom po mieście, podczas których z lubością wszczynał burdy. Podczas jednej z takich pijackich eskapad władca „trafił na jakieś pacholki pijane”, czego efektem były – co zafascynowany Reformacją Bielski odnotował zapewne ku przestrodze – liczne rany cięte na królewskiej twarzy.

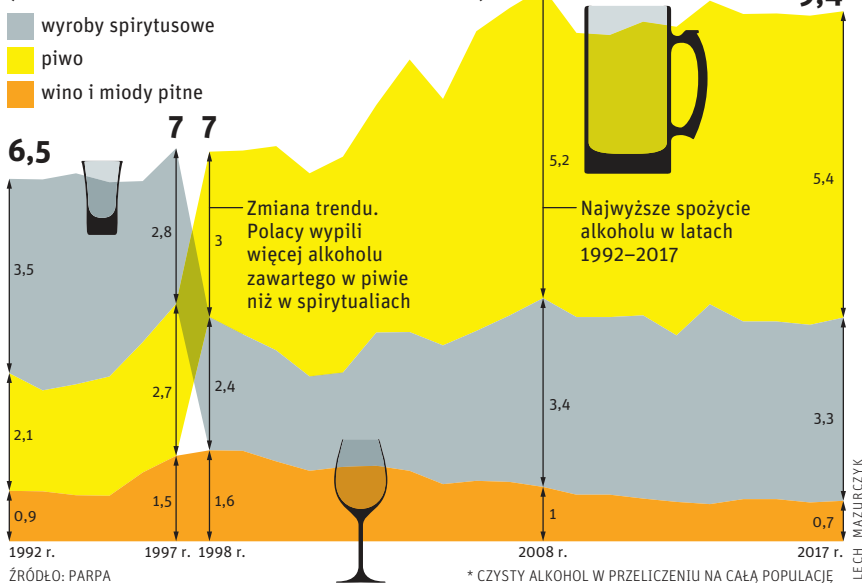
Jeśli wierzyć innemu kronikarzowi, Marcinowi Kromerowi, alkoholizm toczył również kardynała Fryderyka Jagiellończyka, który nie stronił od tęgich libacji w towarzystwie dam wątpliwej konduity, aż „w plugawej nieczystości gnijąc i mitrząc, nawet chorobą francie złamany umarł”. Zygmunt Stary sam pił z rzadka, ale innym nie wzbraiał; na Wawelu działał nawet półformalny „klub opojów i oźralców”, którego wyczyny król śledził z rozbawieniem. Jeden z jego członków, Korybut Kosztyński, wypracował oryginalne rozwinięcie nauki antycznych epikurejczyków, w którym ataraksję udało mu się zastąpić alkoholem.

Czas gorzałki

Najczęściej pito wówczas piwo, rzadziej – wino. Upowszechnienie mocnego alkoholu przyniósł dopiero kryzys ekonomiczny, który rozszalał się w Rzeczypospolitej po wojnie trzydziestoletniej. W realiach powojennej Europy gospodarka folwarków szlacheckich, oparta na eksporcie zboża, natrafiła na poważne trudności. Plantatorzy pozostali z nadwyżkami w spichrzach i szybko doszli do wniosku, że najkrótsze wyjście z tych problemów prowadzi przez gorzelnię. Jeszcze w pierwszej połowie XVII wieku w Wielkopolsce jedna destylarnia przypadała średnio na ponad 50 wsi. Sto lat później gorzelnia działała już w co dziesiątej wiosce, a pod koniec istnienia Rzeczypospolitej jedna przypadała na 6–7 wsi. Mocna, czasem nawet 80-procentowa, gorzałka była po prostu łatwiejsza w przechowywaniu od niepasteryzowanego piwa, gwarantowała też producentom wyższą marżę na każdym kilogramie zboża wykorzystanego do produkcji. Nic dziwnego, że już pod koniec XVII wieku alkohol na ziemiach polskich po raz pierwszy stał się wyznacznikiem statusu społecznego. Szlachta piła nadal piwo oraz wino i coraz częściej zaglądała do butelek z wódką (wtedy właśnie to słowo, znane polszczyźnie mniej więcej od czasów Kazimierza Wielkiego, za-

CO PILI POLACY

(SPOŻYCIE ALKOHOLU* W LITRACH NA 1 MIESZKAŃCA)



cznie zastępować „okowitę” i „gorzałkę”). Chłopi upijali się natomiast już niemal wyłącznie powszechne dostępną i taną wódką, która szybciej dawała też upragnione poczucie odurzenia.

XIX wiek przyniósł na ziemię polskie także kartofle, co jeszcze bardziej obniżyło koszty produkcji mocnych destylatów. W połowie stulecia na terenie zaboru rosyjskiego spożycie czystego alkoholu na głowę oficjalnie wynosiło 12 litrów rocznie, ale sami carscy urzędnicy szacowali jego rzeczywisty poziom na około 38 litrów rocznie na osobę! Generał Iwan Paskiewicz, pogromca powstania listopadowego, w 1844 r. zwrócił się nawet do cara o ukaz ograniczający swobodę produkcji alkoholu; zmusiły go do tego kolejne raporty lekarzy o tragicznej kondycji zdrowotnej rekrutów z terenu zaboru. Tamta ingerencja władcy i późniejsze restrykcje sprawiły, że mieszkańcy ziem polskich pod zaborem rosyjskim weszli w XX wiek w stanie względnej trzeźwości (ok. 2 litrów czystego alkoholu na głowę).

Polska w epoce międzywojennej nie miała większych kłopotów z alkoholizmem – choć bardziej za sprawą problemów gospodarczych niż z trzeźwosciowego wyboru. Dżina polskiego alkoholizmu wypuścili z butelki dopiero Niemcy, nie żałując alkoholu okupowanym ziemiom. Szarżowna 45 lat PRL-u dopełniła dzieła wojennego zniszczenia.

*Zbożowa kawa, smalec, chleb
Salceson czasem, kiedy jest
(...)*

*Przez osiem godzin praca wre
Jak z bicza strzelił minął dzień
Już w domu siedzi przed ekranem
Na stole flaszką z marcepanem
Dziś chłopcy grają ważny mecz
Przez cały czas w ataku nasi,
A niech to szlag. Znowu nie ma bramki
I szlus – nie udał rewanż się.*

(EDWARD STACHURA,
„PIOSENKA ROBOTNIKA RANNEJ ZMIANY”)

Czym uraczyłby się dzisiaj w drodze do pracy bohater piosenki Stachury? Pewną sugestią mogą być statystyki sprzedaży alkoholu, z których wynika, że Polacy każdego dnia kupują dziś ponad 2,7 mln stumililitrowych „małpek” zawierających zwykle kolorową wódkę, której nie trzeba niczym zagryzać. Co trzecia znika z półki sklepowej między godziną 6 a 9 rano.

©© MAREK RABIJ

Do dna

KRZYSZTOF BRZÓZKA, BYŁY DYREKTOR PAŃSTWOWEJ AGENCJI ROZWIĄZYWANIA PROBLEMÓW ALKOHOLOWYCH:

Jeśli chodzi o alkohol, jesteśmy w tym samym miejscu, w którym przemysł tytoniowy był w latach 70. Kowboj w reklamie jeszcze się uśmiecha z petem w zębach, ale producenci już wiedzą, jakie szkody ich wyroby wyrządzają konsumentom.

MAREK RABIJ: Czym wznioł Pan toast za swoją dymisję?

KRZYSZTOF BRZÓZKA: Panie redaktorze, poważnie?

Tak naprawdę chciałem zapytać, czy jest Pan abstynentem. I czy ciężko odnaleźć się w cywilu po 13 latach kierowania agencją?

Nie przepadam za mocnymi alkoholami. Jeśli już, to rzemieślnicze piwo lub kieliszek wina. A co do dymisji, powiem tak: doszedłem już do siebie. Wie pan, nie chodzi o to, że minister mnie zwolnił. Miał prawo. Ale słowa o utracie zaufania były ciosem poniżej pasa.

Szef PARPA w autoryzowanym wywiadzie dla dużego portalu mówi, że 13 lat urzędowania uważa za stracone, bo kolejne rządy w Polsce chodzą na pasku producentów alkoholu. A Pan się dziwi, że minister nadzorujący agencję traci do Pana zaufanie?

Pan minister nie jest dzieckiem. Jest lekarzem i to, o czym mówiłem, musi być dla niego oczywistością. Instytucje państwa przegrały walkę z producentami alkoholu o zdrowie Polaków. A dokładniej – walkę o zmianę postrzegania miejsca i funkcji alkoholu w codziennym życiu. W tym sensie także moje 13 lat w PARPA muszę ocenić *in minus* w kontekście kierunku polityki państwa. Gdy zaczynałem, przeciętny Polak powyżej 15. roku życia wypijał rocznie niecałe 9 litrów czystego alkoholu rocznie. W 2017 r. było to już niemal 12 litrów. No, niech pan sam powie: to sukces?

Nieśmiało przypomnę, że kierował Pan agencją powołaną do rozwiązywania problemów alkoholowych.

Pan problem widzi tymczasem w samym alkoholu.

Tak, uważam, że alkohol to trucizna. Substancja psychoaktywna, a mówiąc językiem potocznym – po prostu narkotyk. Do tego dostępny przez całą dobę, siedem dni w tygodniu, na każdym kroku.

Teraz się nie dziwię się, że krytycy nazywają Pana radykałem.

Widzi pan, mój stosunek do alkoholu ewoluował w trakcie kierowania agencją, ale nie na podstawie prywatnych resentymentów. Ja się w tym czasie po prostu dowiedziałem mnóstwa nowych rzeczy o mechanizmach występujących w branży alkoholowej i o samym alkoholu, jego oddziaływaniu na ludzki mózg, cały organizm, wreszcie na funkcjonowanie pijącej jednostki w społeczeństwie. Gdybyśmy rozmawiali nawet 13 lat temu, powiedziałbym, że się cieszę z tego, iż pijemy mniej wódki. Teraz, mądrzejszy o lekturę raportów Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) i kilkuset badań specjalistów od psychosomatyki i toksykologii, twierdzę: alkohol w każdej dawce to trucizna. Nie mogę się więc cieszyć ze zmiany sposobu picia, jeśli jednym z jej efektów jest także wzrost spożycia czystego alkoholu. Według WHO to właśnie alkohol jest trzecią najczęstszą przyczyną zgonów w społeczeństwach rozwiniętych, po chorobach układu krążenia i papierosach.

Już Paracelsus wiedział, że trucizną jest dawka, nie substancja.

Ale nie miał dostępu do nowoczesnego arsenału badawczego, który by mu szybko uświadomił, jak bardzo się myli. W ostatnim ćwierćwieczu nastąpił gigantyczny postęp w badaniach nad

→ wpływem spożycia alkoholu na organizm. Dopiero od niedawna medycyna śledzi te skutki na poziomie komórkowym. Dlatego WHO w ostatnich raportach radzi, żeby pożegnać się z mrzonkami o tzw. bezpiecznym spożyciu alkoholu. To trucizna o powolnym działaniu i mocnym potencjale uzależniającym.

Lekarze od lat ostrzegają, że alkohol szkodzi.

A w telewizji mamy reklamy piwa, które wypełniają co roku 2530 godzin czasu antenowego. Każdego dnia przeciętny widz przez prawie siedem godzin jest wystawiony na oddziaływanie reklamy, która mu syczy do głowy coś innego, niż mówią lekarze. Konfrontuje się go z przekazem, który właściwie stawia znak równości między zadowoleniem z życia a piciem alkoholu.

Bombardują też reklamy szamponów, które obiecują mu piękne włosy, ale nikt nie zaczyna przez to myć włosów trzy razy dziennie. Raczej zmienia markę szamponu.

No i Polacy zmienili – tyle że czystą wódkę na piwo. Z chwilą kiedy w televi-

zji pojawiły się reklamy piwa, zaczęło też rosnąć spożycie czystego alkoholu. Nielogiczne to na pierwszy rzut oka, bo piwo to przecież raptem 4,5–5 proc. Tylko że wypijając pół litra jasnego piwa, spożywamy 20 gramów czystego alkoholu, podczas gdy w pięćdziesiątce wódki jest go 16 gramów. Wiedział pan o tym?

Nie.

To jest pan w dobrym towarzystwie 95 proc. Polaków, którzy nie mają o tym pojęcia, cytuję wyniki badań sprzed bodaj trzech lat. A teraz, panie redaktorze, małe ćwiczenie na logikę. Jak nazwałby pan kogoś, kto codziennie wieczorem wypija w domu pięćdziesiątkę wódki?

Nie wiem, jak bym nazwał, ale chyba zacząłbym się o niego martwić.

A teraz niech pan sobie zada pytanie, ilu zna pan ludzi, którzy codziennie wieczorem wypijają jedno piwo, siedząc przed telewizorem.

Pamiętam, jak w jakimś badaniu ankietowany odpowiedział, że pija alkohol sporadycznie. A tuż za moment przyznał, że codziennie wypija dwa–trzy piwa. Bo piwo to nie alkohol.

Takie myślenie ciągnie się w Polsce od lat. Pod koniec 1982 r. Jaruzelski, który sam był abstynentem, ustąpił nieco Solidarności i Kościołowi, wprowadzając ustawę o wychowaniu w trzeźwości. To właśnie w niej pojawiło po raz pierwszy piwo jako alternatywa dla mocnego alkoholu. Ustawa traktowała piwo właściwie jako napój orzeźwiający. I tak już zostało.

Zdrowy rozsądek podpowiada, że chyba dobrze zrobiliśmy, zamieniając 12 litrów alkoholu na łebka, wypijanych pod koniec lat 80. głównie pod postacią wódki, na prawie 12 litrów etanolu, które w ponad połowie spożywamy w piwie.

Zaraz pewnie pan powie, że piwo ma witaminy i sole mineralne.

A Pan zaprzeczy?

Nie. Ale uściślę, że piwo, które opisywał ustawodawca w 1982 r., było jeszcze piwem warzonym podług zasad prawa bawarskiego, czyli wyłącznie z wody, chmielu, siodu jęczmiennego lub pszennego oraz drożdży. Gdyby pan miał szansę sprawdzić, co zawiera teraz lager z przeciętnego dużego browaru, złapałby się pan za głowę. Barwniki, glukozy, skrobia kukurydziana. Bo jeśli piwo ma kosztować poniżej dwóch złotych i mieć prawie siedem woltów, to trzeba je sztucznie podkręcić.

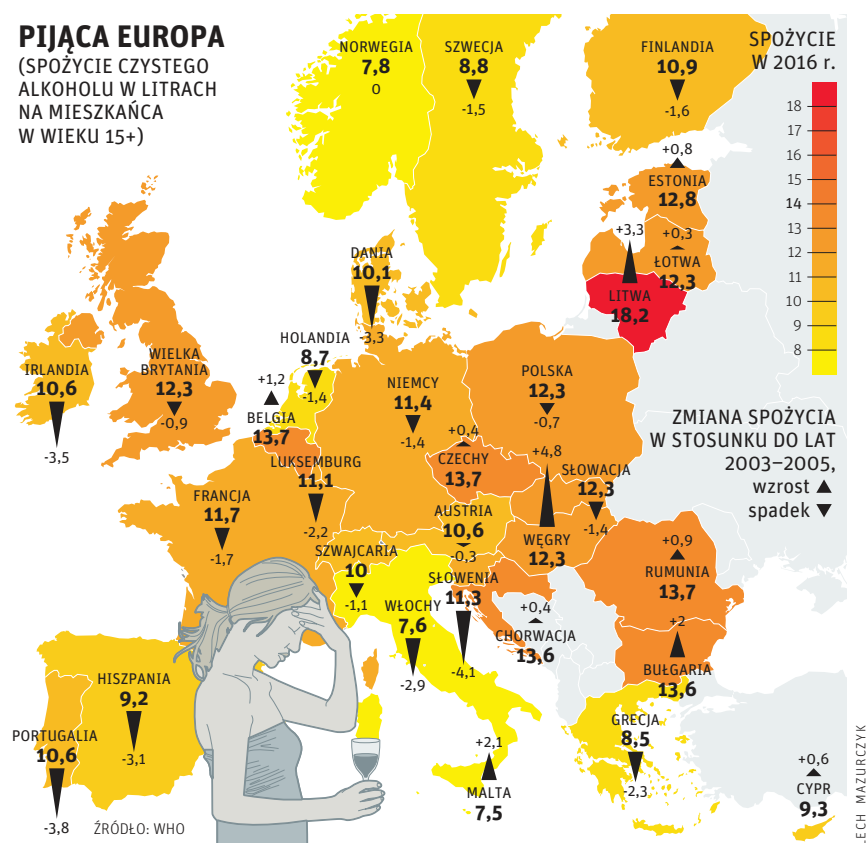
Kiedy kupuje pan sok pomarańczowy, na etykiecie ma pan podane wartości odżywcze i skład chemiczny. Tyle węglowodanów, tyle białka. Na piwie ich pan nie znajdzie. Próbowaliśmy nakłonić rząd do wprowadzenia obowiązkowego informowania o tym, co zawiera piwo, ale jak pan widzi, jakoś się nie udało.

A zaprzeczy Pan, że rzadziej widać dziś na ulicy upojonych alkoholem niż pod koniec lat 80.?

Ja bym się z panem zgodził, gdybyśmy w świetle najnowszych badań medycznych mogli powiedzieć: picie jest OK, szkodliwe jest dopiero upijanie się do nieprzytomności. A my już wiemy, że każdy kontakt z alkoholem kosztuje cząstkową utratę zdrowia. Zdrowy rozsądek, który pan przed chwilą przywołał, powinien zatem podpowiadać, żeby picie każdego, powtarzam: każdego alkoholu ograniczać do minimum. Tymczasem żyjemy w świecie, który alkohol plasuje nadal gdzieś u spodu piramidy Masłowa.

PIJĄCA EUROPA

(SPOŻYCIE CZYSTEGO ALKOHOLU W LITRACH NA MIESZKAŃCĄ W WIEKU 15+)



Gdy na przyjęciu ktoś mówi, że jest wegetarianinem, już raczej nie spotyka się z kpinami ani zachętami, żeby jednak spróbował polędwicy. Ale niech powie, że jest abstynentem albo po prostu nie ma ochoty się napić...

Alkohol jest tani. W 1989 r. przeciętna pensja wystarczyła do zakupu 17,5 półlitrowek z wódką 40 proc. W zeszłym roku mógł pan kupić za nią ponad 187 butelek. W dodatku by się pan nie nachodził, bo w Polsce mamy już 250 tysięcy punktów sprzedaży alkoholu. W samej Bydgoszczy działa obecnie więcej sklepów monopolowych niż w całej Norwegii!

A wie Pan, ile mamy sklepów spożywczych? Niecałe 76 tysięcy.

Naprawdę? Nie wiedziałem... Zatkąło mnie.

W niedzielę łatwiej kupić pół litra niż chleb.

Mamy alkohol na stacjach benzynowych. Wysyp całodobowych bud z alkoholem. Gminy wydają pozwolenia, bo to pieniądze, które trafiają do ich kas. Minister finansów cieszy się, bo ma rocznie 14 mld zł z akcyzy na alkohol. Ale nikt nie liczy kosztów długotrwałej ekspozycji społeczeństwa na coraz większe porcje alkoholu, który – jak pokazują badania – jest społecznie najkosztowniejszą ze wszystkich substancji psychoaktywnych. Wie pan, ile kosztuje jeden wypadek drogowy ze skutkiem śmiertelnym? Wliczając koszty pogotowia, działania organów policji, potem sądów – jakieś 2 mln zł.

Twarde narkotyki szybko niszczą człowieka, wyrzucając też poza nawias spo-

łeczeństwa i gospodarki. Pijąc, może pan tymczasem żyć przez całe lata jako tzw. wysokofunkcjonujący alkoholik. Zanim się pan ostatecznie wykołoi, pracodawca poniesie trudne do oszacowania straty, narazi pan NFZ na gigantyczne koszty leczenia, a przede wszystkim spowoduje spustoszenie w psychice najbliższych.

Tysiące Polaków, w tym Pan, są jednak żywym dowodem na to, że alkohol można ośwoić. Nie boi się Pan, że tak radykalną postawą bardziej szkodzi, niż pomaga Pan sprawie, której poświęcił 13 ostatnich lat?

Jasne, alkohol to nie heroina. Ale to substancja psychoaktywna, która uzależnia podobnie jak heroina, tylko wolniej. Każdy narkotyk działa podobnie: wzmacnia apetyt na coraz większe dawki, bo organizm szybko uodparnia się na działanie dotychczasowych porcji. Proszę zauważyć: w Polsce rocznie sprzedaje się około miliarda „małpek”, czyli stumililitrowych butelek z wódką, najczęściej smakową. Tego nikt nie reklamuje, bo nie wolno. Samo się wypromowało. Dwa lata temu ktoś pił jedno piwo co wieczór. Po roku dwa. Teraz dzień zaczyna już od poręcznej „małpki”, która zawiera prawie tyle etanolu, ile dwa piwa.

W Polsce mamy dziś około 600-800 tys. twardych alkoholików, ale jakieś 3-3,5 mln osób wykazuje tzw. niebezpieczne postawy wobec alkoholu: pije systematycznie i coraz więcej. Mamy ich zostawić na pastwę nałogu?

Prohibicji Pan nie wprowadzi.

Nie o nią chodzi, lecz o wciśnięcie alkoholu w podobne ramy legislacyjno-kulturowe, w jakie wsadziliśmy papierosy. Bo jeśli chodzi o alkohol, jesteśmy mniej więcej w tym samym miejscu, w którym przemysł tytoniowy był w latach 70. Kowboj w reklamie jeszcze się uśmiecha z petem w zębach, ale producenci już wiedzą, jakie szkody ich wyroby wyrządzają konsumentom.

Niech więc alkohol będzie z nami nadal. Ale niech nie będzie tani, dostępny na każdym kroku i pokazywany jak coś, czym nie jest. Szkoci mieli też problem, chlali whisky jak wodę, aż rząd wprowadził cenę minimalną na jednostkę czystego alkoholu i spożycie spadło. Spada dziś w większości krajów Europy, włącznie z Rosją. Za to u nas rośnie i nie widzę mechanizmów, które by ten wzrost mogły wyhamować.

W 2015 r. po raz pierwszy pokazałem ministrowi zdrowia projekt ustawy o cenie minimalnej. Bez skutku – nie udało się nawet przetłumaczyć, że takie rozwiązanie nie zrujnuje budżetu rodzin alkoholików, bo pijacy w tej samej cenie będą kupować słabszy alkohol.

©© Rozmawiał MAREK RABII

BLAWICKI PIOTR / EAST NEWS



KRZYSZTOF BRZÓZKA
do czerwca br.
kierował
Państwową
Agencją

Rozwiązania Problemów Alkoholowych. Z wykształcenia jest inżynierem.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabiń
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmieńska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Kłata, Stanisław Manciewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozłowska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocul, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Stawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Zsummer-Brysz, Paweł Śpiwák, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmieńska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad/graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIAJA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: Słowa Jonasza



IMIĘ JONASZ OZNACZA „GOŁĄB”. GOŁĄB KOJARZY SIĘ Z ARKĄ NOEGO I JEDNYM Z NAJWAŻNIEJSZYCH SYMBOLI IZRAELA. GOŁĄB-JONASZ DOTARŁ DO NINIWY I TRZY DNI CHODZIŁ PO NIEJ OZNAJMIAJĄC: „Jeszcze 40 dni pozostało do zburzenia Niniwy”. Jest w tych słowach

jakiś rodzaj kategoryczności. Nie widać nadziei i ratunku. Tymczasem mieszkańcy miasta na czele z królem przystąpili do postu i wołania o ocalenie. Co takiego więc było w oznajmieniu Jonasza, że ludzie miast oburzać się, odrzucić Jonasza jako fałszywego proroka, dostrzegli, że chodzi o skrucę; że tylko ona prowadzi do ocalenia?

W oryginale hebrajskim użyte jest słowo *hapak*, a wskazywać może na dwa przeciwne znaczenia. Pierwsze odnosi się do zniszczenia, katastrofy, ruiny, drugie wskazuje na przemianę serca, powrót do prawdy, skrucę. Wielki komentator Raszi pisał: „Słowo to może być rozumiane na dwa sposoby: dobry i zły. Jeśli nie będą żałować za grzechy, Niniwa upadnie. A jeśli będą żałować za grzechy, to dekret odnoszący się do Niniwy zostanie zmieniony, ponieważ odeszli od złego”. Jonasz zwracał się do ludzi obdarzonych wolną wolą, od których zależy ich własny los. To samo dotyczyło Kaina, gdzie czytamy: „Wszak byłoby pogodne, gdybyś czynił dobrze, a jeśli nie będziesz czynił dobrze, u drzwi czyha grzech. Kusi cię, lecz ty masz nad nim panować” (Rdz 4, 7). Jak już wspominałem, prorok Nahum zapowiadał Niniwie zniszczenie. Prorok Jonasz zapowiadał zarówno klęskę, jak i nadzieję. Jonasz postępował jak grecka wyrocznia czy zawodowy wieszcz. Wiedział, dlaczego musi przyjść najgorsze, ale mimo to uczył, jak uniknąć pułapek przeznaczenia.

Mieszkańcy Niniwy, którzy znali i rozumieli język Jonasza, pojęli te słowa jako wyzwanie, ostrzeżenie. Nie zostali bierni. Zdaje się, że lepiej niż sam prorok rozumieli drogi Boga i przyjmowali do siebie słowa Ezechiela: „Czy rzeczywiście mam upodobanie w śmierci bezbożnego – mówi Wszechmocny Pan – a nie raczej w tym, by się odwrócił od swoich dróg i żył?”. Pan chce, by ludzie szukali Jego oblicza i odwrócili się od grzechu. Ceni skrucę ponad wszystko. Sprawiedliwy, który zszedł na złą drogę, jest surowiej w Biblii potępiony niż ten, który wraca do swoich korzeni i zdolny jest do tego, co Hebrajczycy nazywają *teszuwa* (powrót). Tanach, czyli Biblia Izraela – choć nie posługuje się obrazem syna marnotrawnego – staje zawsze po stronie skruszonych.

Jonasz przybył do miasta nie wiedząc, w jakie słowa ma ubrać swoje proroctwo. Bóg mu tych słów ani nie wskazał, ani nie narzucił. Sam je wymyślił, a ich sens wyjątkowo trafnie odczytali mieszkańcy miasta. Może zdać się wręcz, iż czekali na Jonasza. Nie wierzyli w Boga Izraela, ale wzięli za swoje Jego słowa. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Zdradzony o świecie



„STARAJCIE SIĘ WEJŚĆ PRZESZ CIASNĄ BRAMĘ, bo mówię wam, że wielu będzie chciało wejść, ale nie zdołają. Kiedy gospodarz wstanie i zamknie bramę, wy zostaniecie na zewnątrz i będziecie kołatać do bramy, wołając: »Panie, otwórz nam«. On wam

odpowie: »Nie znam was! Skąd jesteście?«. Wtedy zaczniecie mówić: »Jedliśmy i piliśmy z tobą, a ty nauczałeś na naszych ulicach«. Odpowie wam: »Nie znam was! Skąd jesteście? Odejdźcie ode mnie wszyscy, którzy dopuszczacie się niesprawiedliwości«. Zwykle tę perykopę traktujemy jako opis tzw. sądu ostatecznego, ale Jezus używa czasu teraźniejszego. Przez ową ciasną bramę wchodzimy lub nie – teraz. Bywa, że na różne sposoby – również religijne – próbujemy ją obejść. Stosujemy je zarówno wtedy, gdy brama jest wąziutką szczeliną, jak i wtedy, gdy otwiera się szeroko niby drzwi do supermarketu.

Sierpień i wrzesień kojarzymy z powstaniem warszawskim, bitwą warszawską w 1920 r. i wybuchem II wojny światowej. Te wydarzenia z perspektywy czasu jawią się jako ciasne bramy, przez które rzeczywiście trudno było się przecisnąć naszym ojcom.

Ze świąt kościelnych w sierpniu od roku 1950 mamy Wniebowzięcie Bogurodzicy Maryi. Święto ukazujące prawdziwe oblicze śmierci: życie. 75 lat temu, 2 sierpnia, do jezuickiego kolegium w Warszawie weszli esesmani i zamordowali ok. 40 osób, w tym 16 zakonników i 10-letniego ministranta. Z pogromu ocalało 5 osób, wśród nich o. Aleksander Kisiel, który w dzienniku zatytułowanym „Okruchy”, pod datą 15 XI 1944, zanotował: „Niemce, którzy rzucił we mnie granaty, któryś strzelał z »rozpylacza« i dobijał strzałem rewolwerowym w głowę (trafił w ucho), poznaj mocą tej ofiary, czym jesteś. Ty chyba nie wiesz, że słuchał twych strzałów, przebacząc ci i modląc się za twą duszę. Napiąłeś moje nerwy do ostateczności – ale duszy mojej nie tknąłeś. Bo te dwie czy trzy godziny męki przyjąłem nie z twoich rąk, boś ty nie wiedział, co czynił. Ale ja wiedziałem. Dziękuję ci za krzyż, i za ciemnicę, i za krew, w której się skąpałem po raz pierwszy w życiu. Niech ona obmyje twą duszę i wyprowadzi cię z mroku na jasność. Bo ty biedny jesteś, choć myślałeś wtenczas, że to my biedni. O nie, pozorny zwycięzco! To zwyciężyliśmy my! Dlatego żal mi cię. Jeszcze widzę twe dzikie, czarne, odbóstwione oczy i ruch twych warg kłamliwych i gest twej ręki, odbierającej mi zegarek (niech on ci wyliczy godziny zbawienia) i rzut pierwszego granatu. Niemce, przejdź i padnij na kolana przed tym stołem ciał, któryś tak pracowicie ułożył! Ja ci przebaczam”.

„Ja ci przebaczam”, mówi ten, którego „zdradzono o świecie”. Zdradzili go ci, którzy chcieli go zabić. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Modlitwa odrzuconych

Wiara sprawia to, czego
się nie spodziewamy,
o czym świadczy
przykład łotra.

FLIOTEUSZ Z SYNAJU



Kto z całej siły pragnie
wypełnić zawartą
w nakazie Prawa wolę
Boga (...), temu może
zdarzyć się, że w czymś
tam uchybi, ale wcale
się tym nie przejmując.
Napisano bowiem:
„W miłości jej
czuj rozkosz”.

ELEAZAR Z KOZIENIC



Wybrał PIOTR SIKORA



„WIELBI DUSZA MOJA
Pana (...). Wejrzał na
uniżenie swojej słu-
żebnicy. Oto bowiem
odtąd będą mnie na-
zywać błogosławioną
wszystkie pokolenia” – fragment hymnu
„Magnificat” (Łk 1, 46-48), który wyśpie-
wywaliśmy wraz z Maryją w liturgii uro-
czystości Wniebowzięcia.

Jaki jest duch (Duch) tej maryjnej mo-
dlitwy? Każde z tych zdań jest cytatem
ze Starego Testamentu. Maryja modli się
Słowem natchnionym przez Ducha. Przy-
wołane zdania zaczerpnięte są z Księgi
Rodzaju, z historii dwóch siostr, Lei i Ra-
cheli, zaślubionych patriarsze Jakubowi.
Pamiętamy: Jakub nie traktował ich jed-
nakowo. Rachela była jego żoną uko-
chaną – to dla niej pracował wszystkie
lata u Labana, jej pragnął. Lea – przeciwnie:
była osobą niechcianą, niewybraną
i niekochaną – jedynie tolerowaną.

W 29. i 30. rozdziale Księgi Rodzaju
opowiada o narodzinach potomków Ja-
kuba. Pierwsza zaczyna rodzić Lea. Bóg
staje po stronie tej, która jest niewątpli-
wie upokorzona całą sytuacją. Może po-
zyska wreszcie serce męża. Zwróci na sie-
bie jego uwagę, odzyska szacunek. I wła-
śnie, kiedy Lea rodzi pierwszego syna,
Rubena, wykrzykuje pełną radości i na-
dziei: „Pan wejrzał na moje uniżenie;
z całą pewnością teraz mój mąż mnie po-
kocha” (Rdz 29, 32). Z kolei kiedy na świat
przychodzi jej piąty syn (zrodzony z nie-
wolnicy), Aser, woła: „Co za błogosła-
wienie! błogosławioną mnie będą na-
zywać kobiety” (Rdz 30, 13).

To prawda, po urodzinach trzeciego
z synów Lei również i Rachela otrzymuje
od Pana potomków; i – podobnie jak jej
siostra/rywalka – pojawienie się każdego
z nich wywołuje na jej ustach modlitwę
dziękczynną. Charakterystyczne jednak,
że Maryja – gdy chce wywyższyć Boga
z wdzięcznością za Potomka, którego
nosi w łonie podobnie jak Lea i Rachela
– czyni swoimi słowa tej pierwszej. Tej
zmagającej się z odrzuceniem i upośle-
dzeniem, upokorzeniem i krzywdą.

Chociaż z pewnością łatwiej by-
łoby jej odnaleźć się w Racheli. Sama
nie musi walczyć o miłość swego Ob-
lubieńca; jest przezeń odwiecznie wy-
brana i oczekiwana. A jednak bliżej Jej
do Lei. Najwyraźniej ma takie same pre-
ferencje, co Bóg. Tak jak On, utożsamia
się najpierw z tymi, którzy są słabsi i wy-
kluczeni. Z tymi, którzy płaczą i którzy
nie mają.

A może dzięki temu dokonuje się tutaj
jeszcze coś więcej? Może ostatecznie jest
tak, że Maryja nie staje wcale „po stro-
nie” Lei – w jakiejś duchowej opozycji
czy dystansie do Racheli. Nie! Maryja-
Rachela czyni swoimi słowa modlitwy
Lei, i w ten sposób obie siostry-rywalki
spotykają się w Maryi; zostają w Niej po-
jednane; przestają się traktować jak prze-
ciwniczki; odkrywają, że ten sam Bóg
działa w życiu obu z nich. Na powrót
stają się rodziną.

I tak modlitwa uwielbienia Boga
staje się instrumentem jedności między
ludźmi. Ale dzięki tym, którzy Go wiel-
bią słowami tych zepchniętych na drugi,
trzeci czy... ostatni plan. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (25 VIII – 1 IX)

21. niedziela zwykła: Iz 66, 18-21;
Ps 117; Hbr 12, 5-7. 11-13; Łk 13, 22-30;
Poniedziałek: Prz 8, 22-35;
Ps 48; Ga 4, 4-7; J 2, 1-11;
Wtorek: 1 Tes 2, 1-8; Ps 139; Mt 23, 23-26;
Środa: 1 Tes 2, 9-13; Ps 139; Mt 23, 27-32;

Czwartek: Jr 1, 17-19; Ps 71; Mk 6, 17-29;
Piątek: 1 Tes 4, 1-8; Ps 97; Mt 25, 1-13;
Sobota: 1 Tes 4, 9-11;
Ps 98; Mt 25, 14-30;
22. niedziela zwykła: Syr 3, 17-18. 20. 28-29;
Ps 68; Hbr 12, 18-19. 22-24a; Łk 14, 1. 7-14.



JAK ZAŁOŻYĆ PARTIĘ, KTÓRA SIĘ PRZEBIJE

Przepis jest prosty i odzwierciedla trend dominujący na całym świecie.

Poezja wygrywa z precyzją. Liczą się pomysł, emocje i efekt świeżości, a nie program, historia i skład osobowy.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

DOBRY WIECZÓR, WITAM SERDECZNIE. PROSZĘ usiąść, trochę wolnych miejsc jeszcze zostało. Widzę sporo nowych twarzy, choć kilka znajomych też rozpoznaję. A pan to chyba trzeci raz w ciągu ostatnich kilku lat wpada!

Chcą państwo założyć własną partię polityczną i odnieść spektakularny sukces? Trafili państwo pod właściwy adres, chociaż od razu powiem, że nie ma najmniejszych szans, żeby zdążyć na jesień – kalendarz nie jest z gumy. W tym roku zresztą mamy ciekawą sytuację i może właśnie od tego zacznę.

Polska to nie USA, gdzie nie istnieje życie polityczne poza dwiema partiami. U nas zawsze jest miejsce na jokera – niezgraną kartę spoza układu; nowego gracza, który wejdzie do Sejmu na fali antysystemowych nastrojów, skanalizuje bunt, zbierze głosy sprzeciwu. W roku 2001 jokerem była Samoobrona, w 2011 – Ruch Palikota, cztery lata później – drużyna Pawła Kukiza. W tym roku także chętnych nie brakowało. Po raz kolejny w przyciasny kostium Nowej Siły spróbował się wbić niestrudzony Janusz Korwin-Mikke. Robert Biedroń przebrał się z kolei za polskiego Macrona – bardzo dobry pomysł, jeszcze do tego wrócimy. Na konferencji prasowej wymachiwał młotem, rozbijając wzniesiony z pustaków duopol PO-PiS. Skończyło się na sześciu procentach i trzech mandatach.

*Otwarcie XV sesji Sejmu Dzieci i Młodzieży pod hasłem „Młodzi wobec wydarzeń roku 1989”.
Warszawa, 1 czerwca 2009 r.*

Wyjątkowość roku 2019, o której wspomniałem, wynika z bliskiego sąsiedztwa wyborów do Parlamentu Europejskiego z wyborami do Sejmu i Senatu. Oznacza to, że ewentualny tegoroczny joker już się zgrał. Karty są rozdane, do stolika nie przysiadzie się żaden nowy mistrz.

Ale o przyszłości warto pomyśleć.

Tęczowa polityka

Partie służą do upraszczania komunikacji między wyborcami i politykami. Jak marki, które kierują naszymi wyborami przy sklepowych półkach. Znaczenie każdej partii – jej pole semantyczne – ustala się nie samodzielnie, lecz względem innych partii, z którymi konkuruje o wyborców, a także względem całej historii polskiego parlamentaryzmu.

Widzę, że niektórzy z państwa nerwowo zerkać na slajd za moimi plecami. Bez paniki. To tęcza, oczy państwa nie mylą, ale tym razem chodzi o coś zupełnie niekontrowersyjnego. Kiedy patrzymy na światło rozszczerzone przez pryzmat, nasz mózg wyodrębnia wyraźnie kolorowe pasy, choć w rzeczywistości mamy do czynienia z kontinuum przechodzącym płynnie przez kolejne odcienie. To kultura nauczyła nas, że gdzieś istnieje granica między zielonym a niebieskim, a różne odcienie tej samej barwy są w pewien sposób równoważne.

Z polityką jest podobnie. Stworzenie nowej partii oznacza konieczność wykrojenia własnego fragmentu spektrum – ogrodzenia go, oznaczenia, uczynienia rozpoznawalnym. →

⇒ Niezbędne jest rozepchnięcie się między istniejącymi graczami, powołanie do życia nowego problemu politycznego albo udowodnienie, że starzy zawodnicy nie sprostali zadaniu.

To trochę jakbyśmy próbowali wymyślić i zastrzec nowy odcień. Partie zresztą – podobnie jak marki – wykorzystują barwy. Kolor jest tak istotny, że często staje się wręcz substytutem nazwy, jak w przypadku Zielonych. Tradycja nazywania kolorami frakcji politycznych sięga Bizancjum, a niedawne kolorowe rewolucje są wymownym przypomnieniem tej prawdy. Żeby zaistnieć w polityce, zwłaszcza przychodząc z zewnątrz, trzeba dać się zauważyć, zapamiętać, a potem stworzyć wrażenie wszechobecności. Nie ma na to lepszego sposobu niż kolor.

Dlaczego o tym mówię? Podobnie jak kolory (albo głoski czy liczby) partia polityczna w modelu demokratycznym nie jest samodzielnym bytem, lecz elementem systemu. Nie da się jej w pełni opisać, zdefiniować i zrozumieć, nie biorąc pod uwagę miejsca, jakie zajmuje na mapie wyznaczonej przez pozostałe ugrupowania, tak jak nie da się zrozumieć „lewego” bez „prawego” albo „góry” bez „dołu”. Zielony to tylko umowna przestrzeń, jaką nasz wytresowany przez kulturę umysł wycina między żółtym a niebieskim.

Wiedząca Unia na rzecz

No dobrze, ale dość o kolorach. Gadam już ponad kwadrans, a jeszcze nie doszliśmy do głównego wątku. Jak dzisiaj, w roku 2019 nazwać swoją partię, żeby przekroczyć magiczne 5 proc. i cieszyć się poselskimi mandatami, immunitetem, a nawet darmowymi lotami po całej Polsce?

Przepis jest prosty. Odzwierciedla dominujący na całym świecie trend. Poezja wygrywa z precyzją. Liczy się pomysł, emocje, efekt świeżości, a nie umiejętność zawarcia w nazwie partii całego jej programu, historii i składu osobowego.

Dawne nazwy to zwykle wieloznaczne kolubryny składające się z nieobowiązkowego przymiotnika (np. „narodowy”, „chrześcijański” albo „demokratyczny”), rzeczownika („partia”, „unia”, „front”), dalej możemy dać akcję („ocalenie”, „odrodzenie”, „wspieranie” itp.), a na końcu przedmiot działań (np. „Polski”, „wsł”, „narodu”). Ewentualnie, gdyby ktoś miał wątpliwości, dorzucamy słowa kluczowe oznaczające orientację polityczną (liberałowie, socjaliści itd.).

Każdy, kto zdawał kiedyś egzamin z historii politycznej Francji w XX w., wie, o czym mówię. W 1962 r. Unia na rzecz Nowej Republiki zmienia się w Unię Demokratów na rzecz Republiki, która 14 lat później mutuje w Zgromadzenie na rzecz Republiki, a po kolejnych kilkunastu latach w efemeryczną Unię na rzecz Większości Prezydenckiej, z której wyłania się Unia na rzecz Ruchu Ludowego. W 2015 r. następuje radykalny rebranding. Znikają wszystkie Unie i Zjednoczenia. Powstają Republikanie.

Eksperci od marketingu politycznego na całym świecie coraz lepiej rozumieją, że partia, która ma w nazwie słowo „partia”, traci cenne bity informacji, nie przekazując przy tym żadnego komunikatu (z pewnymi zastrzeżeniami – dotyczy to także koalicji, które mają w nazwie „koalicja”). W dobie wszechobecnego przesytu informacyjnego każda litera jest na wagę złota. Szkoda miejsca na słowa, które nie wywołują emocji, nie przykuwają uwagi, nie budują więzi i lojalności.

Zwycięstwo poezji nad precyzją najdosadniej ilustrują ostatnie wybory w Gruzji, gdzie Gruzińskie Marzenie pokonało Zjednoczony Ruch Narodowy. Albo – pozostając w tym samym regionie – Armenia. W przedterminowych wyborach parlamentarnych, które odbyły się pod koniec zeszłego roku, wyraźne zwycięstwo odniosła koalicja Mój Krok, w skład której weszły partie Umowa Społeczna i Miś. W parlamencie znalazły się również Kwitująca Armenia i Jasna Armenia. Poniżej progu (po raz pierwszy od 1990 r.) wyładowała natomiast rządząca wcześniej Republikańska Partia Armenii. Zaiste, wielka jest siła poezji!

W naszym parlamencie wciąż nie ma Kwietnej Polski ani nawet Polski Szczęśliwej, ale nazwy takie jak Wiosna czy Polska Jest Najważniejsza można uznać za pierwsze jaskółki poetyckiej rewolucji. Albo partia Jarosława Gowina. Pamiętali państwo, że Gowin wciąż ma partię? Nazywa się Porozumienie. To jednak coś zupełnie innego niż Porozumienie Centrum. Chodzi o wartość, pozytywną emocję, obraz złączonych w uścisku dłoni, a nie o grupę ambitnych samców o podobnych poglądach, którzy zdołali się wreszcie dogadać po latach dżgania pod stołem zatrutymi sztyletami.

Słucham? Czy dawać swoje nazwisko do nazwy partii? Bardzo dobre pytanie z sali! To prawda. Pełna nazwa wspo-

mnianej partii brzmi Porozumienie Jarosława Gowina. W ewidencji na stronie PKW mamy też Wiosnę Roberta Biedronia czy Skutecznych Piotra Liroya-Marca, a wszyscy pamiętamy jeszcze Nowoczesną Ryszarda Petru czy Ruch Palikota. To nie wirus megalomanii, tylko znak czasów. Charyzmatyczni liderzy stają się ważniejsi i bardziej rozpoznawalni niż programy polityczne, których partie czy koalicje albo w ogóle nie mają, albo nie specjalnie je eksponują, żeby nie płoszyć wyborców trudnymi sprawami. Problem w tym, że – jak od dawna wiedzą socjodolży – charyzma jest kapryśna, niełatwo ją kontrolować, jeszcze trudniej – przekazać następcom czy udzielić zastępcom. Ale to już materiał na kolejne szkolenie.

Naprzód, ku zmianie i nadziei!

Kolejny slajd. W Meksyku zmierzyły się w zeszłym roku trzy szerokie koalicyjne bloki: Razem Stworzymy Historię, Wszyscy dla Meksyku i Por Mexico al Frente, co można przetłumaczyć jako Naprzód dla Meksyku. Wspólny ruch naprzód, nadzieja i zmiana. Oto najważniejsze pola semantyczne, wokół których powstają dziś nazwy nowych partii i ruchów społecznych. Warto wskazać na dwa źródła tego nurtu. Po pierwsze, kolektywny duch protestów z czasu kryzysu gospodarczego (Oburzeni, Occupy Wall Street). Po drugie, charyzma Baracka Obamy, który narzucił światowej polityce swój styl. Jeszcze kilka lat temu każdy polityk chciał być Obamą. Dziś wprowadzie wypatrujemy raczej polskiego Macrona, nie oznacza to jednak porzucenia modelu, bo na prezydenta Francji można patrzeć jak na francuskiego Obamę.

Macron w swojej kampanii umiejętnie wykorzystał dziedzictwo ruchów protestacyjnych i francuską tradycję w tym zakresie (tym bardziej gorzkiego posmaku nabierają jego niedawne starcia z Żółtymi Kamizelkami). Ale był też w swojej retoryce bardzo bliski Obamie. Lider ruchu République en Marche! (Naprzód, Republika!) zamknął w tej prostej konstrukcji gramatycznej całą siłę rewolucyjnego postępu. Jego programowa książka „Rewolucja” pełna jest wezwań do działania (Yes, we can!), słów o nadziei i metafor związanych z marszem naprzód, spoglądaniem w przyszłość, wspólnym pokonywaniem przeszkód.

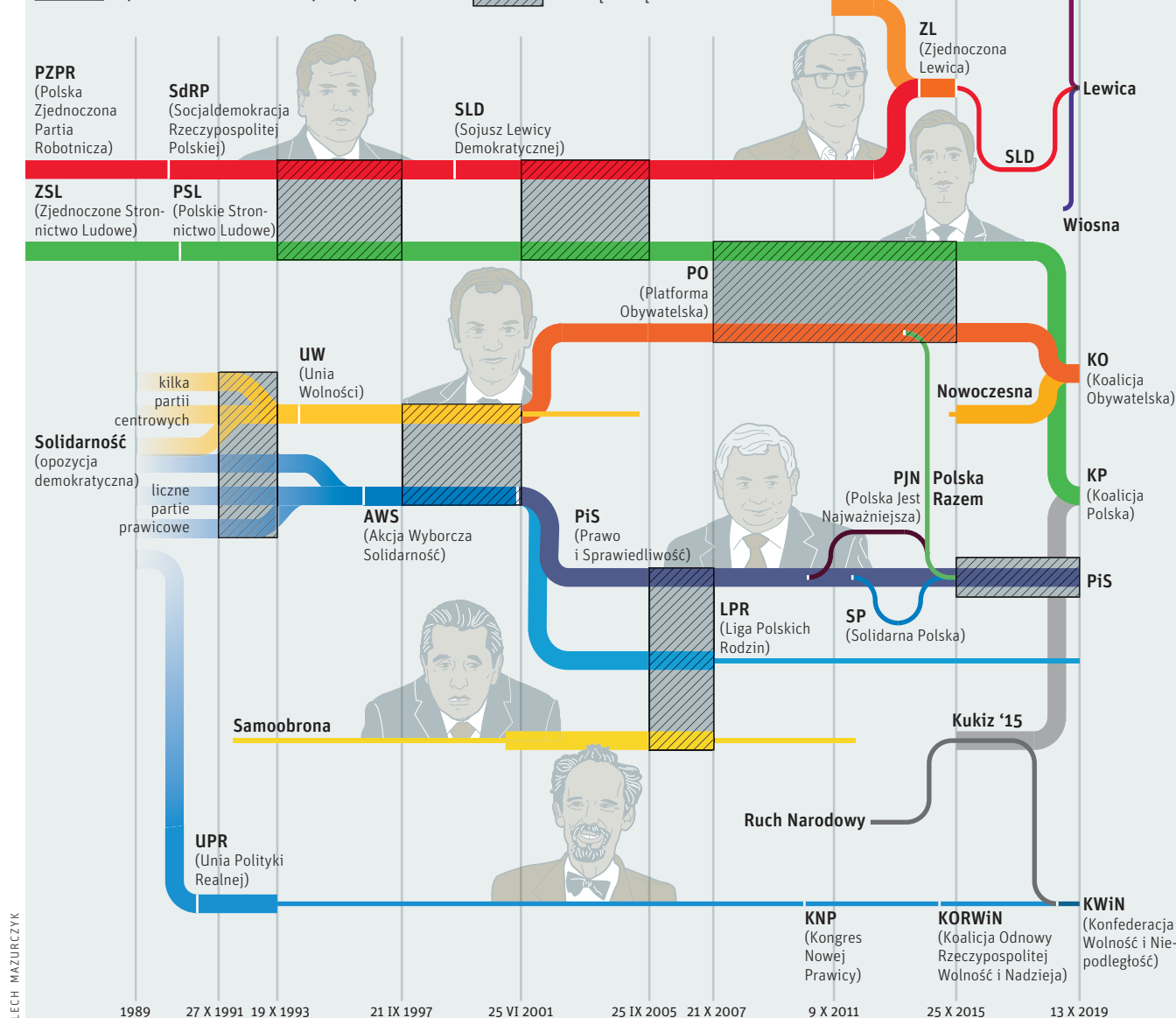
Podobne nazwy cieszą się uznaniem na całym świecie. Mowa już była o Mek-

TRZY DEKADY ROZPADÓW I ZJEDNOCZEŃ

(HISTORIA WYBRANYCH POLSKICH PARTII POLITYCZNYCH W LATACH 1989–2019)

PARTIE POLITYCZNE

■ w parlamencie — poza parlamentem ■ tworzące rząd



syku, w Argentynie w ostatnich wyborach zwyciężyła koalicja Cambiemos, czyli Zmieńmy (się), której nazwę przekształcono niedawno w Razem dla Zmiany. W Chile rządzi Naprzód Chile (Chile Vamos!), w Portugalii można głosować na Naprzód Portugalio (Portugal à Frente), hiszpańskie Podemos to „możemy”, „damy radę”. U nas tę niszę wypełnia godnie partia Razem. Jeżeli dobrze rozumiem intencje twórcy, podobne skojarzenia miało przywołać na myśl Teraz! – pożałowany projekt Ryszarda Petru.

Warto opowiedzieć ciekawą historię z Peru, gdzie zwycięstwo odnieśli Peruwianczycy na rzecz Zmiany, zapisani

z błędem ortograficznym. Zamiast „Cambio” w nazwie ugrupowania umieszczono „Kambio”, żeby skrót zawierał inicjały lidera – Pedra Pabla Kuczynskiego, ekonomisty i polityka o polskich korzeniach. Partia wcześniej nazywała się jeszcze ambitniej – Sojusz na rzecz Wielkiej Zmiany. A niedługo po wygranych wyborach, w następstwie spektakularnego upadku Kuczynskiego, raz jeszcze zmieniła nazwę na Contigo – Z Tobą. Też ładnie. Kuczynskiego natomiast pograżył ostatecznie dość niebanalny skandal: korpował postów podczas głosowania nad usunięciem go z urzędu za korupcję. Prawdziwa polityczna matrioszka.

Warto odnotować, że i u nas funkcjonuje marginalna partia Zmiana. I też nasuwa skojarzenia z matrioszką. Reklamuje się jako „pierwsza nieamerykańska partia w Polsce” i z uznaniem spogląda ku putinowskiej Rosji. Ale to już materiał na wykład o czymś zupełnie innym.

Zagrożenie i ocalenie

Topos zagrożenia i ocalenia jest w pewnym sensie odwróceniem opowieści o marszu naprzód i nadziei. Mówi o tym, że zmiana to wcale nie „dobra zmiana”, lecz upadek, rozpad, zagrożenie. Stąd potrzeba ocalenia, odrodzenia czy wręcz odbudowy.



⇒ W Rumunii np. trzecią siłą polityczną jest dziś centroprawicowy Związek Zbawienia Rumunii (Uniunea Salvați România). Nota bene dziwny jest ten dominujący w polskich mediach przekład. Nie znam rumuńskiego, ale szybka kwerenda pokazuje, że słowo *salvați* funkcjonuje w kontekstach świeckich i trafniejsze wydawałoby się tłumaczenie Związek Ocalenia Rumunii, co nasuwałoby skojarzenie także z Frontem Ocalenia Narodowego (Frontul Salvării Naționale), który sprawował władzę bezpośrednio po upadku Ceaușescu.

W Czadzie Patriotyczny Front Ocalenia Narodowego rządzi nieprzerwanie od roku 1990. Partia Narodowego Ocalenia Kambodży była z kolei kluczowym graczem opozycji, stopniowo marginalizowanym przez coraz bardziej autorytarny reżim aż do delegalizacji w roku 2017.

W Turcji Partia Ocalenia Narodowego (powstała po rozwiązaniu Partii Porządku) była głosicielem islamskiego religijnego konserwatyzmu. Zdelegalizowano ją w 1981 r. pod zarzutem zamachu na świeckość państwa. Jej następczynią była Partia Dobrobytu, która w latach 1997–2001 funkcjonowała jako Partia Cnoty, by następnie dać początek konserwatywnej Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP), która od kilku kadencji rządzi krajem.

Historia nazw jest prawie tak zagramatwana, jak ta z francuskimi Republikanami, tylko zmiana rejestru przeciwna. Po latach minimalistycznej poezji sukces przyniosła dopiero rozbudowana nazwa, w dodatku funkcjonująca niemal zawsze jako skrót. Ale to chyba wyjątek, który potwierdza regułę.

Różne są zagrożenia w polityce, a więc i różne partie ocalenia. Pewne jest jednak, że umieszczając wezwanie na ratunek w nazwie, definiujemy wybór przy urnie jako być albo nie być kraju czy narodu.

Przepraszam, czy to żart?

Są wreszcie i takie partie, których nazwy posuwają triumf poezji nad konkretem naprawdę daleko. Jak chociażby To Potami, czyli Rzeka, partia założona w roku 2014 w Grecji. Na pierwszy rzut oka nie wiadomo, o co chodzi. Choć od razu należy nadmienić, że elementy krajobrazu można też wykorzystywać w nazwach bardzo skutecznie. Lewicowo-liberalna koalicja Drzewo Oliwne pod wodzą Romana Prodiego zwyciężyła we Włoszech

Polityka partyjna jest jak tablica Mendelejewa.

Dużo skrótów, zaskakujące związki, część pierwiastków albo w ogóle nie występuje w przyrodzie, albo ma bardzo krótkie czasy rozpadu.

w roku 1995 i długo stanowiła ważną siłą polityczną.

Od drzew i rzek krótka już droga ku partiom-dowcipom. Oczywiście trudno w tej konkurencji przebić Partię Umiarkowanego Postępu w Granicach Prawa założoną przez Jaroslava Haška w 1911 r., choć w ostatnich latach znalazłoby się kilku godnych konkurentów. Na Węgrzech dokazywała ostatnio w przestrzeni publicznej happeningowa Partia Psa o Dwóch Ogonach. We Włoszech w 1991 r. dwie gwiazdy porno założyły Partię Miłości.

W kategorii partii-dowcipów nie musimy się jednak oglądać na zagranicę. To, obok skoków narciarskich, jedna z niewielu konkurencji, w których świat może inspirować się Polską. Dość wspomnieć Pomarańczową Alternatywę, której późną emanacją był Komitet Wyborczy Wyborców Gamonie i Krasnoludki, dzielnie walczący w roku 2006 w wyborach samorządowych w stolicy. Nad Wisłą grasała też swego czasu Polska Partia Posiadaczy Magnetowidów, stanowiąca raczej przykrywkę dla nielegalnego obiegu kaset VHS niż platformę rzeczywistej działalności. Być może historycy polityki dopatrzą się w niej kiedyś przodka coraz popularniejszych obecnie partii piratów?

Eldorado dla dziwnych partii były wybory z roku 1991, kiedy to do Sejmu dostały się m.in. Partia X czy Sojusz Kobiet Przeciw Trudnościom Życia. Prawdziwym ewenementem była jednak Polska Partia Przyjaciół Piwa, która zgromadziwszy 3,27 proc. głosów wobec braku progu wyborczego wprowadziła do parlamentu aż 16 posłów.

A jednak w kategorii politycznych żartów nawet my musimy uznać wyższość naszych wschodnich sąsiadów. Na Ukrainie znaczną popularnością cieszył się serial „Sługa narodu”. Opowiadał historię sympatycznego nauczyciela historii, który w wyniku zbiegu okoliczności zo-

stał prezydentem kraju. Produkcja tak spodobała się Ukraincom, że ktoś wpadł na pomysł, by Wołodymyra Zełenskiego, komika wcielającego się w głównego bohatera, wystawić w wyborach prezydenckich. Pomysł zabawny, choć nienowowy. We Francji popularny komik Coluche kandydował na prezydenta już w 1981 r., zapowiadając, że jeżeli wygra, zakaze jakiegokolwiek polityki na zawsze. Niestety – zakończył swój happening na miesiąc przed wyborami. Choć może to i dobrze. Bo skończyłoby się jak na Ukrainie, gdzie Zełenski wygrał. Dziś stoi za nim potężna partia, która za nazwę obrała tytuł serialu.

Każdemu, komu się wydaje, że przypadek Ukrainy jest wyjątkowy, polecam rzucić okiem na to, dlaczego właściwie Amerykanie tak łatwo uwierzyli w polityczny geniusz Donalda Trumpa. Obecny prezydent USA tylko dlatego nie założył partii The Apprentice (to nazwa popularnego telewizyjnego show, którego był przez lata gospodarzem), że – jak wspominałem – w USA nie ma politycznego życia poza Republikanami i Demokratami.

Złapać dobrą chemię

Polityka partyjna jest jak tablica Mendelejewa. Dużo skrótów, zaskakujące związki, znaczna część pierwiastków albo w ogóle nie występuje w przyrodzie, albo ma bardzo krótkie czasy rozpadu.

Na naszej tablicy pojawiają się byty naprawdę efemeryczne. Np. taki LiS, czyli koalicja Liga i Samoobrona. Powstała w połowie lipca 2007 r. w toku rozpadu rządzącego obozu PiS-LPR-Samoobrona. Jeżeli państwo nie pamiętają, to w internecie, który jak wiadomo nie zapomina, wystarczy wpisać „Liga i Samoobrona”, by odnaleźć zdjęcia z konferencji prasowej Romana Giertycha, Andrzeja Leppera i pluszowego lisa, który od początku wyglądał na mocno zmechaconego życiem. W sierpniu po LiS-ie nie było już śladu. Giertych z kolei nie daje o sobie zapomnieć.

Odpowiednikiem rozpadu nietrwałego izotopu są secesje. W polskiej polityce udają się zasadniczo w jednym wypadku: gdy realizują scenariusz ucieczki z tonącego okrętu. W ten sposób na gruzach AWS i Unii Wolności narodziły się dwie potężne siły, które – po odbyciu krótkiej pokuty na pustyni opozycji w latach 2001-05 – rządzą Polską do dziś. Problem w tym, że trudno dobrze rozpoznać ten właściwy moment, a niejedna

ciekawa inicjatywa skończyła się falstartem. Prawo i Sprawiedliwość kładły już do grobu ekipy z Polska Jest Najważniejsza, Polski Razem i Solidarnej Polski. Gdzie są dzisiaj? Nowoczesnej udało się wprowadzić wejść do Sejmu, ale okazało się, że pogłoski o starczej niemocy Platformy Obywatelskiej były mocno przesadzone.

Tendencję do szybkiego rozpadu mają zwłaszcza partie-jokery – antysystemowe, oparte na buncie i lekceważeniu struktur i procedur. Stąd tak ważne jest szybkie skupienie zainteresowania mediów i publiczności. Bez przekroczenia masy krytycznej niemożliwe jest rozpoczęcie reakcji łańcuchowej, na której bazuje efekt jokera.

Obok rozpadów mamy też syntezy. Syntezy są może nawet ważniejsze niż rozpady. Bo polska polityka po 1989 r. narodziła się z chaosu. Łęka się rozbitcia, rozdrobnienia, głęboko wierzy, że wyborcy premiuja zjednoczenie. Mitem założycielskim pozostaje wciąż mocno idealizowana jedność opozycji demokratycznej czasu PRL, a także uformowanie się Unii Wolności i AWS przed wyborami 1997 r.

Można więc powiedzieć, że partie utrzymuje w całości subtelna równowaga dwóch sił – tendencji separatystycznych napędzanych ambicjami młodych wilków oraz rozsądnego dążenia do konsolidacji. Poza parlamentem, gdzie presja rozsądku jest znacznie mniejsza, następuje błyskawiczna dekompozycja partii planktonowych. Każdy lider marzy o własnej kanapie, a międzykanapowe sojusze zawiązują się i rozpadają tak szybko, że nadążają za nimi tylko prawdziwi entuzjaści politycznej mikrobiologii. Ogólna zasada jest taka, że im dalej od centrum – na prawo czy lewo – tym większe rozdrobnienie i głębsze podziały między frakcjami, z których każda uważa się za strażniczkę świętej doktryny. Ku przestrodze warto mieć ten obraz w pamięci. Lider każdej kanapowej partyjki marzył kiedyś – ba, pewnie nadal marzy – o stworzeniu prężnej organizacji, porwaniu tłumów i objęciu władzy.

Czego i państwu serdecznie życzę. Teraz wiedzą już państwo wszystko, co potrzebne, żeby zasiąść do wymyślania nazwy. Reszta jest kwestią ciężkiej pracy, osobistej charyzmy, wydajnej wątroby i – oczywiście – szczęścia. Do zobaczenia przy urnach!

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI



Liderzy SLD, Wiosny i Razem, Włodzimierz Czarzasty, Robert Biedroń i Adrian Zandberg, w marszu przeciwko przemocy, Białystok, 28 lipca 2019 r.

Sojusz lewicy ideologicznej

PAWEŁ MARCZEWSKI

Skupiając się na kwestiach światopoglądowych, zjednoczona lewica pozostaje w narożniku, który wskazał jej PiS. Skuteczny atak na partię rządzącą możliwy jest tylko dzięki czytelnemu i wiarygodnemu dla wyborców programowi socjalnemu.

KIEDY OGŁOSZONO POWOŁANIE KOMitetu wyborczego Lewica, media obiegło zdjęcie maszerujących wspólnie Roberta Biedronia, Adriana Zandberga i Włodzimierza Czarzastego. Liderzy trzech najważniejszych ugrupowań składających się na komi-

tet chcieli wysłać wyborcom czytelny sygnał: działamy wspólnie, animozje poszły w niepamięć. I to zarówno te niedawne, sprzed paru miesięcy, kiedy działacze i działaczki Razem krytykowali nowo powstałą Wiosnę za to, że nie jest prawdziwą lewicą, jak i sprzed →

→ kilku lat, kiedy te same zarzuty kierowali pod adresem SLD.

Wspólne zdjęcia i konferencje prasowe to jednak za mało, żeby przekonać elektorat, że programowe i światopoglądowe spory poszły w niepamięć.

Pierwsze pęknięcia na wizerunku zgodnie współpracującej lewicy pojawiły się zresztą bardzo szybko: niespełna tydzień po ogłoszeniu wspólnego startu w wyborach kilkadziesiąt osób zaangażowanych w partię Razem, w tym zasiadających w jej Radzie Krajowej, ogłosiło, że występuje z ugrupowania, jako bezpośredni powód podając sojusz z Sojuszem Lewicy Demokratycznej.

Dla przeciętnych wyborców czy sympatyków lewicy taka konsekwencja (czy – wedle mniej przychylniej interpretacji – ideowy puryzm) jest zapewne mało istotna. Dużo ważniejsze wydaje się stworzenie bloku, który ma realną szansę na mandaty.

Od miesięcy słyszeliśmy przecież głosy publicystów sympatyzujących z lewicowymi ideami, by młode socjaldemokratyczne ugrupowania zaczęły działać bardziej pragmatycznie, przestały myśleć o SLD w kategoriach z lat 90. i wspólnie podjęły wysiłek budowania lewicowej alternatywy dla PiS. Ten postulat był zapewne bliski także części elektoratu rozczarowanego PO i Koalicją Obywatelską.

Problem w tym, że poza samym powołaniem wspólnego komitetu lewica zrobiła niewiele, by uzgodnić minimum programowe, zgodzić się co do kluczowych kierunków polityk publicznych i zaprezentować w zwięzłej formie wizję Polski alternatywną zarówno wobec „piątki” Kaczyńskiego, jak „szóstki” Schetyny. Być może w kuluarach, na międzypartyjnych zebraniach, trwają dyskusje na ten temat, ale jeśli tak, to niewiele konkluzji tych rozmów przedostaje się do opinii publicznej.

W sytuacji kiedy do wyborów pozostały dwa miesiące, a komitet wyborczy Lewica ma za sobą długą historię animozji światopoglądowych i programowych między składającymi się nań ugrupowaniami, zbudowanie wiarygodności poprzez nowy program powinno być sprawą priorytetową. W przeciwnym razie lewica, która zarzucała słusznie Platformie, że nie ma do zaproponowania nic poza tym, iż jest anty-PiS-em, nie będzie wiele lepsza.

Na partyjnych stronach znajdziemy ogólnikowe deklaracje i dokumenty sprzed lat. Najświeższy dokument SLD ma dwa lata.

**Wiosna wciąż się domaga...
rozszerzenia
500 plus na każde dziecko.**

Białystok, wspólna sprawa

W szeregach lewicy jest wiele zdolnych polityczek i polityków z różnych pokoleń. Z pewnością nie mają złudzeń, że wspólne zdjęcia wystarczą, by przekonać wyborców do autentyczności zjednoczenia. Aby przekreślić, a przynajmniej puścić warunkowo w niepamięć długą historię wzajemnych animozji, konieczny był nowy akt założycielski, jasna wspólna sprawa, o którą można by zawalczyć ramię w ramię. Okazję stworzyły ataki nacjonalistycznych i homofobicznych organizacji na Marsz Równości w Białymstoku.

Tydzień po wydarzeniach, które na nowo obnażyły dzielące kraj światopoglądowe i tożsamościowe linie, nowa zjednoczona lewica zorganizowała w mieście manifestację pod hasłem „Polska przeciwko przemocy”. Wybór takiej okazji do zmanifestowania wspólnoty poglądów, a zarazem odcięcia się od politycznych konkurentów z Koalicji Obywatelskiej i rozpoczęcia kampanii wyborczej, był jednak kontrowersyjny.

Po pierwsze, zorganizowanie manifestacji już w tydzień po Marszu Równości krytycznie ocenili niektórzy spośród jego uczestników i uczestniczek. Argumentowano, że na manifestację jest za wcześnie: że tak szybki termin jej zwołania nakłada ogromną presję na wciąż dochodzących do siebie ludzi, którzy dopiero co zostali brutalnie zaatakowani.

Po drugie, hasło „Polska przeciwko przemocy” było ogólnie słuszne, ale nie odnosiło się w żaden sposób do politycznych postulatów środowisk LGBT+. Manifestacja miała popierać przemoc, ale niekoniecznie popierać np. możliwość zawierania małżeństw przez osoby tej samej płci. To rozmycie jest zrozumiałe

z punktu widzenia taktyki politycznej – w nadchodzących wyborach zjednoczona lewica będzie musiała walczyć o każdy głos, a w jej połączonych elektoratach nie brakuje osób, które niekoniecznie podpisują się pod równouprawnieniem osób LGBT+. Z punktu widzenia długofalowej strategii i wiarygodności politycznej taki ruch jest jednak kunktatorski i może się zemścić.

Po trzecie i najważniejsze: czyniąc białostocką manifestację aktem założycielskim i, jak do tej pory, jedynym wspólnym działaniem o charakterze nie organizacyjnym, lecz w jakimś stopniu programowym, zjednoczona lewica ryzykuje pozostanie w narożniku, który wskazał jej PiS. To fragment ringu wyborczego opatrzonego hasłem „spory światopoglądowe”, z którego w sytuacji głębokiej i utrwalającej się polaryzacji lewica mogłaby wyjść jedynie wówczas, gdyby skutecznie zaatakowała PiS na jego własnym polu, proponując czytelny i wiarygodny dla wyborców program socjalny.

Długi żywot Trzeciej Drogi

Kiedy lata 90. z panującą wówczas hegemonią neoliberalnej wizji gospodarki zaczęły się stawiać historią, a przez świat przetoczył się kryzys finansowy, rozpoczęły pęknięciem bańki na amerykańskim rynku kredytów hipotecznych, globalna lewica liczyła na wielki powrót. Zwiastunami miały być protesty ruchów Occupy – w ich ramach zagrożeni niepewnością jutra studenci, uginający się pod ciężarem kredytów zaciągniętych na edukację i pozbawieni gwarancji dobrej pracy pozwalającej spłacić zobowiązania, protestowali nierzadko ramię w ramię z robotnikami, których miejsca pracy zaczęły znikać już dawno temu.

Nadzieje na lewicowe odrodzenie okazywały się jednak płonne. Lęki i niepewności społeczeństw obawiających się zubożenia i pogorszenia standardu życia skutecznie zagospodarowali prawicowi populiści, od Orbána po Trumpa.

Dla lewicy przyszedł gorzki i daleki jeszcze od zakończenia czas rachunku sumienia. Pierwsze konkluzje nie zostały suchej nitki na kierunku ideowym, któremu hołdowała w latach 90. również polska lewica. Porzucając po upadku komunizmu język klasowy i postulaty państwowienia czy społecznienia gospodarki, lewicowe partie prześcigały się w zgłaszaniu akcesu do Trzeciej Drogi,

często w zwulgaryzowanej formie, jak w przypadku SLD. Sprowadzała się ona do stwierdzenia, że aby dobrobyt redystrybuować, trzeba go najpierw wypracować, a to najefektywniej zrobi wolny rynek.

Kiedy powstała partia Razem, wydało się, że krytyczna refleksja nad kondycją współczesnej lewicy znalazła reprezentację polityczną. Młoda lewica deklarowała, że nie będzie powtarzać błędów poprzedników i nie zapomni o ideowym *credo*, w myśl którego najskuteczniejszą gwarancją utrzymania demokracji i praworządności jest zagwarantowanie praw socjalnych, stanowiących fundament dla żywej wspólnoty obywatelskiej.

Przedwojenni socjaldemokraci dobrze wiedzieli, że pogłębiające się nierówności ekonomiczne, niepewne miejsca pracy, brak ogólnodostępnych usług publicznych na dobrym poziomie, to najskuteczniejsze recepta na przejęcie władzy przez ksenofobiczną prawicę, oferującą przesładowanie koźłów ofiarnych i powierzchowne programy socjalne zamiast rozwiązywania głębokich, strukturalnych przyczyn problemów trapiących międzywojenne społeczeństwa. Partia Razem chciała nawiązywać do tego dziedzictwa i wyraźnie odciąć się od Trzeciej Drogi w wydaniu SLD.

Powołanie wspólnego komitetu wyborczego lewicy nie jest zatem jedynie kwestią przewyżczenia osobistych ambicji między partyjnymi liderami – to poważne wyzwanie programowe, które dotyka dylematów, z jakimi boryka się dziś lewica na całym świecie i rozwiązuje je na bardzo różne sposoby. Młodzi socjaldemokraci z amerykańskiej Partii Demokratycznej stawiają na Green New Deal, łącząc zwiększenie nakładów na politykę społeczną z kwestiami ekologicznymi. Partia Pracy pod przywództwem

Jeremy'ego Corbyna wraca do idei renacjonalizacji kluczowych gałęzi przemysłu. To rozwiązania niepełne, napotykające także na opozycję wewnętrzną, ale sam fakt, że są formułowane, świadczy o potrzebie odnowy i przemyslenia na nowo lewicowego programu. I świadomości, że nie da się tego zrobić bez sformułowania wizji gospodarki wychodzącej poza Trzecią Drogę.

Kto tu jest socjalny

Tej świadomości jak na razie w zjednoczonej polskiej lewicy nie widać. Wyśiłki Razem, by wymyślić ją na nowo po globalnym kryzysie gospodarczym, zostały schowane do szuflady. Na stronie partii w zakładce „program” znaleźć można, poza ogólną i sformułowaną już jakiś czas temu deklaracją programową, jedynie garść odnośników do wystąpień i wypowiedzi na różne mniej lub bardziej bieżące tematy. Najświeższy dokument programowy na stronie SLD, zatytułowany „Przywróćmy normalność”, pochodzi z 2017 r. Na stronie Wiosny jako program widnieją nadal postulaty ogłoszone na pierwszej konwencji partii w zimie, wśród nich np. rozszerzenie programu Rodzina 500 plus na każde dziecko, które PiS już zdążył urzeczywistnić.

Czy można te, w wielu punktach rozbieżne, a we wszystkich przypadkach spóźnione wobec posunięć PiS, programy uaktualnić i scalić w jedną wspólną propozycję? W przeciwnym razie partia rządząca również dla potencjalnych zwolenników lewicy będzie nadal jedyną wiarygodną prospołeczną siłą polityczną.

Na razie lewica wydaje się tak pochłonięta samym faktem swojego zjednoczenia, że przegapia wymarzone okazje do wypunktowania niedostatków i błędów polityki PiS, pozostając w takim samym stopniu zakładnikiem stereotypu partii

rządzącej jako partii socjalnej, co opozycja liberalna. Tak jakby sam fakt rozporządzenia poparcia dla programu Rodzina 500 plus sprawiał, że jedynym, co można zaproponować, jest utrzymanie go bądź dalsze rozszerzenie.

Tymczasem spływają kolejne dane pokazujące, że program ten wymaga istotnych zmian, jeśli miałby skuteczniej realizować przynajmniej jeden z deklarowanych przez rząd celów, czyli redukcję ubóstwa. Z badania gospodarstw domowych GUS za rok 2018 wynika, że ubóstwo skrajne po dużych spadkach po raz pierwszy od czasu wprowadzenia programu wzrosło, szczególnie wśród rodzin wielodzietnych i utrzymujących się wyłącznie ze świadczeń społecznych. Ze wspólnego raportu ekonomistek i ekonomistów z IBS, GRAPE UW, SGH i CE-NEA wynika ponadto, że po rozszerzeniu programu na każde dziecko do 10 proc. najuboższych rodzin trafi jedynie dodatkowe 0,3 mld zł, w porównaniu z dodatkowymi 5 mld dla 10 proc. rodzin najbogatszych. Niezależnie od walki wyborczej i doraźnej krytyki rządu są to fakty, które wymagają odpowiedzi programowej, podobnie jak mnożące się niepokojące dane o bardzo głębokim rozwarstwieniu ekonomicznym.

Część zjednoczonej lewicy, zwłaszcza ta zrzeszona w partii Razem, może odpowiedzieć, że zawsze to wiedziała. Rzecz w tym, że o tej znajomości problemu nie bardzo wiedzieli wyborcy, którzy nigdy nie doczekali się programu wyrównywania szans, tak klarownego i intuicyjnie słusznego, co 500 plus. Bez niego lewica skazana będzie na walkę na froncie tożsamości – i na pewno tę walkę przegra.

© PAWEŁ MARCZEWSKI

Autor jest szefem działu Obywatele w Forum Idei Fundacji Batorego.

Przed Sądem Rejonowym Gdańsk-Północ w Gdańsku, w Wydziale XIII Cywilnym, pod sygn. akt XIII Ns 334/18 toczy się postępowanie z wniosku Powszechnej Spółdzielni Mieszkaniowej „Przymorze” o stwierdzenie nabycia spadku po Wojciechu Mieczysławie Pokorze, ur. 1 marca 1967 r. w Gdańsku, zm. 27 stycznia 2013 r. w Gdańsku, ostatnio stale zamieszkałym w Gdańsku.

Sąd wzywa spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie Rejonowym Gdańsk-Północ w Gdańsku i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

TP

Klub „TP” zaprasza na spotkanie:

OLSZTYN,

czwartek, 29 sierpnia, godz. 17

„Po co Kościół?! O duchowej przemianie Kościoła”. Gościem będzie o. Włodzimierz Zatorski OSB. Miejsce: Dom Mendelsohna (ul. Zyndrama z Maszkowic 2).

Musi szumieć

MICHAŁ KSIĄŻEK

Nie pozwolimy wyciąć naszego lasu – mówią mieszkańcy Szumina na Mazowszu. I twardo negocjują z leśnikami.

MARTA, EWALUATORKA, OD 43 LAT w Szuminie: – W lipcu zeszłego roku gruchnęła wieść: będzie wycinka przy samej wsi. Rada sołecka napisała do nadleśnictwa petycję, żeby wycinki nie było, zorganizowano spotkanie. Było nawet trochę podpisów, ale mnie wydało się mało. To mówię sobie, przejdę się po wsi. W parę godzin zebrałam sto. I się zaczęło.

– Pomyślałam: sto podpisów, ale właściwie o co walczymy – ciągnie Marta. – Bo tak naprawdę nikt nie wiedział, gdzie mają wycinać i na jakich zasadach. Szybki *research* i dowiedziałam się, że istnieje coś takiego jak plan urządzenia lasu (PUL). Dzwonię do Nadleśnictwa Łochów, a oni, że od ręki mi nie udostępnią. Dzwonię do organizacji ekologicznej i słyszę, że skoro już jest PUL, to nic nie można zrobić. Pytam w parku krajobrazowym i odpowiedź brzmi: „Nadleśnictwo ma władzę”. Wszędzie jedno wielkie „nie da się”. Ja pracowałam w Chinach, i nawet tam ludzie potrafili walczyć o swoje prawa, a tu się nie da? Zaczęłam się uczyć, co to jest ten plan urządzenia. Co to rębienie, jak czytać opisy taksacyjne. To trwało ze dwa miesiące. Znalazł się też ktoś, kto pomógł mi rozszyfrować PUL. A tam jest napisane gdzie, ile i kiedy będą ciąć w twoim lesie w najbliższych dziesięciu latach – mówi.

Damy wam ekoton

Szumin leży nad Bugiem, 40 km od Węgrowa. Na 248 adresów większość należy do letników, którzy tworzą podstawy funkcjonowania wsi i nie mały rynek usług dla okolicy. Z jednej strony chronią Szumin sosnowe bory, z drugiej Bug ze starorzeczami i łąkami. Wieś to ostoja spokoju i dzikiej przyrody, obszar Natura 2000. Wszystko to sprawia, że w sezonie ciągną tu setki zmęczonych miastem ludzi.

Od kilku lat w lasach zaczęły pojawiać się pierwsze rozległe zręby. Latem 2018 r.

mieszkańcy dowiedzieli się, że wycinki mają objąć też obszar w bezpośrednim sąsiedztwie wsi. Jeśli leśnicy wykonają plan, gołe zręby i nasadzenia zajmą tu ok. 40 proc. okolicznych lasów. Ale ludzie tu nie chcą intensywnej gospodarki leśnej. Na zielonych uliczkach i w centrum wsi, pod krzyżem, bardzo chętnie opowiedzą, jak było i co się dzieje.

Marzena, prawniczka, przewodnicząca rady sołeckiej, 15 lat w Szuminie: – Na walnym zebraniu w kapliczce urządziliśmy, że robimy reprezentację: trzy kobiety, i idziemy do nadleśniczego. Już wtedy otrzymaliśmy odpowiedź na petycję, że zostawia nam ekoton. Na początku nie wiedzieliśmy, co to jest, a okazało się, że to pasek szerokości 30 m wzdłuż drogi, tej co jest granicą wsi. Pięć sosen na krzyż. A nasza wizja lasu jest inna.

– Poszliśmy – opowiada Marzena. – Nadleśniczy swoje, my swoje. Jaki jest ich argument? Że jak się nie wytnie, to sosny zje kornik. Że w ogóle to las gospodarczy. Że obowiązuje plan urządzenia lasu, a planu nie można naruszyć. A my się przygotowałyśmy i pytamy go, co to znaczy, że las ma funkcję społeczną i rekreacyjną, jak mówi ustawa o lasach? Jak funkcja rekreacyjna realizuje się na zrębie wielkości stadionu?

Ochrona deski

Michał, prawnik, jego rodzina jest w Szuminie od 40 lat: – Nadleśniczy przyjechał też do nas. Z dwoma adiutantami. W galowych mundurach, dystynkcje, wspinali wyglądali. Pierwszą rzeczą, jaką powiedział, pamiętam, bo siedziałem z przodu: „Proszę państwa, właśnie osiągnęliśmy trzecią pozycję w produkcji mebli w Europie! Musimy utrzymać ten wynik!”. Zbaraniałem. Tłumaczył też, że wycinka jest dla naszego dobra. Ale też dla dobra lasu, bo ten las powinien być wycięty, żeby wyrastał nowy. To brzmiało, jakby oczekiwał, że chwycimy za siekiery, by pomóc ten las wycinać.



IAN BRYCZYŃSKI

Michał przeczytał więc 400 stron planu urządzenia lasu. – Traumatyczne przeżycie, ale dałem radę – mówi. – I zrozumiałem, na czym polega zasada trwałości drzewostanu według leśników. Ona nie polega na tym, żeby jak najdłużej utrzymać las w jego rozwoju. Chodzi o to, by od momentu, gdy jest już dobra deska, jak najszybciej ją ściąć, by następna dobra deska mogła szybko wyrosnąć. Tu chodzi o ochronę deski. Wyłącznie.

Po lekturze Michał postanowił zaskarżyć plan urządzenia lasu w Wojewódzkim Sądzie Administracyjnym. Dotychczas sądy umarzały sprawy bądź odmawiały rozpoznania, twierdząc, że PUL-e, choć mają wiele takich cech, nie są decyzjami administracyjnymi. – Każdy PUL musi być zatwierdzony przez ministra środowiska. Właśnie to zatwierdzenie stanowi akt administracyjny, który podlega już zaskarżeniu – wyjaśnia Michał. – Ponieważ nie wynika to wprost z ustawy, z tą drogą rozumowania mają kłopot sądy administracyjne, które ostrożnie odmawiają przyjmowania skarg. Tak stało się z naszą skargą w WSA w Warszawie. Skierowaliśmy więc



Tu i na następnej stronie: Las Parowy niedaleko Szumina. Mieszkańcy z przygotowanymi przez dzieci transparentami protestują przeciwko wyrębowi, lipiec 2019 r.

skargę kasacyjną do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Przepisy pozwalające na kontrolę PUL-u przez Sąd istnieją, wystarczy uwzględnić ich interpretację realizującą nie tylko interes władzy.

Spotkań mieszkańców z leśnikami było kilka. Na jednym z nich nadleśniczy zapytał: „I czego państwo chcecie? Żebyśmy park tu zrobili?”. Na to ludzie: „Ale tu jest park! Krajobrazowy, i zgodnie z jego planem ochrony nie powinno tu być rębni zupełnych”.

– Tymczasem w polskim systemie ochrony przyrody park krajobrazowy nie jest żadną przeszkodą dla gospodarki leśnej – mówi Przemysław Kunysz, przyrodnik, który przepracował w parkach krajobrazowych blisko 20 lat. – Nadleśniczy może więcej niż dyrektor parku. Ustawa o lasach wydaje się w tym przypadku ważniejsza od Ustawy o ochronie przyrody. Owszem, park może powstrzymać np. budowę kurników, ale już nie wycięcie czterech hektarów starego lasu. A nawet budowy nowych dróg do wywozu drewna. Pewnie też dlatego, że w jego radach naukowych zasiadają często... leśnicy.

Kluczowe dla społeczności

Marta: – Przyszła zima, a lasu nie wycięli. Cieszyliśmy się. Reaktywowało się Towarzystwo Przyjaciół Szumina. W jednym z działań zaznaczaliśmy granicę ekotonu, żeby mieszkańcy wiedzieli, co ma zniknąć. Akurat mieliśmy taśmę w białoczerwone paski. A ludzie podchwycili ten pomysł i zaczęli zaznaczać taśmą wszystkie swoje ulubione drzewa. I nagle w lesie zrobiło się białoczerwono! Myśmy zdjęły swoje taśmy na prośbę leśników, ale nie wszyscy zdjęli, więc jeszcze trochę tej taśmy wisi.

Marta mówi, że dopóki formalnie nie ochronią lasu, nie mogą spocząć na laurach: – Dowiedzieliśmy się, że istnieje coś takiego jak system certyfikacji lasów. Każda osoba w Polsce powinna to wiedzieć. Otóż, żeby otrzymać certyfikat zrównoważonego leśnictwa, leśnicy muszą chronić lasy o szczególnej wartości – HCVF (High Conservation Value Forest). Jeden z ich rodzajów, oznaczony numerem sześć, to lasy kluczowe dla tożsamości kulturowej społeczności lokalnych. 20 maja złożyliśmy wniosek do nadleśnictwa, o uznanie naszego lasu za

HCVF. Czekamy na odpowiedź – relacjonuje Marta.

Grzegorz, informatyk, w Szuminie 18 lat: – HCVF to jedyna droga. Leśnicy nie mają motywacji, by brać pod uwagę nasze interesy. Zaprzestanie wyrębów oznacza mniej pieniędzy na ich wysokie pensje. Lasy Państwowe płacą minimalne podatki do budżetu. Chcielibyśmy, żeby zarządzanie lasami uwzględniło fakt, że jest potrzebny obywatelom do zdrowia psychicznego i dobrego funkcjonowania. I że to jest zasób, którego nie doceniamy. Nie chodzi nam przecież o park narodowy, ale o jakąś łagodną formę użytkowania. Wtedy tak naprawdę będziemy korzystać z lasu wszyscy. Teraz korzystają z niego tylko leśnicy.

– Ja nie wyobrażam sobie, żebym pojechał do lasu, i żeby go nie było – mówi dalej Grzegorz. – Tam, gdzie był zawsze. Przecież to się dzieje na terenie parku krajobrazowego, w miejscowości wypoczynkowej. I myślę, że nas jako społeczeństwo stać na to, by część lasów zostawić do rekreacji, nie tylko fizycznej, ale też psychicznej i emocjonalnej.

Marta: – Ten skostniały system nie ma pomysłu na to, jak reagować na zmieniające się potrzeby ludzi, ani też na nowe problemy, takie jak katastrofa klimatyczna. Pojedynczy leśnicy w prywatnych rozmowach potrafią to przyznać. Jako instytucja idą w zaparte. A my wiemy już, czego chcemy. Chcemy, żeby tu była gospodarka bezzrębowa, czyli np. mało intensywne trzebieże, a nie rozległe zręby. Mam wrażenie, że to da się pogodzić, tylko trzeba wypracować system, który rzeczywiście zbalansuje wszystkie funkcje lasu. Nasz system udaje tylko, że bierze pod uwagę też funkcje społeczne, rekreacyjne i kulturowe lasu.

Las rzeczników

„Las kluczowy dla tożsamości kulturowej lokalnej społeczności definiowany jest jako teren ważny kulturalnie, przyrodniczo, ekonomicznie lub religijnie dla społeczności lokalnych. Wymienione oddziały leśne charakteryzują się walorami kwalifikującymi je do kategorii HCVF6. Silny związek społeczności lokalnej z lasem, a także szczególna wartość lasu dla →

→ jej tożsamości, wynikają głównie z faktu, że od lat (...) wieś Szumin jest miejscowością o charakterze rekreacyjnym i letniskowym (...) a las kluczowym dla mieszkańców ze względów kulturowych...". Wniosek o przyznanie statusu zgodnego z HC VF6 podpisało 111 osób.

– Nie udzielimy komentarza – komunikuje stanowczym głosem zastępczyni nadleśniczego Nadleśnictwa Łochów Elżbieta Bernard-Rybak. Choć raz jeszcze proszę o wypowiedź na temat wniosku szuminian, to komentarza nie będzie. – Czekaj tu kolejka interesantów – słyszę, i nie ma nawet czasu zapytać, czy też z petycjami o ochronę lasu. Trzeba dzwonić do rzeczownika nadleśnictwa. Albo rzeczownika Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Warszawie. Zatem dzwonię. Trzeba napisać pismo. Zatem piszę. Trzeba czekać. Czekam.

I liczę: w Polsce mamy 431 nadleśnictw zarządzanych przez 17 regionalnych dyrekcji Lasów Państwowych. Jeśli każde nadleśnictwo i każda dyrekcja jest w stanie wystawić rzeczownika, to leśnicy mają ich aż 448, a jeszcze jest dwóch w Generalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Warszawie! Czyli razem 450 rzeczowników. To więcej niż ludzi w Szuminiu.

Mapa Polski

Jak Polska długa i szeroka, ludzie chcą bronić lasów przed intensywną gospodarką leśną. Przeciw wycince protestują w Puszczy Bukowej koło Szczecina, w Trójmiejskim Parku Krajobrazowym pod Trójmiastem, na Mierzei Wi-

Puszcza Bukowa, Trójmiejski Park Krajobrazowy, Mierzeja Wiślana, Puszcza Borecka...

– jak Polska długa i szeroka,

ludzie chcą bronić lasów

przed wycinkami.

ślanej i w Puszczy Boreckiej w okolicach Giżycka. Nawet w samym Giżycku trwa spór o Las Miejski, który okazał się pozostawać w zarządzie Lasów Państwowych.

Niemale wzburzenie wywołał w Białymstoku projekt wycinki Lasu Turczyńskiego, głośno było o wycinaniu lasu Dąbrowa w Lublinie. O obronie Puszczy Białowieskiej usłyszał cały świat. Przyrodnicy od lat walczą też o powstanie Turnickiego Parku Narodowego pod Przemysłem. Coraz głośniejsze są protesty w Bieszczadach, gdzie Inicjatywa Dzikie Karpaty donosi o wyrębie wiekowych jodeł. Gospodarka leśna nie podoba się też wielu mieszkańcom Kotliny Kłodzkiej. Tymczasem leśnicy odpowiadają, że oni lasy chronią.

Marzena: – Chronią? Oni nawet mrowiska zaorają. Co to za ochrona? Mamy tu rezerwat Jegiel. Czemu ten rezerwat nie ma planu ochrony? Każdy rezerwat powinien mieć, zgodnie z ustawą. A koło niego już trwa rębnia! Poza tym jest jeszcze inne miejsce, Las Parowy, gdzie miał być rezerwat. Gmina się chwali w mate-

rialach promocyjnych, że rezerwat powstaje, ale on nie powstał. Właśnie go wycinają. Las, jak sami napisali, zbliżony do naturalnego, a koleiny po kolana i rzeź drzew. Dla leśników to las gospodarczy, a dla nas najbliższy wsi, i w ogóle najbliższy, więcej niż rekreacyjny. Niektórzy gotowi są przykuć się tam do drzew.

Ułamek procenta

W lipcu, rok po tym jak gruchnęła wieść o wycince, do Szumina przychodzi odpowiedź Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Warszawie na prośbę o ustanowienie lasu kluczowego dla lokalnej społeczności. Leśnicy zgodzili się nadać taki status, ale tylko w ułamku procenta wnioskowanej powierzchni. Czyli 20 aom ze 130 wnioskowanych hektarów.

Pismo w sprawie skargi kasacyjnej od Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego otrzymał też Michał. – Odpowiedzieliśmy na wezwania Sądu – mówi. – Teraz chcemy jak najszybciej przedstawić swoje racje przed Naczelnym Sądem Administracyjnym, który jest ostatnią instancją dla obywatela w zderzeniu z państwową korporacją. Las, bez którego unikatowa wieś nie będzie już tym samym miejscem, jest dla dochodów tej korporacji tak naprawdę pomijalny.

Marta: – Zastanawiam się, czy nie powinniśmy pojechać do innych wsi i powiedzieć ludziom: zainteresujcie się, jak wygląda wasz PUL. Czy wy wiecie, że wasz las może zniknąć?

© MICHAŁ KSIĄŻEK



ANNA

Dziewit-Meller: *Seks po polsku*



PRZEBYWANIE NA PLAŻY JEST ZAWSZE świetną okazją do tego, żeby się poczuć gorzej we własnej skórze. Wiadomo – lat nikomu nie ubywa, tu coś odstaje, tam się roluje, a jeszcze gdzieś indziej zwisa, i niby jak w piosence Barbary Wrońskiej „jesteśmy nieustraszeni, choć skóra ma coraz więcej plam”, ale tak naprawdę wielu z nas każdego lata trudniej wskoczyć w bikini bez uprzedniego seansu wewnętrznej krytyki przed lustrem. Jeśli ktoś z Państwa jest od tego wolnym, winszuję i szczerze zazdroszczę. Ja nie jestem. Choć bardzo się staram docenić i pokochać swoje ciało za to, jakie jest i ile dla mnie już zrobiło przez tych 38 lat wspólnej harówki na tym padole. Trenuję więc to wdzięczne patrzenie na siebie w cielesnym kontekście, przez lata spychanym gdzieś na margines, ale to orka na ugorze.

Pisząc te słowa, siedzę na plaży i patrzę na ciała otaczających mnie starych kobiet, pokryte siatką zmarszczek, na ich blizny po cesarskich cięciach, niegdyś idące przez całe brzuchy, na wepchnięte w wielkie staniki piersi, które wykarmiły kolejne dzieci, i myślę jednak w końcu, że plaża nie jest wcale bezlitosna, wręcz przeciwnie – jest dla naszych ciał, którym pozwolimy po prostu być takimi, jakie są, kojącym opatrunkiem ze słońca, piasku i ciepłej morskiej wody. Szkoda tylko, że tak rzadko udaje się zespolic w jedno duszę i ciało, i nie czuć się winnym, że jest nam wtedy po prostu dobrze.

A to szkodliwe poczucie oddzielenia się od ciała zaczyna się bardzo wcześnie. W znakomitej książce Marty Szarejko „Seksuolożki. Tajemnice gabinetów”, która jak żadna inna doskonale nadaje się do czytania na plaży, gdy nasze odkryte ciało głaszcze nadmorski wiatr, o wstydzie z powodu posiadania ciała mówi się wiele.

Według badań WHO Polki zajmują pierwszą pozycję wśród nastolatek z 42 europejskich krajów, jeśli chodzi o negatywną ocenę swojego wyglądu. Nastolatki wstydzą się swojego ciała. Jedna z rozmówczyń Szarejko, Aleksandra Józefowska, pedagogka, trenerka, psychoterapeutka i edukatorka seksualna, mówi wprost: „Wstydzą się tego, że pocą się na siłowni. Że nie są tak szczupłe, jak by chciały, albo że mają brzydkie piersi. Że nie będą umiały się całować. Że nie będą umiały uprawiać seksu oralnego. Że boli je, jak współżycia. Że nie są dobrymi kochankami. Wstydzą się siebie”.

Z badań wynika, że rodzice nastolatków, sami niekoniecznie dobrze wyedukowani w tej materii, nie potrafią rozmawiać ze swoimi dziećmi o ich dojrzewaniu, zmianach zachodzących w ciele i o seksie. „Edukacja w polskich rodzinach polega głównie na straszaniu seksem. Ewentualnie na milczeniu” – mówi Józefowska. I dodaje: „Ale często

to niewiedza, a nie zła wola, rodzice inaczej nie potrafią. Sami nie mieli edukacji seksualnej, więc często unikają tematu albo, strasząc, przekraczają granice swoich dzieci. Nie mówię o molestowaniu, tylko napiętnowaniu, seksizmie, udawaniu, że ta sfera nie istnieje – w taki sposób też można krzywdzić, ociosywać nastolatka z prawa do seksualności, do rozwoju”.

Najczęstsze zaś pytanie, z jakim zjawiają się w gabinetach seksuologicznych dorosłe Polki, brzmi: „Czy ja jestem normalna?”. Chcą się dowiedzieć, czy są normalne, bo np. nie chcą mieć dzieci albo nie mają ostatnio ochoty na seks, albo wciąż są dziewicami.

Psycholożka i psychoterapeutka Izabela Jąderk tłumaczy: „Wielu Polkom seks wciąż kojarzy się z grzechem, czymś niepotrzebnym i nieciekawym, niestety. Rodzice rzadko mówią swoim córkom, że seks jest przyjemny, wiewiotwórczy, zwykle seksem się straszy, seks jest pokusą, a człowiek swoje popędy powinien trzymać na wodzy”.

Książka Marty Szarejko otwiera pole do licznych dyskusji. Bo ten seks – seks polski omawiany w gabinetach specjalistów, okazuje się papierkiem lakmusowym pozycji kobiet w społeczeństwie, relacji w rodzinie, wreszcie – nie bójmy się tego słowa – niejednokrotnie destrukcyjnej roli katolickiego wychowania w tym zakresie (pisała o tym w poprzednim numerze „Tygodnika” Jola Szymańska).

Doprawdy, ciężko czytać niektóre fragmenty z tej książki w epicentrum „walki z seksualizacją”, jaka toczy się obecnie w Polsce. Spokojna rzeczowa rozmowa ze specjalistkami, jaka odbywa się na kartach „Seksuolożek”, wstrząsa i zwraca uwagę na obszary dużo bardziej „kontrowersyjne” niż edukacja seksualna dzieci w szkołach. Taką całkowicie zamiecioną pod dywan sprawą mogą być np. potrzeby seksualne osób z niepełnosprawnościami – zarówno tych, które po wypadkach czy w wyniku chorób niedomagają ciałem, jak i tych z niepełnosprawnością umysłową. Wszyscy przecież – bez wyjątku – jesteśmy istotami seksualnymi, nawet jeśli dobrowolnie postanawiamy z tego aspektu naszej natury zrezygnować. Wszyscy jesteśmy ciałami, które są owszem mieszkaniem dla duszy, dobrze jednak byłoby docenić to mieszkanie i przestać udawać, że jest nawiedzone przez złego ducha. Jak mówi Izabela Fornalik, pedagogka specjalna i edukatorka seksualna, psychoterapeutka, „Każdy ma prawo do edukacji seksualnej”. Także Polacy. ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Kamiennej Górze, I Wydziale Cywilnym, toczy się postępowanie pod sygn. akt I Ns 123/18, z wniosku naczelnika Urzędu Skarbowego w Kamiennej Górze, o stwierdzenie nabycia spadku po Krzysztofie Stanisławie Doroszu, s. Ignacego i Kazimierzy, zm. 6 lipca 2016 r. w Wałbrzychu i ostatnio stale zamieszkałym w Lubawce.

Wzywa się spadkobierców po Krzysztofie Stanisławie Doroszu, zm. 6 lipca 2016 r. w Wałbrzychu, do udziału w sprawie i udowodnienia w terminie 3 miesięcy od ukazania się tego ogłoszenia swoich praw do spadku pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

KŁOPOT Z CIAŁEM

Polskie spory o LGBT+
osiągnęły niebezpieczny poziom:
od przemocy słownej
coraz łatwiej przechodzimy do fizycznej.
Najwyższy czas wrócić do rozumu.

ARTUR SPORNIAK



ZMARŁY W 1951 R. LUDWIG WITTGENSTEIN swoje ostatnie dzieło filozoficzne „O pewności” rozpoczyna spostrzeżeniem niemożliwości wątpienia we własne ciało. „Ta niewątpliwość ciała, jego pewność, jest dla Wittgensteina początkiem i podstawą wszelkiej wiedzy i pewności” – zauważył neurolog, psychiatra oraz pisarz Oliver Sacks w swojej bestsellerowej książce „Mężczyzna, który pomylił swoją żonę z kapeluszem”, po czym opowiada kilka historii o pacjentach, którzy właśnie stracili kontakt ze swoim ciałem.

Ciało

Krystyna była dwudziestosiedmioletnią matką dwójki dzieci, która lubiła hokej i konną jazdę. Pracowała w domu jako programistka komputerowa. Pojawiła się w szpitalu z zaleceniem wycięcia woreczka żółciowego. Do operacji jednak nie doszło. W przeddzień zaczęła się dziwnie czuć. „Stało się coś okropnego – powiedziała upiornie bezbarwnym głosem. – Nie czuję mojego ciała” – cytuje ją Sacks. Początkowo sądzono, że jest to nerwica przedoperacyjna. Jednak po dokładniejszych badaniach okazało się, że Krystyna doznała rzadkiego rozległego zapalenia nerwów, wskutek którego utraciła czu-

cie własnego ciała, czyli propriocepcję. Po żmudnych ćwiczeniach nauczyła się panować nad ciałem, kontrolując je „z zewnątrz” – dzięki wzrokowi. Gdy patrzyła na swoje ciało, potrafiła się poruszać, gdy odwracała wzrok, ciało stawało się na powrót bezwładne. „Jej życie jest czymś wyjątkowym. Jest ona, o ile wiem, jedynym w swoim rodzaju pierwszym »bezcieleśnym« człowiekiem na Ziemi” – zdumiewał się Sacks.

W następnej opowieści opisuje pacjenta, któremu wydawało się, że jego noga jest obcym martwym ciałem. Nieustannie z obrzydzeniem próbował ją wyrzucić z łóżka, w związku z czym wielokrotnie lądował na szpitalnej podłodze.

Inny neuropsycholog z talentem pisarskim – Paul Broks – w książce „Niedostępny świat. Podróż w głąb umysłu” opisuje z kolei przypadek osoby dotkniętej zespołem Cotarda, której wydawało się, że jej ciało jest martwe. Taki zdumiewający stan psychiczny towarzyszy niekiedy ciężkim stanom depresyjnym. Nie znamy jego dokładnej etiologii.

Mózg

Te przypadki pokazują, że kontakt świadomości, czyli „ja” psychologicznego, z ciałem jest zapośredniczony w struktu-

rach mózgu. Jeżeli mózg zaczyna szwankować, może dochodzić do sytuacji, która „nie śniła się filozofom”, a która jest w polu zainteresowań nauk empirycznych.

Zwykle stany te prowadzą do cierpienia, trudnego do wyobrażenia dla osób z normalnie funkcjonującymi mózgami. Niektóre z nich zaś prowokują ważne etyczne pytania. Jeżeli np. osoba dotknięta taką chorobą będzie żądała od lekarzy usunięcia obcej (w jej postrzeganiu) kończyny, to czy powinni oni ją usłuchać – tym samym przecież kalecząc jej ciało?

Odpowiedź w dużej mierze będzie zależała od nieodwracalności uszkodzenia mózgu i od tego, czy nowy stan w żaden sposób nie da się psychologicznie „oswoić”. Jeżeli cierpienie danej osoby będzie rosło aż do prowokowania myśli samobójczych, trudno nie uznać, że ratowanie takiej osoby jest usprawiedliwione, nawet kosztem jej okaleczenia.

Takich pozbawionych nadziei przypadków znajdziemy wiele zwłaszcza wśród transseksualistów. Kazimierz Imieliński i Stanisław Dulko w monografii „Przekleństwo Androgyne” podają, że wskaźnik prób samobójczych wśród nich sięga od 70 do 90 procent. Transseksualizm jest niezgodnością płci psychologicznej →

→ z płcią morfologiczną. Osoba transseksualna czuje się zamknięta w ciele o przeciwnej płci. Poza tym wszystko inne funkcjonuje jak u zdrowego człowieka: brak chorób psychicznych, nieprawidłowości hormonalnych i genetycznych. Nauka nie zna dokładnej przyczyny transseksualizmu. Ale fakt, że nie ma innych skutków poza niezgodnością płci, świadczy o tym, że jakiś czynnik lub nieszcześliwe zgranie kilku czynników (hormonalnych i/lub genetycznych?) spowodowało taką specyficzną zmianę rozwojową. Dopóki nauka nie rozpozna dokładnej genety transseksualizmu i nie nauczy się bezpiecznie i skutecznie przywracać właściwą architekturę mózgu (czy to kiedykolwiek będzie możliwe?), lekarzom pozostawać będzie niedoskonała pomoc w postaci terapii hormonalnej i chirurgicznej korekty płci.

Natura

Transseksualizm w akronimie LGBT+ identyfikuje się z literką „T”. Co łączy ludzi identyfikujących się z pozostałymi literami – lesbijki, gejów, biseksualistów („+” oznacza otwarcie na inne grupy)? Wszyscy mają inaczej niż większość heteroseksualna ukonstytuowaną biologicznie seksualność – i co ważne: nie wybierają jej. Innymi słowy, łączy je zróżnicowanie natury ludzkiej, które wcale nie jest powszechnie uznawane. Nie uznaje go też Magisterium Kościoła.

Według nauczania Kościoła człowiek został stworzony tylko w dwóch wersjach: jako heteroseksualny mężczyzna i heteroseksualna kobieta – oboje zdolni do stworzenia płodnej rodziny. To jest etyczny wzorzec. Ponadto obowiązująca antropologia teologiczna ogranicza się do nauczania św. Tomasza o duchowej duszy, która formuje ludzkie ciało w nierozdzielalną całość. Ona odpowiada za tożsamość człowieka i jako forma substancjalna jest też dla ciała jedynym źródłem dynamizmu.

Z tej antropologii wynikają konsekwencje etyczne, np. trudności z oceną korekcji płci u transseksualistów. Ponieważ ciało tworzy jedność z duszą, tak drastyczna ingerencja w ciało godzi w naturę człowieka. Poza tym koncepcja ta nie uznaje czegoś takiego jak płeć psychiczna. W ogóle nie ma miejsca w niej na świadomość, czyli „ja” psychologiczne. Wyższe władze duszy, czyli rozum, wola i po części pamięć, są natury czysto du-

Filozofowie i teologowie powinni stosować wyniki nauk przyrodniczych;

a – po drugie – tam, gdzie się bezpośrednio nie da zastosować wyników tych nauk, spekulacja filozoficzna i teologiczna powinna przynajmniej być z nimi niesprzeczna.

chowej (dlatego dusza jest nieśmiertelna), nie są zależne od ciała.

Dogmatyk, ks. Grzegorz Strzelczyk, przypomniał niedawno, że teologowie mieli duże problemy z uznaniem „ja” psychologicznego w Jezusie. W tekście „Neuro nauki a zagadnienie wiedzy Jezusa” pokazał, że nieuwzględnianie w antropologii teologicznej współczesnej wiedzy o ciele, w przypadku rozważań na temat ludzkiej wiedzy Jezusa, „może skutkować materialną herezją polegającą na przypisywaniu Chrystusowi własności, których nie sposób zaliczyć do ludzkiej natury” (wiedza Jezusa, jako niezależna od ciała, może się rozrastać w nieskończoność).

Niewątpliwie przyjmowana w Kościele koncepcja antropologii teologicznej jest do reformy.

Dusza

Z metodologicznej przewagi w badaniu empirycznej rzeczywistości nauk przyrodniczych nad filozofią i teologią wynikają dwie zasady, którym powinna podlegać spekulacja filozoficzna i teologiczna: po pierwsze, wszędzie tam, gdzie tylko to możliwe, filozofowie i teologowie powinni stosować wyniki nauk przyrodniczych; a – po drugie – tam, gdzie się bezpośrednio nie da zastosować wyników tych nauk, spekulacja filozoficzna i teologiczna powinna przynajmniej być z nimi niesprzeczna.

Koncepcja duszy duchowej abstrahująca od ciała obie te zasady łamie. Po pierwsze, nauka podaje bardziej spójne i empirycznie potwierdzalne wyjaśnienie dynamizmu życia. Metafizyka Ary-

stotelesowska wskazuje na duszę jako na źródło dynamizmu – to zabieg czysto pojęciowy. Nauka zaś – np. z perspektywy termodynamicznej – ukazuje empiryczny, a więc sprawdzalny mechanizm powstawania względnie trwałych układów dyssypatywnych (rozpraszających energię) w stanach dalekich od równowagi, choć oczywiście nie wszystko jeszcze zostało wyjaśnione. Po drugie, wyższe władze duszy – rozum, wola i pamięć (czyli tzw. dusza duchowa), jakkolwiek je metafizycznie rozumieć – nie są niezależne od mózgu, a za takie uważał je św. Tomasz i cała tradycja katolicka. W tym sensie współczesna nauka falsyfikuje tezę metafizyczną. Arystotelesowsko-tomistyczne ujmowanie rzeczywistości człowieka domaga się dzisiaj wiary wbrew naukowym faktom.

Nie oznacza to, że antropologia uwzględniająca wyniki nauk przyrodniczych jest skazana na ignorowanie rzeczywistości duchowej. Zdolności duchowe wyłaniają się wraz z coraz większym komplikowaniem się ewolucyjnym cielesnej natury. Filozofowie mówią: wyłaniają się emergentnie, czyli nieredukowalnie do niższych poziomów rzeczywistości materialnej. One są czymś nowym i rzeczywistym. To jedna z koncepcji, która broni rzeczywistości duchowej.

Są już w Polsce teologowie, którzy próbują rozwiązać w tym kierunku nauczanie o duszy. Zdaniem cystersa o. Jana P. Strumiłowskiego w teologii ostatecznie nie chodzi o to, by dusza była formą ciała i źródłem jego dynamizmu, tylko by jakiś pierwiastek duchowy gwarantował tożsamość człowieka i możliwość jego otwarcia na Boga. W artykule „Problem cielesności pamięci w perspektywie eschatologicznej” pokazuje, że istnieją nowe koncepcje antropologiczne, nieodwołujące się do kategorii duszy, które spełniają te warunki. Wtórę mu krakowski dogmatyk, ks. Robert J. Woźniak, w artykule „Materialno-biologiczny wymiar obrazu Bożego w człowieku”. (Wszystkie trzy wymienione teksty ukazały się na łamach wydawanego przez Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu miesięcznika „Scientia et Fides” – to jedyne w Polsce czasopismo teologiczne, które programowo konfrontuje teologię z nauką).

Postulaty unowocześnienia antropologii teologicznej z największym oporem

spotykają się jednak na terenie teologii moralnej. Istnieje obawa, że zreformowane fundamenty mogą doprowadzić do niekontrolowanych zmian w delikatnej moralnej materii.

Prawo naturalne

Kościół podpowiada, jak mamy rozpoznawać prawo moralne. Mamy wejrzeć głęboko w siebie i wrażliwym rozumem (czyli takim, którego metaforą jest bardziej serce niż głowa) rozeznaczyć swoje szlachetne pragnienia wpisane w naszą naturę, i korzystając z ich energii, budować ścieżkę życia, tak by z czasem cierpliwie (można by dodać: po drodze zapewne upadając) doprowadzić do rozkwitu naszego człowieczeństwa.

Ktoś by mógł zapytać: po co tyle zachodu – przecież są przykazania? Owszem, jednak są one tylko drogowskazami. Prawdę moralną trzeba samemu w sumieniu rozeznaczyć i świadomie oraz dobrowolnie włączyć w swoje życie. Nawet najszlachetniejsze czyny narzucone z zewnątrz – np. podejmowane z lęku – nie są w pełni moralne. Mało tego, należy postępować zgodnie z normami błędnie uznanymi za moralne, jeśli tylko w sumieniu jesteśmy przekonani, że dobrze czynimy.

Św. Tomasz podpowiadał, że są trzy główne „skłonności naturalne”: troska o zachowanie życia, prokreacja – obie pochodzące z naszej zwierzęcej natury (zaliczenie prokreacji do zwierzęcej natury zaważyło na tym, że Kościół przez długi czas deprecjonował seksualność i jej używanie usprawiedliwiał tylko prokreacją) oraz czyste ludzkie dążenie do prawdy i do życia w społeczeństwie.

Tak w skrócie wygląda koncepcja prawa naturalnego głoszona w Kościele. Choć ma ona swoje słabe strony (nieostryść pojęcia „natury ludzkiej” oraz możliwość moralnego interpretowania na różne sposoby skłonności naturalnych), Kościół w swoim nauczaniu dotychczas nigdy nie zrezygnował z odwoływania się do tej koncepcji. Mocny nacisk na prawo naturalne np. postawił Jan Paweł II w swojej encyklice „Veritatis splendor” z 1993 r., a w 2009 r. watykańska Komisja Teologiczna na zlecenie Benedykta XVI przyjrzała się możliwości odnowienia tej koncepcji. Wyniki badań opublikowane zostały w dokumencie „W poszukiwaniu etyki uniwersalnej: Nowe spojrzenie na prawo naturalne”.

Jak rozpoznaje prawo moralne homoseksualista?

Podobnie jak osoba heteroseksualna: odkrywa w sobie silne pragnienie i zdolność kochania drugiej osoby oraz stworzenia z nią trwałego intymnego związku.

Jak rozpoznaje w swoim sumieniu prawo moralne homoseksualista? Podobnie jak osoba heteroseksualna: odkrywa w sobie silne pragnienie i zdolność kochania drugiej osoby oraz stworzenia z nią trwałego intymnego związku. W tym dostrzega szansę na rozwinięcie pełni zdolności swojego człowieczeństwa. Nie rozumie, dlaczego w jego przypadku ta pełnia ma być złem moralnym i to wyjątkowo poważnym. Owszem, jest zdolny pokochać tylko osobę tej samej płci, w związku z czym ich intymna relacja nie może być biologicznie płodna, ale przecież seksualność przy orientacji homoseksualnej nie traci swojej podstawowej dla gatunku ludzkiego więziotwórczej funkcji. To nie jego wina przecież, taką ma naturę.

Prawo naturalne obejmuje także relacje społeczne. Tu refleksja nie może się ograniczać tylko do perspektywy indywidualnego sumienia. Argument, że małżeństwo oparte na heteroseksualnej parze powinno być społecznie uprzywilejowane ze względu na możliwość odnowy pokoleń, ma sens.

Sumienie

W świetle ogólnie rozumianej koncepcji prawa naturalnego moralny spór o homoseksualizm można zatem sprowadzić do dwóch stanowisk: (1) akty homoseksualne są sprzeczne z naturą człowieka stworzonego jako mężczyzna i kobieta, którzy są zdolni do zbudowania trwałego i płodnego związku małżeńskiego i to ta natura jest moralnym wzorcem i odniesieniem; (2) akty homoseksualne

są zgodne z naturą homoseksualistów, natura ludzka – co pokazują współczesne nauki – nie występuje bowiem tylko w dwóch odmianach. Spór ten zatem jest ostatecznie sporem o naturę ludzką, o jej odmiany i moralną wagę, a ważnym arbitrem w coraz większym stopniu okazują się być współczesne nauki przyrodnicze.

Dla moralisty jest to jednak poważny problem. Jeżeli założymy, zgodnie z danymi współczesnej wiedzy, że natura ludzka nie jest doskonałą jednością cielesno-duchową, tylko jest zbudowana – upraszczając – z wielu „klocków”, które podczas ontogenezy mogą ulec poprzestawianiu, to otrzymujemy teoretycznie bardzo wiele różnych wersji ludzkiej natury. Przez to coraz bardziej rozmywa się możliwość formułowania konkretnych norm moralnych, np. w sferze seksualnej. I właściwie nie widać dobrego wyjścia z sytuacji...

Wiadomo jednak, że wzrasta wtedy znaczenie indywidualnego sumienia (ja, heteroseksualista, nie mogę wyznaczać najlepszego celu życiowego homoseksualiście, bo nie mam dostępu do jego pragnień, odczuć, doświadczeń i życiowej wiedzy). I taką tendencję już można w Kościele obserwować.

Drogi

W konsekwencji przed Kościołem, jak się wydaje, są trzy możliwe drogi. Pierwsza to defensywna obrona nauczania w dotychczasowej formie, a więc w oparciu o anachroniczną antropologię. Ta strategia prowadzić będzie do coraz większego oddalania się teologii i Kościoła od nowoczesnej wiedzy oraz tracenia zdolności tworzenia nowych, przekonujących argumentów. Druga możliwość to rezygnacja – wbrew wielowiekowej tradycji – z odwoływania się do koncepcji prawa naturalnego i szukanie innych uzasadnień dotychczasowego nauczania moralnego, np. skupiając się na Biblii. Wówczas jednak Kościół będzie miał kłopot z uzasadnieniem uniwersalności propagowanej etyki. Koncepcja prawa naturalnego dlatego jest tak atrakcyjna, gdyż tę uniwersalność ma gwarantować. Trzecia polegałaby na ostrożnym otwarciu się na wiedzę naukową o człowieku i jednoczesnym dowartościowywaniu sumienia. Przy tej ostatniej strategii nie należy oczekiwać jakichś spektakularnych sukcesów. To w gruncie rzeczy najtrudniejsza droga.

© © ARTUR SPORNIAN



Prorok Balaam na grzbiecie oślicy, detal z drzwi bazyliki Świętego Zenona w Weronie, XII wiek.

że ma wrażenie, iż siedzi w kosmicznym teatrze, obserwując tajemniczy dramat Stworzenia: „zapiera mi dech w piersiach, jakbym latał”. Na takie stwierdzenia Ezra spokojnie odpowiadał, iż Pan nadzwyczaj inteligentnie obmyślił akt Stworzenia, ale w dziele tym – nie było dobra.

Szymon nie krył oburzenia: czy Dzieścioro Przykazań i Wyjście z Egiptu nie wystarczą za wszystkie cuda Pana Zastępów? Odpowiedź Ezry była spokojna, ale i sceptyczna: „W tym, co mówisz, jest wiele prawdy. Nie zapominajmy jednak o Inkwizycji, pogromach, Holokauście, o wymordowaniu milionów niewinnych mężczyzn i kobiet oraz półtora miliona małych dzieci”.

Wyjaśnienie ze strony Szymona przyszło niemal natychmiast: wyobraźmy sobie, że w poczekalni u dentysty siedzi człowiek, który słysząc docierające z gabinetu krzyki, podchodzi do drzwi i zagląda przez dziurkę od klucza. Widzi jedynie w płataninie dziwacznych instrumentów niefortunną ofiarę, nad którą pochyla się bezlitosny kat w białym kitlu. Czyż taki ogląd ma wiele wspólnego z obiektywną rzeczywistością? Czy taki człowiek może pojąć, że jest świadkiem aktu miłosierdzia, a dentysta nie jest zwykłym mordercą? Ezra ze spokojem i dziwnym uśmiechem odpowiedział: „Wybacz mi, Szymonie, głupiec ze mnie. Jakże mogłem zapomnieć, że nasz Król Królów ma dyplom stomatologa!”.

Trudno wyobrazić sobie, by midrasz ten mógł posłużyć jako wprowadzenie do rozważań nad kwestiami przemocy czy ironii w Piśmie Świętym podczas typowego kazania w polskim kościele. Ale dlaczego? Czy wynika to jedynie z mojego, być może błędnego poczucia, że ewangeliczna cnota śmiałości (zob. Ef 3, 12) została poczytana za nierozważną zuchwałość, która może wywołać poczucie nie stosowności, a nawet zgorszenie, zwłaszcza u słuchaczy nieobeznanych głębiej z Biblią?

Kamienna powaga

Choć w ciągu ostatnich kilkunastu lat różnorakie (w tym wybitne) studia homile-

Powaga oślicy Balaama

ALBERT GORZKOWSKI

Choć nie zawsze je zauważamy, ironia i satyra są narzędziami chętnie wykorzystywanymi w Starym i Nowym Testamencie. Często zajmują miejsce krytyki – służą napominięciu, mają budować, a nie niszczyć.

JEDEN Z PIĘKNYCH MIDRASZY JACOBA Rosenberga dotyczy dwóch odmiennych sposobów lektury Biblii. Oto pewnego letniego popołudnia rozmawiali Szymon – żarliwy i na wskroś dogmatyczny ulubiony uczeń rabina, który potrafił

udzielić wszystkich odpowiedzi – oraz Ezra, ironiczny i powściągliwy czytelnik Tory, którego nikt nie potrafił prześcignąć w niekończących się pytaniach. Kiedy pierwszy z nich czytał Księgę Rodzaju, popadał w zachwyt i wyznawał,

tyczne, fachowe komentarze biblijne oraz próby dialogu nad przekładami Starego i Nowego Testamentu w Polsce dają nadzieję, że dyskusja nad egzegezą Pisma Świętego przyniesie dobre – w sensie filologicznym – owoce, to jednak niektóre kwestie wciąż podlegają tabuizacji. Jedną z nich jest niewątpliwie ironia biblijna. Trudno zrozumieć, że tak ciekawy, dyskusyjny i wielopłaszczyznowy problem humoru i ironii, a zwłaszcza różnorodność ich funkcji w Starym i Nowym Testamencie, tak rzadko spotyka się z zainteresowaniem polskich biblistów i homiletów.

Kiedy sięgniemy po „Bibliografię bibliistyki polskiej (za lata 1945–2015)” ks. Piotra Ostańskiego, w indeksie rzeczowym pod hasłem „ironia” znajdziemy odsyłacze zaledwie do kilkunastu śladowych pozycji. A przecież przełomowe studium Terri Bednarz „Humor in the Gospels. A Sourcebook for the Study of Humor in the New Testament, 1863–2014” (New York – London 2015) omawia dziesiątki obszernych publikacji z ostatnich 150 lat! Znamienne, że nasza „Encyklopedia katolicka” zawiera wprowadzie hasła „humor” oraz „ironia”, lecz w najmniejszym stopniu nie odnosi się w nich do źródeł biblijnych. To poważne wyzwanie dla polskiego świata teologów i filologów. Słowem: dysponujemy znakomitym materiałem na niejedną ambitną pracę doktorską.

Problem jest o wiele głębszy niż sam fakt pomijania w komentarzach biblistycznych bądź w wypowiedziach homiletycznych ironii. Postrzeganie Biblii niemal wyłącznie przez pryzmat „zapachu świętości” oraz interpretowanie jej z kamienną powagą oznacza w istocie wyrugowanie z tekstu Pisma Świętego naturalnego pierwiastka człowieczeństwa i prowadzi do lekceważenia płaszczyzny literackiej oraz historyczno-krytycznej. Porażająca przez wieki siła „posągowej” tradycji lekturowej odzwierciedla się dziś jeszcze aż nadto wyraźnie w nierzadkim komentowaniu Biblii bez uwzględnienia bodaj cienia poczucia humoru.

Jak zwraca uwagę Benjamin Boisson, kiedy nawet dostrzegamy gdzieś na kartach Starego czy Nowego Testamentu ślady komizmu czy ironii, to wypowiadamy się o nich nadzwyczaj powściągliwie, jakbyśmy stąpali po tafli lodu; tłumimy nasze odczucia i przemyslenia, aby nie splamić obrazu dostojństwa niegodnym, „wulgarnym” (w etymologicznym tego słowa znaczeniu) śmiechem.

Dlaczego w Kościele humor traktowany jest często tak podejrzliwie? Zwykle dla przeciwstawienia stawia się powagę. Ale to właśnie brak poczucia humoru zdradza brak powagi.

Humor jako dystans

W tradycji Kościoła zaważyła tu dość mocno m.in. postawa św. Tomasza z Akwinu, dla którego śmiech był podejrzany i niegodny prawdziwego chrześcijanina, ponieważ miał skłaniać człowieka do grzechu śmiertelnego, a tym samym – stać na drodze do zbawienia. Ale czy naprawdę możemy z kamiennym obliczem studiować fragment Ewangelii św. Łukasza o spotkaniu Jezusa z Zachcuszem schodzącym spiesźnie z sykomy (Łk 19, 1-10)? Czy w słowach Boga skierowanych do Hioba: „Będę cię pytał, a ty Mnie pouczysz!” (Hi 38, 3) François Chirpaz błędnie dostrzega (niemalże ojcowską, choć szorstką) ironię? Czy przyrównanie przez Jezusa ludzi jego pokolenia do „dzieci przesiadujących na rynku, które głośno przymawiają jedne drugim: »Przygrywaliśmy wam, a nie tańczyliście, biadaliśmy, a wyście nie płakali«” (Łk 7, 32) nie należy nazwać „gorzką parodią”? Czy św. Paweł nie wykazuje się czasem (nieco smutnym?) poczuciem humoru, kiedy z autoironią pisze w Liście do Filemona (Flm 8-10), że spłodził w podeszłym wieku, i to w więzieniu, dziecko, które nazywa Onezymem?

Jak zauważa Terri Bendarz, wąska definicja humoru, dotycząca jedynie tych form, których efektem ma być śmiech życzliwy i wynikający z optymistycznej postawy wobec świata, nie oddaje istoty poczucia humoru autorów biblijnych i wielorakich sposobów jego realizacji w tekstach staro- i nowotestamentowych. Humor biblijny, także w kategoriach estetycznych, wykracza poza funkcję komiczną. Jest wyrazem wyrafinowanego namysłu nad rzeczywistością i epistemologicznego dystansu, subtelnej psychiczno-intelektualnej dyspozycji, nakierowanej na odczucie niedorzeczności czy absurdałnej niestosowności, a nawet na niemożność rozpoznania prawdy.

Taki rodzaj humoru, chętnie wykorzystujący wieloznaczne formy (auto)ironii, sarkazmu, parodii, satyry, gry słów, zagadki, hiperboli, a nawet – groteski (np. w Księdze Estery), wcale nie musi prowadzić do śmiechu zabarwionego optymizmem. Przykładem mogą być pierwsze

wspomniane w Biblii (u)śmiechy – Abrahama i Sary, wynikające bardziej z ironicznego powątpiewania niż z wątej nadziei na spełnienie obietnicy Boga.

Humor biblijny (a więc przede wszystkim żydowski) zrodził się, jak zauważają Robert Stein i Yehuda Radday, „na szlifie retoryki i logiki” (właściwych także dla Talmudu). Sięga nierzadko po przykłady sytuacji paradoksalnej lub komicznej oraz po ironiczne riposty, pełniąc funkcję swego rodzaju lekarstwa na polu zabiegów dydaktycznych i nauk moralnych. Ironia i satyra są narzędziami chętnie wykorzystywanymi w humorze Starego i Nowego Testamentu i często zajmują miejsce krytyki; służą napominaniu, mają z pokorą budować, a nie niszczyć.

Odnosząc się do problemu interpretacji poczucia humoru Jezusa, Jakob Jónsson w klasycznej już monografii „Humour and Irony in the New Testament. An Exegetic Study” (Lund 1971) stwierdził: „Jezus posiada dar przenikliwości, ale nie żartuje (...). Przemawiał on z głęboką wewnętrzną powagą, a przy tym inteligentnie i z dowcipem, który ukazuje przenikliwość jego umysłu, niemal zawsze z błyskotliwym humorem, który nadaje jego stwierdzeniom subtelność i przykuwa uwagę. Rozumiał, w przeciwieństwie do niektórych jego zwolenników, że poczucie humoru jest konieczne dla osiągnięcia prawdziwych wartości moralnych i że jest jednym z narzędzi wykorzystywanych przez nauczyciela. Jego stwierdzenia często powodują, że widzi się prawdę z jaskrawością, która w innym przypadku byłaby niemożliwa. Bodaj najczęściej jego inteligentny dowcip przybiera formę uporządkowanych, lakonicznych i sugestywnych stwierdzeń”.

Nieoczywiste klucze

Autorzy i redaktorzy ksiąg Starego Testamentu nierzadko kpią z głupoty, pychy i zarozumiałości, prowokując nas do (u)śmiechu, jak w przypadku słynnej, a zbliżonej gatunkowo do bajki (!) opowieści o oślicy Balaama (Lb 22, 22-35). Jeszcze kilkadziesiąt lat temu część biblistów zupełnie ignorowała fabularny aspekt tej perykopy, starając się dla niej znaleźć wyłącznie teologiczne wyjaśnienia, niekiedy kuriozalne (np. że oślica jedynie wydała ryk, Balaam zaś cudownie przetłumaczył go na ludzki język!). Jak dowodzą Edwin Good i ks. Wojciech Pikor, w Księdze Jonasza (której autor →

→ i tytułowy bohater nie ma nic wspólnego z prorokiem Jonaszem z VIII w. p.n.e.!) ironia staje się niezwykle istotnym narzędziem narracji i pełni w niej rozmaite funkcje, począwszy od dramatyzującej, poprzez dydaktyczną, a skończywszy na komicznej. Co więcej, cała opowieść o przygodach Jonasza, którą niektórzy określają mianem „arcydzieła biblijnego (tragi)komizmu”, parodiuje klasyczny scenariusz znany z innych ksiąg starotestamentowych.

Zrozumienie wyrafinowanej gry słów oraz ironii w Biblii zależy w znacznej mierze od kompetencji czytelnika, jego wrażliwości językowej i historyczno-kulturowej, znajomości oryginału, pochodzenia danego motywu biblijnego, wycucia artystycznego stylu i retorycznego wydźwięku tekstu, wnikliwej analizy kontekstu etc. Jednak nawet bardzo dobra znajomość tekstu biblijnego oraz realiów kulturowych nie wyklucza w niektórych przypadkach wątpliwości i rozterek interpretacyjnych.

Czy już pierwsze w Biblii pytanie skierowane do Adama: „Gdzie jesteś?” (Rdz 3, 9) zawiera w sobie jedynie znamiona apelu odwołującego się do poczucia odpowiedzialności człowieka za swój czyn, czy jest również delikatnym, acz boleśnie ironicznym, pierwszym znakiem dystansu Boga wobec stworzenia? Zdzisław Pawłowski i ks. Julian Warzecha nie mają wątpliwości, że słowa Boga: „Oto człowiek stał się jak jeden z Nas: zna dobro i zło; niechaj teraz nie wyciągnie przypadkiem ręki, aby zerwać owoc także z drzewa życia, zjeść go i żyć na wieki” (Rdz 3, 22) mają wydźwięk głębokiego sarkazmu. Z kolei ks. Janusz Lemański dostrzega w tym wersecie nie ironię, lecz troskę o człowieka i rzeczywistą obawę, że człowiek mógłby uczynić kolejny krok i sięgnąć po owoc z drzewa życia, co dałoby mu życie wieczne. Który z badaczy ma rację?

Czy słynne słowa Piłata: „Oto człowiek” to wyraz ironii i poniżenia, czy przeciwnie – jak sugerował m.in. Marcin Luter – przejaw autentycznego podziwu dla wielkości człowieczeństwa i celowe podkreślenie królewskiej godności Chrystusa? Może paradoksalnie wyznaczenie Piłata łączy w sobie obie te postawy? Większość biblistów w pytaniu Jezusa: „Teraz wierzyć?” (J 16, 31) zauważa ironiczny wyrzut pod adresem

uczniów, są jednak tacy, którzy sądzą, że zdanie to nie ma w ogóle charakteru pytającego i wyraża tylko uznanie Jezusa dla rodzącej się (choć słabej) wiary uczniów.

Dla Giuseppego Ferrary słowa Chrystusa: „Jednak dziś, jutro i pojutrze muszę być w drodze, bo rzecz to niemożliwa, żeby prorok zginął poza Jeruzalem” (Łk 13, 33) to oczywisty przykład bolesnej, tragicznej ironii Jezusa graniczącej z sarkazmem – ale czy tak jest naprawdę? W świetle ciekawej, acz dość dyskusyjnej interpretacji Dudleya Zavera Mateuszowa perykopa o podatku świątynnym (Mt 17, 24-27), w której Jezus poleca Szymonowi iść nad wodę, złowić rybę i wydobyć z niej monetę, jest w istocie głęboko ironiczna, gdyż w wersecie poprzednim Chrystus wyraźnie sugeruje, że On i jego uczniowie są jako dzieci Boga zwolnieni od zobowiązania podatku wobec państwa. Może to właśnie ironia, jak sądzi Donald Fletcher, jest kluczem do zrozumienia trudnej przypowieści o niegodziwym rządcy (Łk 16, 1-13), w której Jezus wcale nie pochwalił fałszywej roztropności, lecz w istocie przed nią przestrzegał? A scena spotkania Jezusa z uczniami podążającymi do Emaus (Łk 24, 13-35)? Czy i tę perykopę potraktujemy jedynie z surową powagą? (zainteresowanych odsyłam do kontrowersyjnej, ale wartej głębszej uwagi, interpretacji tej sceny przez o. Grzegorza Kramera na YouTube).

Może naprawdę rozumiemy niewiele? I mniej nawet niż uczniowie Jezusa? Jeśli powyższy szkic niepokornego filologa skłoni czy to ekspertów, czy zwykłych zjadaczy chleba do cierpliwego namysłu nad Biblią (ale bez kamiennego oblicza), spełni swój cel. Nie należy pogardzać żydowską mądrością (o której przypominał tu niedawno Paweł Śpiwak), że „Tora zostawia miejsce na wątpliwości i dyskusje, ponieważ Bóg chciał, by wszyscy szukali prawdy bez pewności, że ją znajdą. Tak jest, ponieważ Bóg kocha pragnienie i poszukiwanie prawdy bardziej niż jej poznanie”.

© ALBERT GORKOWSKI

Autor jest badaczem literatury staropolskiej i dawnej, eseistą i tłumaczem, znawcą starożytnej retoryki i filologią biblijną. Profesor nadzwyczajny Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Ołtarz czy mihrab

MARCELINA SZUMER-BRYSZ
Z IZMIRU

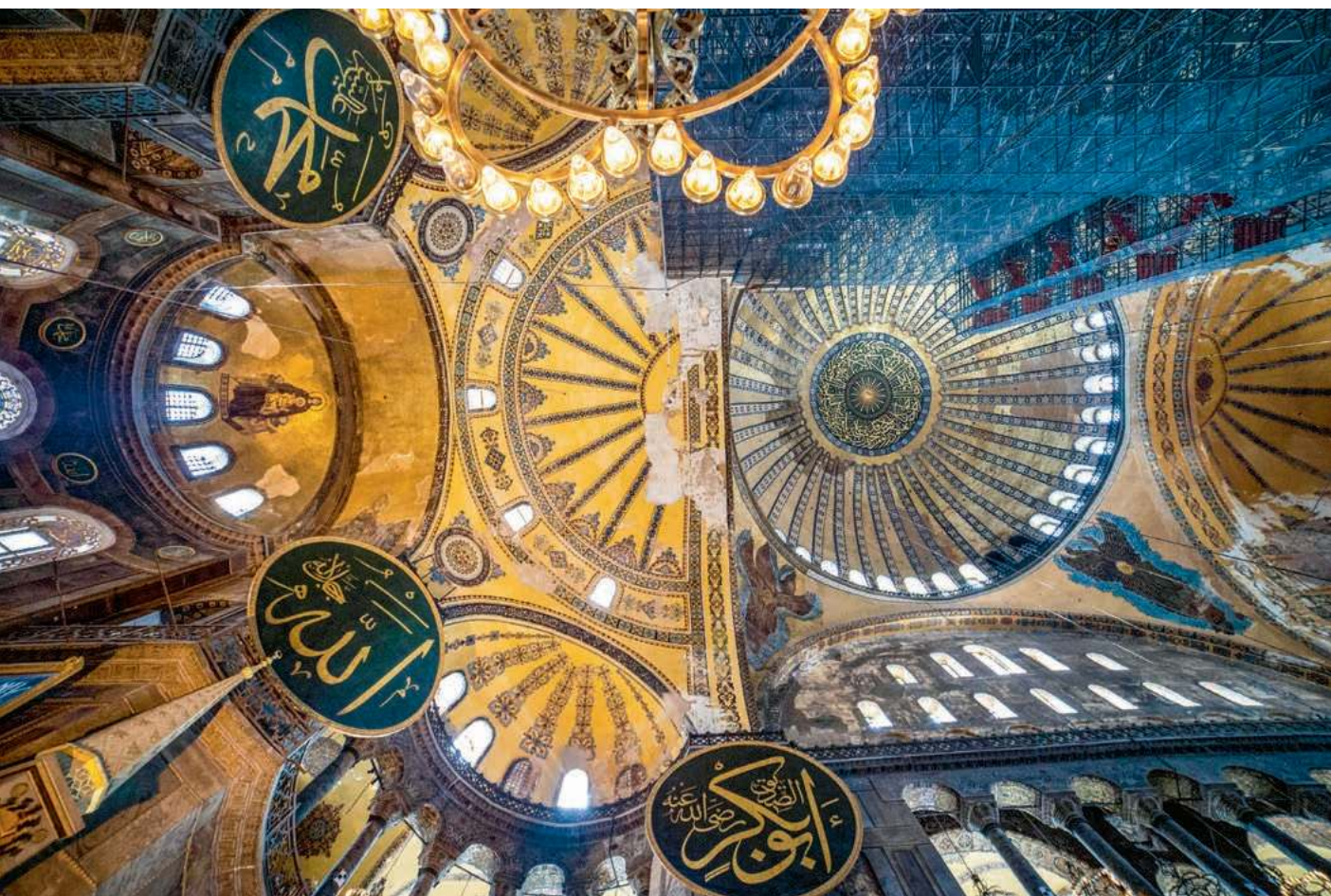
Spór o Hagię Sopińską nie ustaje, a prawo do świątyni roszczą sobie nie tylko muzulmanie.

PRZESTRZEŃ KOŚCIOŁA MĄDROŚCI Bożej jest niezwykła. Z ciemnoszarego marmuru posadzki wyrastają zielone marmurowe kolumny zwieńczone misternie rzeźbionymi kapitelami. W licznych półkolistych wnękach kolumny są z kolei czerwone, porfirowe. Podnosząc głowę można dostrzec żywe kolory bizantyjskich malowideł i wielobarwnych mozaik przedstawiających Chrystusa Pantokratora, Maryję z dzieciątkiem, świętych, władców i anioły. Można też podziwiać je z bliska, wchodząc nieco wyżej, na otoczone przez balustrady i podtrzymywane przez kolejne kolumnady galerie.

Światło wpadające do środka przez dziesiątki okien okalających podstawę ogromnej, wspartej na czterech nieregularnych filarach kopuły, równie jasno oświetla wielkie, zielonkawe medaliony z arabskimi inskrypcjami, jak i pozbawione twarzy serafiny. Trzy rzędy okien otaczają też znajdujący się w jednej z wnęk, wskazujący Mekkę mihrab, z którym od lewej sąsiaduje wysoki, malowany w złote, geometryczne wzory minbar – islamska kazalnica, a od prawej jasna, otoczona finezyjną, ażurową balustradą loża, w której siadywali osmańscy sułtani.

Cesarze i sułtani

Pierwsza świątynia powstała w tym miejscu niedługo po przeniesieniu stolicy Imperium Romanum do Bizancjum, w 330 r. po Chrystusie, ale architektoniczną perłę, której budowa zajęła niespełna sześć lat, zawdzięczamy Justynianowi I. Cesarz, który zlecił jej



NICOLAS ECONOMOU / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Sklepienia świątyni Hagia Sophia. Stambuł, wrzesień 2018 r.

budowę w 532 r., nie szczędził środków i sił, świątynia miała być bowiem symbolem potęgi chrześcijaństwa. Pośpiech okazał się jednak złym doradcą. Pierwsze naprawy zaczęły się chwilę po konsekracji świątyni i... trwają do dziś.

Ale to nie błędy konstrukcyjne ani liczne trzęsienia ziemi, po których trzeba było remontować świątynię, lecz uczestnicy czwartej krucjaty wyrządzili w niej największe szkody, niszcząc i grabiąc skarby oraz relikwie. Gdy po pół wieku pełnienia roli katolickiej katedry w 1261 r. Hagia Sophia wróciła w ręce Bizantyjczyków, daleko jej było do dawnej świetności.

Trudno uwierzyć, że ostatecznie o oswobodzenie i ratunek dla chrześcijaństwa razem modlili się i „Grecy”, i łacinnicy. Nie wymodlili. Sułtan Mehmet po wkroczeniu do miasta udał się prosto do kościoła Mądrości Bożej. Nie zachował się jednak ani jak cesarz Justynian, który po przekroczeniu jej progu miał zakrzyknąć „Salomonie, przewyższyłem cię!”, ani jak katolicycy zdobywców – wandalę sprzed dwóch stuleci. Późnym popołudniem 29 maja 1453 r. stanąw-

szy przed drzwiami świątyni, pochylił się i posypał głowę ziemią na znak ukorzenia przed Bogiem. Nie ma pewności, czy to on, czy też islamski duchowny wypowiedział pierwszą modlitwę i słowa „Nie ma Boga nad Allaha”, ale od tej chwili Hagia Sophia stała się meczetem.

Natychmiast rozpoczęły się prace, tak konserwatorskie (naprawa konstrukcji, dobudowanie nowych przypór), jak i dostosowujące budowlę do nowych celów. Dobudowano minarety, mozaiki zakryto warstwą tynku, a podłogi wyłożono dywanami. Krzyż wieńczący kopułę został zastąpiony przez islamski półksiężyc. Kolejne stulecia przynosiły rozbudowę kompleksu. Powstały kolejne minarety, medresa, fontanna do dokonywania ablucji przed modlitwą. Przez niemal pięć stuleci Hagia Sophia była jednym z najważniejszych meczetów nie tylko nowej stolicy, ale całego Imperium Osmańskiego, stając się symbolem triumfu, tym razem islamskiego.

Ostatnia msza

Minarety, dywany i dodanie do nazwy słowa „meczet” nie zmieniły zasadniczo

podejścia chrześcijan, którzy – słusznie skądinąd – czuli się, i tak jest do dziś, ograbieni. I próbowali walczyć o swoje. Ostatnia msza w bazylice wcale nie odbyła się w 566 r. ale... sto lat temu.

W styczniu 1919 r. odprawił ją mnich z Krety, kapelan wojskowy, o. Lefteris Noufrakis. Skończyła się właśnie I wojna światowa, a Konstantynopol znajdował się pod tymczasowym alianckim zarządem. Statek z grecką dywizją zacumował na otwartym morzu. Pięciu wojskowych i mnich dostali się na brzeg łodziami. Naczynia liturgiczne i rzeczy niezbędne do odprawienia mszy mieli ze sobą. Niepostrzeżenie weszli do niepilnowanej przez nikogo świątyni. W trakcie mszy do meczetu schodzili się i greccy, i tureccy mieszkańcy miasta. Pierwsi płakali czyniąc znak krzyża, drudzy stali zaskoczeni, nie wiedząc, co mają robić. Żołnierze przyjęli komunię, odśpiewano psalmy.

Po skończonej mszy Hagia Sophia pełna już była podobno wściekłych muzułmanów gotowych rozszarpać nieproszonych gości. Ci jednak, jak gdyby nigdy nic, skierowali się do wyjścia. ➔

⇒ Być może nie uszliby z życiem, gdyby nie turecki urzędnik, który – chcąc nie chcąc – nakazał, by ich wypuszczono. Wiedział, że śmierć greckich oficerów nie pomoże osłabionemu państwu. Wybuchł skandal dyplomatyczny i ostatecznie grecki premier Eleftherios Venizelos udzielił duchownemu oficjalnej reprimendy. Nieoficjalnie jednak pogratulował mu i podziękował za spełnienie „najświętszego marzenia narodu” i „przywrócenie życia świątyni Hagia Sophia”.

Handel wymienny

Trudno uwierzyć, że 11 lat po upadku sułtanatu, w latach 30. XX w., twórca i pierwszy prezydent nowej Republiki Tureckiej bez żalu nakazał desakralizację budynku i zamienienie go w muzeum. Choć wielu Turków uważa, że Hagia Sophia stanowiła dla Mustafa Kemala Atatürka ważny symbol sekularyzacji państwa, jest to tylko część prawdy.

Wódz chciał bowiem przy jednym ogniu upiec dwie pieczenie: duchową i polityczną. W 1934 r. państwa bałkańskie zawiązały koalicję przeciwko faszystowskiemu Włochom i nazistowskiemu Niemcom. Turcja pragnęła dołączyć do układu Grecji, Jugosławii i Rumunii. Grecy posłowie mieli zasugerować, że zeświecczenie Hagia Sophii byłoby ze strony Turków aktem dobrej woli, który przekonałby pozostałych. Według zachowanych przekazów Atatürk miał powiedzieć, że jeśli wyświadczając Grekom tę „przysługę”, uda się jednocześnie uratować pakt bałkański i zdobyć fundusze na ocalenie znajdującej się w opłakanym stanie świątyni, powinno się to zrobić. Tak też się stało.

Od 1935 r. do dziś Hagia Sophia jest muzeum. Elementy islamskie też zachowano, choć niektóre freski z czasów, gdy Hagia Sophia była meczetem, uległy zniszczeniu podczas odświeżania malowideł bizantyjskich.

Oddajcie nam meczet

Nie wszyscy pogodzili się z decyzją Atatürka. Gorliwi muzułmanie nigdy nie zaakceptowali desakralizacji świątyni. Religijne czasopisma ani na chwilę nie zrezygnowały z debaty o przyszłości Hagia Sophii. W magazynie „Vesika” można było przeczytać o czarnym dniu w historii, koszmarnym śnie i decyzji, która pograżyła islamską społeczność w ciemnościach. W latach 60. Bakın Üstad Kara-

koç pisał, że muzułmańska Hagia Sophia stała się niewolnikiem, którego trzeba oswobodzić, zaś magazyn „Fedai” podkreślał, że Hagia Sophia to godność i honor Turków.

W dzisiejszych gazetach też czytamy, że bożki zostaną obalone, a świętość przywrócona, że czarne dni z historii Hagia Sophii zostaną wymazane, gdy na powrót stanie się meczetem. Czy można się więc dziwić, że Recep Tayyip Erdoğan, rządzący Turcją od przeszło 17 lat, postanowił „wykorzystać koniunkturę”? Polityk, którego ważnym celem było przywrócenie znaczenia religii w świeckim państwie, na powrót rozbudził marzenia islamistów i przy okazji – zyskał głosy konserwatywnych wyborców.

Pierwsze komunikaty o przywróceniu meczetu nie bez przyczyny zaczęły się pojawiać przed kolejnymi wyborami, niedługo potem z minaretów znów popłynęło nawoływanie do modlitwy. Sześć lat temu nad wnioskiem o zamienienie muzeum w meczet debatować miał turecki parlament, przed rokiem zaś – turecki Trybunał Konstytucyjny. Nieprawdą jest jednak, jak podawały niektóre media, że zdecydował on o pozostawieniu muzeum. Sędziowie po prostu oddalili złożony przez prywatne osoby wniosek ze względu na nieprawidłowości.

Zresztą sąd jedno, politycy drugie. Latem ubiegłego roku w trakcie ramadanu odbyła się islamska modlitwa. Celebrował ją duchowny z urzędu do spraw religii, uczestnikami byli prominentni politycy. Kilka miesięcy później, wiosną 2019 r., prezydent straszył, że zwycięstwo opozycji w wyborach lokalnych to gwarancja powrotu Konstantynopola i kościoła w miejsce muzeum. Kilka-krotnie wracał do tematu podczas wieców sugerując, że zrobi wszystko, by Hagia Sophia na powrót była meczetem. „Wstęp będzie darmowy, możemy nawet zmienić nazwę na Aya Sofya Cami [Meczet Hagia Sophia – red.]” – mówił niedawno podczas wystąpienia telewizyjnego. Wśród polityków partii rządzącej i ich zwolenników pojawiły się też głosy, że skoro Donald Trump uznał Jerozolimę za stolicę Izraela, Turcja powinna w odpowiedzi przywrócić meczet w stambulskiej świątyni.

Sprawa wagi państwowej

Wypowiedzi tureckich polityków za każdym razem budzą strach chrześci-

jan i... wściekłość rządów w krajach prawosławnych. Patriarcha Konstantynopola na wszelki wypadek się nie wychyla, ale rząd Grecji już nie ma takich oporów i wielokrotnie wypowiadał się na ten temat, „ganiąc” Turków i przypominając o chrześcijańskiej historii tego miejsca. „Hagia Sophia to dziedzictwo kultury, ona należy do całej ludzkości” – stwierdził minister spraw zagranicznych Grecji George Katrougalos, dodając, że groźby Erdoğan obrażają nie tylko chrześcijan, ale całą społeczność międzynarodową.

Nieco dalej poszli Rosjanie. W czasie kryzysu wywołanego strąceniem przez Turków rosyjskiego myśliwca zasugerowali, że Turcja powinna zwrócić Hagie Sophie prawosławny. „Byłby to akt dobrej woli i przyjazny krok” – oznajmił deputowany rosyjskiej dumy Siergiej Gawriłow, dodając na osłodę, że Rosja mogłaby partycypować finansowo w tym przedsięwzięciu, a nawet wysłać na miejsce swoich najlepszych architektów i konserwatorów.

Gdy mocarstwa się pogodziły, temat został zarzucony. Wrócił niedawno, za sprawą grecko-rosyjskiego biznesmena, który zasugerował, że pokryje koszty budowy nowego meczetu, jeśli Turcy oddadzą prawosławny inną Hagie Sophie. Chodzi o kościół nad Morzem Czarnym, który już dawno został zamieniony w meczet. Podobne sugestie pojawiają się jednak w odniesieniu do stambulskiej świątyni. I budzą wściekłość muzułmanów. „Póki istnieją Turcy i turecka dusza, kościoła tu nie będzie!” – grzmiał niedawno Erdoğan.

Licząc na cud

Końca sporu nie widać, nadzieję chrześcijan na zachowanie *status quo* budzi jednak fakt, że Hagia Sophia jako muzeum przynosi potężne zyski, a sytuacja polityczna i ekonomiczna Turcji nie sprzyja gwałtownym ruchom. Politykom i wierzniom obu stron pozostaje się modlić lub liczyć na cud.

Jedna z dziesiątków kolumn w Hagii Sophii spełnia życzenia – wystarczy podobno włożyć palec w znajdujący się w niej otwór i wykonać pełny obrót dłonią. Życzenie spełni się, jeśli palec będzie wilgotny. Prezydent Turcji często ostatnio bywa w świątyni, prawosławni powinni się więc pośpieszyć.

© MARCELINA SZUMER-BRYSZ

SZYMON

Hołownia: Biegniemy tulić



W POZNAŃSKIM SZPITALU IM. RASZEI RUSZA tej jesieni akcja „Senior maluszka tuli”. Osoby po sześćdziesiątce, które odchowały swoje dzieci, wnuki albo po prostu mają trochę czasu i czułości do rozdania, będą pomagać w opiece nad najmniejszymi dziećmi, którymi rodzice nie mogą albo nie chcą się zajmować. Wiadomo, jak krytycznie ważną sprawą jest, by dziecko dopiero co przyszłe na świat było w pierwszym okresie ziemskiej wędrówki, gdy na całe życie formuje się w nim model poznawania i reagowania, otaczane miłością, ciepłem i troską. By miało poczucie bezpieczeństwa, kogoś, kogo może zawołać, do kogo może się przytulić, gdy poczuje, że się czegoś boi, żeby miało wokół siebie dobre dźwięki, dobre twarze, doświadczało dobrego dotyku.

Inicjatorzy – miasto Poznań i miejscowy oddział Polskiego Towarzystwa Opieki Paliatywnej – nie spodziewali się takiego odzewu. Chęć zostania „wolontariuszem od tulenia” zgłosiło ponad 130 tys. ludzi. W szpitalu nie potrzeba rzecz jasna tylu pomocników, przeprowadzono więc selekcję, kursy z opieki nad noworodkiem, przewijania, karmienia, podstaw medycyny, psychologii dziecka, a nawet RODO. Na oddziale zawsze będzie dyżurował jeden wolontariusz.

Podobny projekt, pod nazwą „Terapia sercem”, działa też w innej poznańskiej lecznicy, w szpitalu przy Polnej. Tu też – ale już bez względu na wiek – można zapisać się na wolontariat, w którym głównym zadaniem będzie okazywanie czułości, troski, zainteresowania, uczenie relacji maluchów, które tego potrzebują. Z tego, co się orientuję, tacy wolontariusze pracują też w jednym z zaledwie paru w Polsce Interwencyjnym Ośrodku Preadopcyjnym w Otwocku (do głównego celu działania takich miejsc nawiązuje nazwa innego takiego ośrodka, powołanego przez wspaniałą łódzką Fundację Gajusz, ich dom dla najmniejszych to „Tuli luli”).

Ośrodki preadopcyjne, takie jak ten otwocki i łódzki, to kolejny, poszpitalny etap opieki nad dzieckiem pozostawionym w szpitalu lub w oknie życia (takich dzieci mamy w Polsce rocznie około 800). Trafiają tu też noworodki, do których rodzice tracą właśnie prawa. Zwłaszcza sytuacja maluchów z FAS (alkoholowym zespołem płodowym, w Polsce notuje się ok. 900 przypadków pełnoobjawowego FAS rocznie i dziesięć razy więcej przypadków FASD – alkoholowego uszkodzenia płodu), których rozwój ciężko upośledził nałóg (albo bezmyślność) matki, oraz dzieci z chorobami genetycznymi, nie jest la-

two – ich szanse na zostanie adoptowanymi są znacznie mniejsze. Nie na wszystko jednak mamy przecież wpływ, nie jesteśmy w stanie mieć pełnej kontroli, zadekretować rzeczy takich jak wzbudzenie w sobie na tyle silnej miłości do dziecka, że przybierze ona formę gotowości do przysposobienia, włączenia w swoje życie, swoją rodzinę. Przytulić jednak można. Dać z siebie tyle, ile jesteśmy w stanie. Czasem i w dorosłym życiu bywa tak, że to, co z definicji powinna dać nam rodzina – dostajemy od wyposażonych w dobre serce obcych.

Po co o tym wszystkim piszę? Bo gdy przeczytałem gdzieś o poznańskiej akcji tulenia przez seniorów (wzorowanej na amerykańskich, niemieckich i innych), zobaczyłem, jaki oddźwięk wywołała, jakie komentarze zostawiali ludzie na moim Facebooku, po raz kolejny z całą mocą dotarło do mnie, ilu wokół mnie jest zwyczajnie dobrych ludzi. Polityka, media, biznes, czasem nawet Kościół, zajmują się segregowaniem ludzi na łatwiej zarządzalne stada i stadka, mniejsze czy większe zbiorowości. A ja wciąż głęboko wierzę, że choć można – jak się okazuje – skutecznie przestraszyć uchodźcami 50 czy 60 procent Polaków, to (prawie) każdy z tych Polaków z osobna, gdyby zobaczył matkę – uchodźczynię z dzieckiem – na swojej ulicy, nie przeszedłby obojętnie, przynajmniej zastanowiłby się, czy i jak mógłby pomóc.

Po 30 latach budowania 38 milionów prywatnych Polsk, prywatnych dobrobytów dla siebie, dla rodziców, dla dziecka, czemu towarzyszyło stałe defraudowanie terminu „wspólnota”, degradowanie go do plemiennej sekty stale walczącej z innymi sektami o kwestie światopoglądowe, historyczne, religijne, wciąż jest w nas gen solidarności, naturalny odruch: gdy ktoś zapala światło, to łgniemy. Gdy dziecko zapłacze – biegniemy tulić, ratować.

I zaprawdę nie jestem w stanie zrozumieć niektórych polityków, tych tępych partyjnych aparaczków, którzy z narodu tak wspaniałych ludzi z taką konsekwencją robią walczące ze sobą wciąż na takie czy inne pały armatnie mięso. Którzy nie pokazują im, jak wspaniali byliby, gdyby połączyli te światła, które mają w sobie, w silniejszy promień. Słowo daję, że gdybym był prezydentem (bo z innej pozycji zrobić się tego nie da), ogłosiłbym pięcioletnie moratorium na wszelkie spory światopoglądowe, wetował wszystkie ustawy choćby o centymetr zmieniające *status quo* (w jedną albo w drugą stronę) w tematach takich jak aborcja czy LGBT.

Bo wojenki na kolokwium habilitacyjnych z seksuologii czy bioetyki to będziemy sobie robić, jak odfajkujemy przedszkole. Dostrzeżemy, że kawał naszego życia, całą sferę debaty publicznej, publicznego zaangażowania, wyjęliśmy spod podstawowego kryterium, którym oceniać będziemy kiedyś nasze życie. Bo to chyba przecież dla większości z nas jest w miarę jasne, że na nagrobkach dzieci nie będą nam pisać: „W latach 2005–2015 głosował tylko na PiS” albo „Walczyl z ideologią LGBT”. Ale: „Kochający, wrażliwy przyjaciel”, „Wspaniała matka”, „Najlepszy mąż”, „Był dobrym człowiekiem”. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

MOST NAD DOŃCEM

Zniszczone przeszło od lat jest tematem dyskusji
między walczącymi stronami.

Dotąd nie osiągnięto kompromisu.

Nowy prezydent Ukrainy obiecał odbudować most
w Stancji Ługańskiej, ale to nie jest proste.

PAWEŁ PIENIAŻEK ZE STANCY ŁUGAŃSKIEJ (DONBAS)

PRZY PUNKCIE KONTROLNYM LUDZIE NIE-
mal nieustannie tłoczą się w kolejce.
Stoją spokojni, ale bez wyjątku wyglądają
na przybitych. W przeważającej większo-
ści są w wieku emerytalnym. Przechodzą
kontrolę paszportową, a także kontrolę
rzeczy osobistych. Aby straż graniczna
przepuściła ich przez posterunek, muszą
wcześniej otrzymać elektroniczną prze-
pustkę od Służby Bezpieczeństwa Ukra-
iny.

– Każdy, kto ma paszport uznanego
państwa, może przejść. Ale to niemoż-
liwe, jeśli wydały go tak zwane Doniecka
czy Ługańska Republika Ludowa – mówi
Ihor Szewczuk, podpułkownik Państwo-
wej Służby Granicznej Ukrainy.

Na posterunku służbę pełnią dziś po-
granicznicy i policjanci. Jeszcze do nie-
dawna na samym przedzie stacjonowała
ukraińska armia, ale – ze względu na obu-
stronne wycofanie wojsk, do którego do-
szło na przełomie czerwca i lipca – teraz
żołnierze są na tyłach.

Ludzie w kolejce przechodzą z tery-
toriów nieuznawanej Ługańskiej Repu-
bliki Ludowej (ŁRL) wspieranej przez
Rosję na te, gdzie rozciąga się władza Ki-
jowa. Rozdziela je rzeka Doniec, która
od pięciu lat stała się naturalną linią
frontu.

Ludność cywilna, pragnąca przejść
w jedną lub drugą stronę – często to eme-
ryci, którzy żyją na terenach obu donba-
skich parapaństw i muszą udać się na
stronę ukraińską po swoje emerytury
– musi przeprowić się przez zawałone
podczas walk przeszło mostu.

Schodzi się na nie prowizorycznymi
drewnianymi schodami. Są trudne do
pokonania dla osób starszych, szczegól-
nie zimą i po deszczach, gdy drewno staje
się śliskie. Z kolei teraz, podczas letniego
skwaru, wielu trudno się po nich wspiąć.
Osoby na wózkach lub chodzące z tru-
dem muszą zapłacić za pomoc.

W ten sposób codziennie przeprowia
się od dziesięciu do czternastu tysięcy lu-
dzi. Jest to bowiem jedyne przejście w ob-
wodzie ługańskim między terytoriami
kontrolowanymi przez Ukrainę a obsza-
rem pozostającym pod kontrolą separa-
tystów.

Czas mija, nic się nie dzieje

Wołodymyr Zełenski, który od 20 maja
jest prezydentem Ukrainy, już dwukrot-
nie odwiedził Stancję Ługańską. Po raz
drugi wybrał się tam na początku lipca.
Towarzyszył mu przewodniczący Rady
Europejskiej Donald Tusk. Zełenski jesz-
cze podczas kampanii wyborczej zapo-

wiadał, że osiągnięcie pokoju jest jego
kluczowym celem. „Naszym pierwszym
zadaniem jest zawieszenie broni w Don-
basie” – mówił podczas swojego wystą-
pienia inauguracyjnego.

Zełenski dodał też, że władza musi za-
dbać o Ukraińców, którzy mieszkają na
terenach nieuznawanych republik. Jed-
nym z takich działań ma być właśnie
odbudowa mostu. Po lipcowej wizycie
w Stancji Ługańskiej prezydent zapo-
wiedział, że daje „tydzień, maksymalnie
osiem dni”, rosyjskim separatystom na
demontaż betonowych umocnień. Na-
stępnie w ciągu miesiąca robotnicy od-
budują most – niezależnie od tego, czy
separatyści podejmą inicjatywę władzy
w Kijowie czy nie. W odpowiedzi prze-
wodniczący ŁRL Leonid Pasiecznik napi-
sał na Twitterze, że jeśli Kijów rozpocznie
remont na własną rękę, to separatyści po-



EVGENIYA MAKSYMOVA / AFP / EAST NEWS



Prowizoryczna przeprawa przez Doniec, rzekę oddzielającą tereny kontrolowane przez separatystów, Stanica Ługańska, sierpień 2014 r.

traktują to jako „kolejny akt agresji”, równoznaczny z zerwaniem umowy w sprawie wycofania wojsk.

Choć czas wyznaczony przez Zeleniskiego minął już dawno, betonowe umocnienia zostały nietknięte.

Aby rozpocząć ich demontaż i odbudowę mostu, najpierw teren musi zostać oczyszczony z min i niewybuchów. 31 lipca w Mińsku odbyło się spotkanie Trójstronnej Grupy Kontaktowej – w jej skład wchodzi przedstawiciele Ukrainy, Rosji i OBWE. Postanowiono, że następnego dnia rozpocznie się rozminowanie okolicy mostu. 4 sierpnia ukraińska strona poinformowała jednak, że nie ma gwarancji bezpieczeństwa ze strony nieuznawanej republiki. Wszystko utknęło w martwym punkcie.

Szacuje się, że odbudowa, jeśli nareszcie się rozpocznie, potrwa kilka miesięcy.

Zostali głównie starsi

Zanim wiosną 2014 r. zaczęła się wojna rosyjsko-ukraińska, w Stanicy Ługańskiej mieszkało ok. 15 tys. ludzi. Miejscowość była w zasadzie przedmieściami Ługańska – od stolicy obwodu dzieli ją raptem 18 km w kierunku północnym. Podróż autobusem zajmowała kilkanaście minut.

Do Stanicy Ługańskiej mieszkańcy Ługańska przyjeżdżali odpocząć, a ci ze Stanicy jechali do sąsiedniego miasta do pracy. Tam też sprzedawali owoce i warzywa z własnych hodowli. Wszystko zmieniło się w 2014 r., gdy krótka trasa stała się nagle długą i niebezpieczną.

– Stanica nie tylko dostarczała żywność do Ługańska. Była też miejscem, gdzie ludzie z miasta mieli dache, dokąd przyjeżdżali na weekendy czy wakacje – mówi Jewhen Mazniew.

Jewhen jest po trzydziestce, dziś pracuje dla jednej z organizacji pomocowych. Pochodzi z Ługańska i w weekendy wybiera się do rodzinnego miasta, które od pięciu lat znajduje się po drugiej stronie frontu.

– Miejscowa ludność pracowała w Ługańsku i wracała do Stanicy jak do sypialni, na noc. Teraz zostali tu głównie starsi ludzie, rzadko można spotkać rodzinę z małym dzieckiem. Tu nie ma nic do roboty – mówi Mazniew.

Dwa tysiące dni

Wojna rosyjsko-ukraińska w Donbasie trwa już ponad pięć lat. Ktoś podliczył, że w minionym tygodniu, 12 sierpnia, minęło dokładnie dwa tysiące dni tego konfliktu. W jego rezultacie zginęło co najmniej 13 tys. ludzi, a ponad 30 tys. zostało rannych.

⇒ Zdecydowana większość ofiar przypada na pierwszy rok wojny. Od lutego 2015 r., po bitwie o Debalcewe front zasadniczo nie zmienił swego przebiegu i dziś jest to – jak mawiają wojskowi – wojna o niskiej intensywności. Ale – wojna: armia ukraińska musi trzymać na tym froncie kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy (jednostki zmieniają się rotacyjnie) i traci co miesiąc zwykle kilkudziesięciu rannych i zabitych (to straty bojowe na froncie; straty niebojowe – jak wypadki na poligonach, gdzie ćwiczy się ostrą amunicją, wypadki komunikacyjne czy samobójstwa – czasem są na podobnym poziomie).

Na początku wojny Stanica Ługańska została zajęta przez separatystów i Rosjan. Szybko jednak odbiły ją ukraińskie bataliony ochotnicze (walczące w tym rejonie) i regularna armia. W latach 2014–15 w miasteczku i jego okolicach toczyły się ciężkie walki.

Według lokalnej administracji w ich rezultacie zostało zniszczonych lub uszkodzonych 3,5 tys. budynków. Choć w mieście znowu toczy się normalne życie, skutki wojny są widoczne do dzisiaj. Część budynków nie została wyremontowana. Pozostały powybijane okna, ściany z dziurami, które wybiła artyleria, ślady odłamków i pocisków w ceglach, osmolone od pożarów mury. Porzucone ruiny stopniowo obrastają trawą, chwastami i krzakami. Mniejsze zniszczenia – jak dziura po pocisku w sali koncertowej w domu kultury – prowizorycznie załatano, aby nie wpadała przez nie woda, aby nie rzucały się zbytnio w oczy.

Także most nad Dońcem został zniszczony jeszcze latem 2014 r.

Gdy sytuacja w Stanicy Ługańskiej trochę się uspokoiła, a rzeka stała się faktyczną granicą, zaczęto mówić o odbudowie. Jednak strony nie były w stanie osiągnąć porozumienia i przez lata sprawa mostu pozostawała nierozwiązana.

Śmierć po drodze

Ziemia pomiędzy okopami i ostatnimi posterunkami z obu stron to tzw. szara strefa. Czasem może to być tylko kilkadziesiąt lub kilkaset metrów. W Stanicy szara strefa wynosi dziś nawet półtora kilometra. Most znajduje się mniej więcej pośrodku.

Zgodnie z porozumieniem zawartym między stronami, nie mogą tam wchodzić uzbrojeni ludzie. To, paradoksalnie, utrudnia życie przeprawiającym się cy-

Ludzie nie wytrzymują trudów przeprawy.

Większość ofiar
zmarła z powodu
problemów z sercem.

wilom. Jeśli ktoś w okolicach mostu poczuje się źle lub straci przytomność, nie ma mu kto udzielić pomocy. Mogą tam dotrzeć tylko nieuzbrojeni wojskowi ze Wspólnego Centrum Kontroli i Koordynacji, a także personel medyczny stacjonujący przy ukraińskim posterunku. Jednak, jak twierdzi Jewhen Mazniew, lekarze i sanitariusze boją się wychodzić w szarą strefę bez ochrony policji.

Skutek: wiek i problemy zdrowotne często prowadzą do tragicznych wypadków. Według danych OBWE tylko od grudnia 2018 r. do kwietnia 2019 r. w trakcie przeprawy przez Doniec zmarło 18 cywilów, w większości ludzi w starszym wieku. Nie zabiły ich jednak walki, które w Stanicy Ługańskiej od dawna nie toczą się wcale lub na minimalną skalę. – Wiosną strzelał snajper, głównie w nocy. Odkąd wycofano do tyłu wojska, nikt nie strzela – mówi podpułkownik Szewczuk.

Ludzie nie wytrzymują trudów przeprawy. Większość ofiar zmarła z powodu problemów z sercem.

Głęboka rana

Nina Tkaczowa kilka godzin wcześniej przybyła do Stanicy Ługańskiej z Ługańska. Teraz szykuje się do drogi powrotnej. Jak większość przychodzi zwykle do Stanicy z samego rana, załatwia sprawy urzędowe, wypłaca pieniądze z bankomatu i wraca do Ługańska.

Tkaczowa ma 70 lat. Podobnie jak jej mąż, który siedzi obok niej. On sam nic nie mówi, ledwie się porusza. Pomaga mu w tym chodzik. Kilka miesięcy temu przeszedł krwotok śródmózgowy. Tkaczowa mówi, że z mężem nie dało się nawiązać żadnego kontaktu przez trzy miesiące, teraz jest trochę lepiej.

Przybyli oboje do Stanicy, aby odebrać w gotówce swoje emerytury i – jak co dwa miesiące – pokazać się w lokalnym oddziale banku, aby potwierdzić, że wciąż są żywi i emerytura im się należy. Gdyby

tego nie uczynili, wypłata świadczenia została zamrożona, dopóki nie przysliby do placówki. Emerytura Tkaczowej wynosi 1975 hrywien (obecnie to równowartość ok. 300 zł).

– Jeśli żylibyśmy na Ukrainie, to tyle by mi wystarczyło – mówi Nina Tkaczowa. – W Ługańsku ceny są rosyjskie.

Koniec z końcem pomaga im związać rodziną i własny ogród, w którym hodują warzywa i owoce.

Przy okazji wizyty w Stanicy Tkaczowa kupiła też leki. Twierdzi, że wprowadzie w Ługańsku także można je nabyć, ale że ich cena jest tam trzykrotnie wyższa.

Dotarcie do Stanicy Ługańskiej i zakup niezbędnych leków kosztował ją miesięczną emeryturę. Dokładnie 1511 hrywien wydała na leki dla siebie i męża. Do tego od 300 do 400 hrywien musi zapłacić człowiekowi, który przewiezie jej męża na wózku do mostu, oraz następnemu, który znieśli go i wniesie po drewnianych schodach. To cena za transport w jedną stronę.

Na miejscu są wprowadzić ratownicy medyczni, którzy pomagają bezpłatnie, ale tylko osobom w starszym niż Tkaczowa wieku lub tym, co mają pierwszą grupę inwalidzką. Jej mąż się do niej kwalifikuje, ale Nina nie była w stanie zebrać niezbędnych dokumentów, więc musi płacić osobom prywatnym.

– Moje życie przed wojną było lepsze. Otrzymywałam emeryturę i stać mnie było na leki – wspomina Tkaczowa.

Jej rodzina mieszka nie tylko w Ługańsku i Stanicy Ługańskiej, ale też w Kijowie. Dawniej jeździła do stolicy, ale teraz jest to bardziej skomplikowane. Również napięcia między ludźmi są większe.

– Chciałabym, żeby nastał spokój i życie było łatwiejsze, ale nie da się wrócić do przeszłości. Tylu ludzi zginęło, tyle dzieci zostało bez ojców i matek. Tylu zostało inwalidami. To bardzo głęboka rana – mówi Tkaczowa. – Ludzie przez długi czas nie zapomną dźwięku ostrzału.

Donbaski biznes

Zła sytuacja ekonomiczna, powstała na skutek wojny, „granica” i duży przepływ ludności spowodowały, że wokół przejścia w Stanicy powstała duża sfera różnych usług.

Posterunek po ukraińskiej stronie znajduje się obok zniszczonej stacji benzynowej. Wyrósł tam nieduży bazar, na którym można kupić głównie produkty spo-



PAWEŁ PIENIAŻEK

Kolejka do bankomatów – to najbliższe miejsce po przekroczeniu posterunku, gdzie można wypłacić emerytury, Stanica Ługańska, sierpień 2019 r.

żywcze, ale też wypić kawę, piwo czy wymienić pieniądze (w obu donbaskich państwach obowiązują rosyjskie ruble). Stoją tu też bankomaty ukraińskiego państwowego Oszczadbanku, który wypłaca emerytury. To przy nich jest największa kolejka. Są także punkty medyczne. Organizacje pozarządowe rozdają herbatę, a także zapraszają do swoich biur, gdzie oferują różnoraką pomoc, od materialnej po prawną.

Przy parkingu stoją taksówkarze, którzy wykorzystują sytuację. Odjeżdżają dopiero, gdy w samochodzie nie ma już wolnych miejsc. Za wyjazd poza Stację Ługańską domagają się od pasażerów opłat, których wysokość nie odbiega od tych w Kijowie.

Czasami, gdy spraw do załatwienia jest zbyt dużo, osoby przyjeżdżające do Stacji Ługańskiej z drugiej strony frontu nie są w stanie wrócić do domu tego samego dnia. Dlatego sporo jest tu także ogłoszeń w sprawie noclegów. Czasami oferowane są całe pokoje, czasami łóżka w wieloosobowych salach. Nocleg kosztuje nawet 200 hrywien (równowartość ok. 30 zł).

– Za tę cenę możesz zapłacić za dobry nocleg w Charkowie – mówi Mazniew.

Pracują tu także „mrówki”. Zgodnie z ukraińskim prawem, każda osoba prywatna przechodząca na tereny kontrolowane przez separatystów i Rosję może zabrać ze sobą do 75 kilogramów. „Mrówki” wykorzystują to i przenoszą wszystko, na czym tylko da się zarobić. Czasami cały ich ładunek to ser albo warzywa i owoce, które sprzedają na terytoriach ługańskiego parapaństwa.

Mężczyzna, przedstawiający się jako Andrij, właśnie tym się zajmuje. Gdy go spotykam, 31-latek akurat szykuje się do przewiezienia załadowanego kartonami wózka towarowego. Mówi, że w kartonach znajduje się ser.

– Jest wyznaczony limit i ja go nie przekraczam – wyjaśnia. – Dzisiaj wykonuję zlecenie. Biorę ten ładunek z serem, dostarczam na posterunek po drugiej stronie i wracam.

Tam kolejna osoba zabiera towar, który potem trafia na sprzedaż w ŁNR.

Jak z tak ciężkimi wózkami przejść przez zniszczone przesłony mostu nad Dońcem? Andrij nie jest sam. Ale nawet

gdyby pracował samotnie, to na moście są osoby, które za opłatą przeniosą nie tylko wózki inwalidzkie, ale też te z towarem. Wygląda na to, że każda nisza wokół tej niby-granicy została zagospodarowana.

800 metrów

W drugiej połowie dnia kolejka na posterunku znowu rośnie – tym razem tworzą ją ludzie wracający do Ługańska. Wśród oczekujących jest Nina Tkaczowa ze swoim schorowanym mężem na wózku.

W ostatnim czasie przeprawy przez Doniec stały się trochę łatwiejsze. Od kilku tygodni z ukraińskiego posterunku do zniszczonego mostu kursuje autobus pasażerski. Jego trasa to raptem jakieś 800 metrów. Mogą z niego korzystać osoby niepełnosprawne oraz w zaawansowanym wieku.

Ludzie, którzy muszą przeprawiać się przez granicę, są wdzięczni, że zrobiono choć tyle.

© PAWEŁ PIENIAŻEK

Tekst został zrealizowany dzięki stypendium dziennikarskiemu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.



ELIZABETH WILLIAMS / AP / EAST NEWS

Zastępca prokuratora Alex Rossmiller przemawia podczas rozprawy przeciwko Epsteinowi, Nowy Jork, 8 lipca 2019 r.

Co dalej ze sprawą Epsteina

JAN SMOLEŃSKI Z NOWEGO JORKU

Śmierć miliardera oskarżonego o wykorzystywanie seksualne nieletnich wywołała w Ameryce spekulacje. Wiadomo, że nie działał sam. Nie wiadomo jednak, kim byli współlnicy, kto go krył, a kto „tylko” wiedział, lecz nic nie zrobił.

JEFFREYA EPSTEINA – FINANSISTĘ, FILANTROPA, znajomego celebrytów i polityków, formalnie oskarżonego o wykorzystywanie seksualne nieletnich oraz handel ludźmi – znaleziono 10 sierpnia nad ranem bez oznak życia w celi aresztu federalnego na Manhattanie. Po przewiezieniu do szpitala stwierdzono zgon. Prokurator generalny USA William Barr zarządził wewnętrzne śledztwo oraz zlecił FBI zbadanie sprawy. Jego zdaniem śmierci Epsteina towarzyszyły „poważne nieprawidłowości”.

Wcześniej, 23 lipca, aresztanta znaleziono półprzytomnego na podłodze jego celi z obrażeniami szyi. Podejrzewając próbę samobójczą, umieszczono go pod stałą obserwacją, jednak już tydzień później przeniesiono go do innej celi objętej jedynie tzw. specjalnym nadzorem. Zdecydować tak musiało kierownictwo aresztu po uzyskaniu opinii psychiatry.

Zagadkowa śmierć

Jedna z wersji wydarzeń z lipca mówi, że o tym, iż Epstein jest ranny, poinform-

ował strażników jego współosadzony. Dlaczego więc po zrezygnowaniu ze stałej obserwacji Epsteina pozostawiono w celi samego?

Dzień zaś przed jego śmiercią światło dzienne ujrzały dokumenty z jednego z cywilnych procesów Epsteina, w których szczegółowo opisano domniemane wykorzystywanie seksualne nieletnich dziewcząt w jego posiadłościach. Wcześniej sędzia odmówił wyznaczenia kaucji. Powodem tej decyzji były ryzyko ucieczki, obawa mactwa i przekonanie, że Epstein może być groźny dla otoczenia. Prokuratura zapowiadała, że tym razem, inaczej niż dekadę wcześniej, nie pójdzie Epsteinowi na rękę.

To nie wszystkie wątpliwości. Reżim aresztu pod specjalnym nadzorem wymaga, by co pół godziny strażnik robił obchód. Feralnej nocy z 10 na 11 sierpnia przez kilka godzin nikt nie sprawdzał, co się dzieje w celi Epsteina. Strażnicy mieli zasnąć na służbie, a potem sfałszować rejestr, żeby to ukryć. Federalny areszt na Manhattanie cierpi na chroniczne braki kadrowe. Dla pilnujących Epsteina była to nadgodzinowa zmiana (dla jednego z nich już piąta w tygodniu). W dodatku tylko jeden był strażnikiem – jak na razie

nie wiadomo, czym zajmowała się druga osoba.

Skoro po Joaquinie „El Chapo” Guzmán, szefie meksykańskiego kartelu narkotykowego Sinaloa, Epstein był najbardziej rozpoznawalnym aresztantem, dlaczego w jego przypadku nie dopilnowano procedur?

Od Brooklynu do „Lolita Express”

Status aresztanta-celebryty Jeffrey Epstein zawdzięczał bogactwu i koneksjom wśród elit finansowych i ludzi z najwyższych kręgów władzy. Zdobył je sam – nie pochodził bowiem z elitarnej rodziny. Wychował się na Coney Island, dzielnicy wschodnioeuropejskich imigrantów na nowojorskim Brooklynie. Rozpoczął studia na Cooper Union i New York University, ale ich nie ukończył.

W 1974 r. podjął pracę w Dalton School, elitarnej prywatnej szkole na Upper East Side, w dzielnicy nowojorskiej arystokracji finansowej. Tajemnicą pozostaje, jak tę pozycję zdobył – nie miał ani wykształcenia, ani (jak się później okazało) nauczycielskiego talentu. Potrafił się jednak dobrze zaprezentować. Podczas jednej z wywiadówek zrobił tak dobre wrażenie na jednym z ojców, że ten zarekomendował go innemu rodzicowi, Alanowi Greenbergowi, kierownikowi w banku inwestycyjnym Bear Stearns.

Już w 1976 r., po zwolnieniu z Dalton (nie sprawdził się jako nauczyciel), Epstein znalazł pracę przy Wall Street. Odpowiadał typowi idealnego kandydata Greenberga: inteligentny biedak, który desperacko pragnie być bogaty. Epstein Greenberga nie zawiodł – szybko dorobił się w banku wysokiej pozycji. Jednak w 1981 r. został zmuszony do odejścia ze względu na naruszenie polityki firmy.

Otworzył własny biznes. Najpierw parał się doradztwem finansowym, a pod koniec lat 80. zajął się zarządzaniem majątkiem. Klientów dobierał dość wybrednie – odrzucał tych, którzy mieli poniżej miliarda dolarów na koncie. Tak dostał się do elit, których dzieci kiedyś uczył. Lubił się stylizować na miliardera-filantropa. Wspierał projekty naukowe, a Harvardowi przekazał 6,5 mln dolarów na otwarcie nowych kierunków studiów.

Mimo udanej kariery w finansach nie jest do końca jasne, skąd Epstein czerpał pieniądze na pokrycie kosztów swojego stylu życia. Nie wszystkie jego inwestycje były udane, mocno uderzył w niego

kryzys finansowy z 2008 r. Robił jednak wiele, by utrzymać wokół siebie aurę tajemniczości i ekscentryczności. Poza jednym publicznie znanym nazwiskiem – Lesa Wexnera, właściciela marek odzieżowych, m.in. Victoria's Secret – lista jego klientów była pilnie strzeżoną tajemnicą.

Cenił też wystawny styl życia. Miał największą rezydencję na Manhattanie, wycenianą na ok. 77 mln dolarów siedmiopiętrową kamienicę na Upper East Side, a także dom nad oceanem na Florydzie, liczące dziesięć tysięcy akrów ranczo w Nowym Meksyku (wartości 12 mln dolarów) oraz wyspę na Karaibach. Oprócz prywatnego gulfstreama – obowiązkowego wyposażenia każdego superboga – posiadał też helikopter i pasażerskiego boeinga 727.

Ten ostatni zyskał sławę jako „Lolita Express”.

„Z nim jest dobra zabawa”

Plotki o upodobaniach Epsteina do „młodych dziewcząt” krążyły od dawna. „Znam Jeffa od piętnastu lat – mówił w 2002 r. pismu »New York Magazine« obecny prezydent Donald Trump. – Wspaniały gość. Z nim jest dobra zabawa. Mówi się, że lubi piękne kobiety tak samo jak ja, zwłaszcza te młodsze. Bez dwóch zdań, Jeff lubi balować”.

Trump, sam znany z przedmiotowego traktowania kobiet, powiedział głośno to, co podejrzawało wielu. Późniejsze zeznania byłych pracowników rezydencji Epsteina na Florydzie potwierdziły najgorsze obawy. W całym domu były porozstawiane łóżka do masażu, a masażystkami były dziewczęta wyglądające na nieletnie (zamiast drinków popijały mleko). Na polecenie Epsteina pracownicy wydawali im w charakterze „napiwków” najnowszy sprzęt elektroniczny i biżuterię. Z dokumentów sądowych wynika, że w czasie masażów Epstein miał je oblaapywać i rozbierać, masturbując się przy tym.

Pod koniec 2005 r. pewna kobieta poinformowała policję w Palm Beach na Florydzie, że jej 14-letnia pasierbica była molestowana przez bogatego mężczyznę. Detektywi zidentyfikowali w sumie 40 ofiar miliardera. Do akcji wkroczyło FBI. Agenci przygotowali liczący 53 strony akt oskarżenia. Pojawiły się w nim zarzuty o przemyt ludzi – przy użyciu „Lolita Express” – i seksualne wykorzystywanie nieletnich. Epsteinowi groziło za to dożywocie.

Do procesu jednak nie doszło, bo ówczesny prokurator federalny na Florydzie Alexander Acosta zaproponował Epsteinowi układ, którego szczegóły wyszły na jaw dopiero niedawno. W zamian za przyznanie się do stanowych zarzutów kupowania seksu od nieletnich i zarejestrowanie się jako przestępca seksualny Epstein dostał wyrok 13 miesięcy, które trudno nawet nazwać odsiadką: przez sześć dni w tygodniu mógł na dwanaście godzin opuszczać więzienie, by pracować.

Kolekcjoner znajomości

Drugim elementem ugody było zobowiązanie się prokuratury do odstąpienia od stawiania zarzutów komukolwiek, kto wraz z Epsteinem miał się dopuścić przestępstw, o które go oskarżano. Budziłaby ona mniejsze kontrowersje, gdyby nie dwie rzeczy.

Po pierwsze, ofiar Epsteina było ponad 40 i trudno sobie wyobrazić, że działał sam. Kobiety zeznawały, że rekrutowały i namawiały je inne osoby. Podejrzewano też, że niektóre ofiary przemycono zza granicy. Działanie na taką skalę wymagało współpracy. Żaden z jego współpracowników i żadna z jego współpracownic – Epstein ponoć korzystał z pomocy młodych „rekruterów” – nie stanęli wtedy przed sądem.

Po drugie, Epstein miał potężnych znajomych. Byli wśród nich aktor Kevin Spacey, filmowiec Woody Allen, książę Yorku Andrzej, politycy stanowi i federalni – były gubernator Nowego Meksyku Bill Richardson czy były senator z Maine George Mitchell – oraz prezydenci, wspomniany już Donald Trump i Bill Clinton. Ten ostatni korzystał z pomocy Epsteina przy tworzeniu jednego z programu fundacji Clintonów. Wielu polityków otrzymało od niego wsparcie finansowe podczas kampanii.

Trudność z ocenieniem, kto i jak był związany z Epsteinem, wynika m.in. z tego, że miliarder podchodził do znajomości z wpływowymi ludźmi niczym kolekcjoner.

W 2015 r. portal plotkarski „Gawker” upublicznił liczący 93 strony notes z listą kontaktów Epsteina. Są w nim nazwiska byłego burmistrza Nowego Jorku Michaela Bloomberga, aktora Ralpha Fiennesa czy ekonomisty Jeffreya Sachsa. Problem z nią jednak polega na tym, że najpewniej mieszają się w niej osoby, które Epstein →



STEPHANIE KEITH / GETTY IMAGES

Przed sądem federalnym podczas rozprawy przeciwko Epsteinowi, Nowy Jork, 8 lipca 2019 r.

→ znał, z tymi, które dopiero chciał poznać i do których chciał się zbliżyć.

Jak na razie nie ma dowodów na to, by cokolwiek wiązało przestępczą działalność Epsteina z Trumpem lub Clintonem. Jednak ofiary miliardera wskazywały na inne osoby, które miały uczestniczyć w procederze. Wśród nich na Richardsona, Mitchella i księcia Andrzeja oraz profesora prawa na Harvardzie i obrońcę Epsteina z czasów procesu na Florydzie Alana Dershowitza. Przed rokiem sam Epstein w rozmowie z „New York Timesem” przyznał, że ma dużo informacji na temat zachowań seksualnych i przygód z narkotykami wpływowych osób.

Ameryka snuje domysły

To właśnie z powodu tych koneksji, gdy media obiegała informacja o samobój-

stwie Epsteina, szybko pojawiły się teorie spiskowe. Na Twitterze reprezentowały je hasztagi #ClintonBodyCount oraz #TrumpBodyCount. Ten pierwszy nawiązuje do wyssanej z palca teorii, zgodnie z którą osoby mające informacje na temat mrocznych interesów Billa i Hillary Clintonów posunęły się nawet do morderstwa, żeby zatrzeć ślady.

Drugi z kolei sugeruje, że posłuszny Trumpowi William Barr, któremu podlegają areszty, umożliwił zabójstwo Epsteina. W mediach społecznościowych publikuje się memy sugerujące, że strażników Epsteina przekupiono. Albo że miliarder sam targnął się na swoje życie, ale został do tego przez kogoś nakłoniony. Okoliczności śmierci są na tyle podejrzane, że satyryczne profile w mediach społecznościowych największą teorią spiskową okrzyknęły... samobójstwo.

Za śmiercią Epsteina mogą stać rzeczy dużo bardziej przyziemne. Epstein coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę z tego, że szanse na wysłizgnięcie się sprawiedliwości ma niewielkie. W chwili, gdy aresztowano go wychodzącego z samolotu, śledczy wyważali drzwi w jego posiadłości na Upper East Side. Znaleźli tam m.in. zdjęcia nagich dziewcząt. Sceptycy sugerują, że Epstein rozumiał też, że jeśli trafi do więzienia, to ze względu na charakter popełnionych przestępstw będzie wyjątkowo nisko w hierarchii więziennej. Do tego doszedł fakt, że areszt na Manhattanie miał problemy kadrowe. Według tej wersji wydarzeń, przyzwyczajony do przywilejów i wyjątkowego traktowania Epstein po prostu nie wytrzymał presji, a przepracowani strażnicy popełnili błąd w sztuce.

Prawnicy szukają adwokatów

Niezależnie jednak od tego, czy Epstein zabił się samodzielnie, czy z czyjąś pomocą, wiele osób mogło poczuć ulgę, gdy dowiedzieli się o jego śmierci. Epstein zabrał ze sobą do grobu nie tylko informacje o tym, kto wraz z nim dopuszczał się czynów pedofilskich, ale też kto o nich wiedział i nic w tej sprawie nie zrobił. Samobójstwo oznacza również, że śledztwo w jego sprawie zostanie zakończone. Niektóre z ofiar zdecydowały się zeznać przeciwko niemu. Dla części z nich śmierć ich oprawcy nie oznacza ulgi, lecz poczucie, że uciekł sprawiedliwości. Pozostają im tylko pozwy cywilne przeciwko spadkobiercom Epsteina i walka o odszkodowanie.

Jednak fakt, że Epsteinowi postawiono zarzut zmowy sugeruje, że śledczy zidentyfikowali przynajmniej niektórych z jego współników i tym wątkiem zajmą się teraz FBI i prokuratura. Po tak poważnej wpadce jak samobójstwo miliardera media i Departament Sprawiedliwości będą poświęcać tej części śledztwa szczególną uwagę. Plotki mówią, że współnicy i prawnicy Epsteina już szukają adwokatów. Dochodzenie może też objąć kwestie finansowe – w tym pomoc w popełnieniu przestępstw zarzucanych miliardrowi oraz pranie brudnych pieniędzy.

Niewykluczone, że niektórzy ze współników Epsteina unikną oskarżeń – dzięki swoim wpływom i bogactwu kupią sobie nietykalność – ale śmierć miliardera jak na razie nie oznacza, że wszyscy mogą spać spokojnie. © JAN SMOLEŃSKI

Babie lato z brexitem

PATRYCJA BUKALSKA

Na Wyspach Brytyjskich trwa burzliwy czas w polityce. Brexit, wybory, kryzys konstytucyjny, kłopoty z gospodarką, wrzenie w Szkocji – zdarzyć się może wiele.

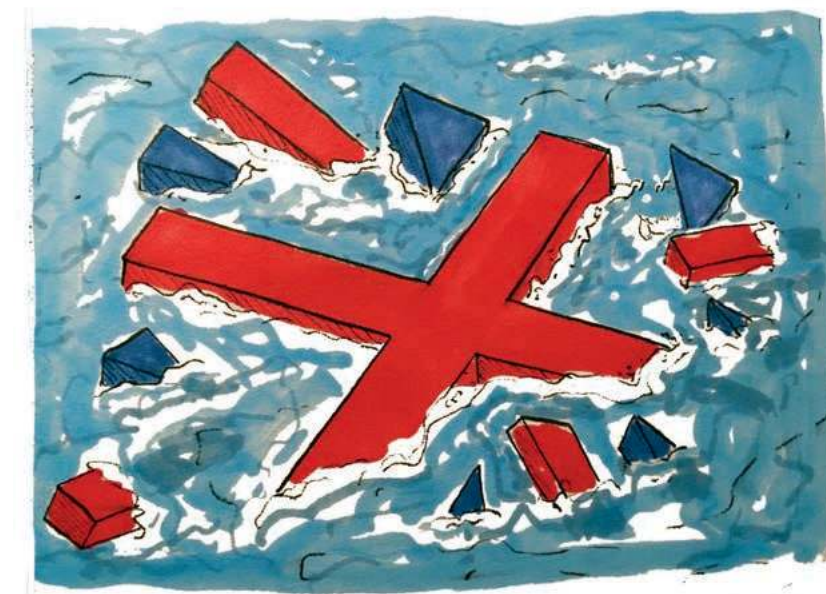
GDY WIOSNĄ BRITYJCZYCY PROSILI Unię o przesunięcie terminu wyjścia ze wspólnoty, przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk mówił: „Proszę, nie zmarnujcie tego czasu”. Wtedy koniec października zdawał się bardzo odległy. Teraz do godziny zero zostało kilka tygodni, a w brexitowej łamigłówce nic się nie wyjaśniło. Zmienił się tylko premier.

Wyjść, ale jak?

Boris Johnson zaczął urzędowanie od zapewnienia obywateli, że kraj z całą pewnością opuści Unię, i to w terminie, czyli 31 października lub wcześniej. Niewielu przekonał: z sondażu YouGov wynika, że za prawdopodobne uważa to tylko jedna czwarta Brytyjczyków.

Dla premiera wyjście z Unii to sprawa najważniejsza. „Z umową lub bez” – deklaruje i to „bez” staje się z każdym dniem bardziej realne. Johnson chce bowiem renegeować umowę „rozwodową” i usunąć z niej irlandzki „backstop” (gwarancję, że między należącą do Unii Republiką Irlandii a brytyjską Irlandią Północną nie będzie twardej granicy). Ale Unia nie chce na nowo negocjować.

Twarda retoryka Johnsona służy mu na użytek wewnętrzny, zabezpiecza konserwatystów od strony nowej konkurencji: radykalnej Partii Brexit. Natomiast zmiękczenie Unii może mu się nie udać, bo choć Bruksela chce umowy, to przede wszystkim broni interesów jednego ze swoich krajów członkowskich, w tym przypadku Irlandii.



PATRYK SROCZYŃSKI

Dla twardego brexitu Johnson nie ma poparcia w parlamencie. Po wakacyjnej przerwie posłowie wrócą do Westminsteru i część szykuje się już na starcie z premierem. Scenariuszy jest wiele: od forsowania zamian w prawie uniemożliwiających brexit bez umowy aż po wotum nieufności wobec rządu i wcześniejsze wybory.

A może referendum?

Teoretycznie niewykluczone jest nawet kolejne referendum, w którym Brytyjczycy wybieraliby między brexitem bez umowy a jego odwołaniem. Politolog prof. David Soskice wyjaśniał w analizie dla *think tanku* The UK in a Changing Europe, że dla nowego referendum mogłyby się znaleźć większość w parlamencie, Unia też może zgodzić się w takiej sytuacji na kolejną zmianę terminu. A Boris Johnson w takiej sytuacji zrzuciłby z siebie odpowiedzialność i zabezpieczył swą pozycję premiera.

Za to na północy kraju, w Szkocji, coraz głośniej mówi się o innym referendum. W połowie sierpnia opublikowano wyniki badania opinii publicznej, w których zwolennicy szkockiej niepodległości przekroczyli barierę 50 proc. (po odjęciu niezdecydowanych). Twardy brexit może ten trend tylko wzmocnić.

Z kolei problem z irlandzkim „backstopem” skłania do rozważań o referendum zjednoczeniowym Irlandii. Na razie taka opcja nie ma wystarczającego poparcia, ale to też może się zmienić w sytuacji brexitowego fiaska.

Czy zabraknie frytek?

31 października to już trzeci termin brexitu. Początkowo Wielka Brytania miała opuścić Unię z końcem marca. Już wtedy, w obawie przed brakami na rynku, część mieszkańców postanowiła się zabezpieczyć i robiła zapasy. Nie inaczej jest teraz: w obliczu twardego brexitu na taki krok zdecydował się co piąty Brytyjczyk. W sumie na dodatkowe zakupy wydano już 4 mld funtów. Zwykli obywatele gromadzą głównie żywność i leki. Bogatsi sprowadzają z Europy np. luksusowe auta, spodziewając się wzrostu ich cen po nałożeniu cła.

Problemem mogą być nie tylko cła, ale – w przypadku żywności i leków – dodatkowe kontrole na granicy: wydłużą transport i zwiększą jego koszty. Wielka Brytania sprowadza z Unii 30 proc. żywności. Aż 99 proc. importowanych mrożonych produktów ziemniaczanych, jak frytki, przywożonych jest z Europy, głównie z Holandii i Belgii. Z Unii pochodzi też 99 proc. spożywanego tu szpinaku i 92 proc. brzoskwiń, niemal wszystkie oliwki. Sprowadzane są holenderskie pomidory i irlandzki ser cheddar. Nawet jeśli Wielka Brytania z czasem zwiększy własną produkcję i zacznie importować żywność spoza Unii, to w pierwszym okresie logistyczne problemy i wzrost cen wydają się nieuniknione.

Może nie będzie tak źle, aby zabrakło frytek do popularnego dania *fish and chips*. Ale niektóre przyzwyczajenia w przypadku brexitu bez umowy Brytyjczycy będą musieli zmienić. ©P

Sahel: wojna na krzyżówce świata

MARCIN ŻYŁA

Na południe od Sahary trwa walka z dżihadystami. Francuzi i Amerykanie, przy wsparciu lokalnych armii, mierzą do nich z dronów. Jednak eksperci ostrzegają: jeśli Zachód nie ochroni cywilów, powtórzy błędy z Afganistanu i Libii.

JEGO WIEŚ FULANIE ZAATAKOWALI w maju. Doguel Kodio, 38-latek należący do rolniczego ludu Dogonów ze środkowego Mali, wspomina, że serie z broni maszynowej słychać było przez dwie godziny – tak długo, bojąc się śmierci, leżał z żoną i ośmiorgiem dzieci na glinianym klepisku. Potem, razem z innymi, uciekli. Napastnicy wrócili nazajutrz; zabrali bydło, spalili domy, zaminowali pola.

Spór o to, jak odpowiedzieć na ataki pasterzy Fulan, jednej z większych grup etnicznych na Sahelu, podzielił Dogonów. Niektórzy chwycili za karabiny i przystąpili do radykalnego ruchu Dan Na Ambassagou (Zawierzeni Bogu), który w marcu we wsi Ogossagou dokonał masakry ok. 160 Fulan.

– Inni, jak pewien poważany szef wsi, z którym rozmawiałem, wezwali do solidarnej obrony ziemi, i Dogonów, i Fulan, przed ekstremistami z zewnątrz. I od razu zaczęli dostawać pogrożki od swoich pobratymców – mówi „Tygodnikowi” Philip Kleinfeld, dziennikarz portalu „The New Humanitarian”, który właśnie wrócił z Mali, Nigru i Burkina Faso, państw w samym środku eskalującego konfliktu, w którym coraz śmielej biorą też udział skrajne ruchy islamskie.



Sny o dawnej potędze

Spory na Sahelu – rozciągającym się od Mauretanii po Sudan regionie Afryki, który oddziela Saharę od strefy tropikalnej – to nic nowego. Od wieków krzyżowały się tu szlaki handlowe i strefy wpływów, przenikały języki i obyczaje; wędrowni pasterze zawsze rywalizowali z rolnikami o dostęp do ziemi i wody. W ostatnich latach, z racji pojawienia się nowych organizacji terrorystycznych, intratnego przemytu broni i migrantów przez Saharę oraz coraz bardziej nieprzewidywalnych cykli pogodowych, walki nasiliły się. Do tego stopnia, że dziś można już mówić o lokalnej wojnie: tylko w ostatnich miesiącach zginęło tu około 5 tys. ludzi, a prawie pół miliona musiało uchodzić z domów.

– Państwa Sahelu są słabe – mówi Philip Kleinfeld. – I chodzi nie tylko o to, że nie zapewniają swoim obywatelom bezpieczeństwa, a urzędy pozostają skorumpowane. Powodem słabości władz jest to, że nie ufają im ludzie.

Dotyczy to zwłaszcza Fulan, historycznie dominującej w Mali grupy etnicznej. Jej pasterski, koczowniczy tryb życia

traci na znaczeniu; władze w stołecznym Bamako wspierają osadnictwo i rolnictwo. – Fulanie wracają myślami do historii potężnego królestwa, którym kiedyś władali. Dziś żyją w zaniedbanej części najuboższego regionu świata, nie mają możliwości zmiany i uważają, że są dyskryminowani przez państwo. To czynniki sprzyjające radykalizacji – wymienia Kleinfeld.

W Mali wydarzenia przyspieszyły sześć lat temu, gdy w północnej części kraju wybuchła kolejna rebelia Tuaregów. Dołączyły do nich lokalne grupy dżihadystyczne, które szybko zdominowały powstanie, zdobywając strategiczne miejscowości wzdłuż granicy z Algierią i rozpoczynając marsz na Bamako. Zaniepokojona ich sukcesami Francja, dawna metropolia kolonialna, w 2012 r. rozpoczęła wojskową misję „Serwal”, później przemianowaną na operację „Barkhane”, która obejmuje dziś pięć państw regionu. ONZ wysłało zaś do Mali błękitne hełmy. Po trzech latach rząd i rebelianci podpisali porozumienie, ale rosnących wpływów dżihadystów nie udało się zatrzymać.



Francuscy żołnierze podczas misji, której celem była likwidacja oddziału dżihadystycznego aktywnego w dystrykcie Gourma, Mali, 14 sierpnia 2019 r.



flikty. Gdy sytuacja wymyka się spod kontroli, Zachód przysyła wojska (na Sahelu do Francuzów i Amerykanów za kilka miesięcy dołączy ćwierć tysiąca żołnierzy brytyjskich) – ale dla dowódców bardziej od ochrony miejscowej ludności liczy się „likwidacja celów”.

– W regionie Mopti w środkowym Mali ideologia islamistyczna nie była dotąd dominująca. Dziś wykorzystuje się ją coraz bardziej – mówi prof. Hansen, który kilka tygodni temu wydał książkę „Horn, Sahel and Rift: Fault-lines of the African Jihad”, szczegółową analizę organizacji dżihadystycznych w Afryce. I dodaje: żadna z nich nie wydaje się dziś specjalnie osłabiona. – Ani Nusrat al-Islam (JNIM), ani Boko Haram... Obie są zdolne do przeprowadzania dużych ataków. Osłabły też napięcia między JNIM a Państwem Islamskim Zachodniej Afryki (ISWA), co może oznaczać, że obie grupy uzgodniły swoje strefy wpływów – wylicza.

Philip Kleinfeld: – Ludzie wstępują w ich szeregi nie tylko ze względu na brak perspektyw. Gdy rozmawiam z Fulanami, słyszę od nich wprost: „Jesteśmy w potrzasku między dżihadystami a państwem”. Niektórzy wybierają tych pierwszych. To dlatego w Mali określenie „Fulanie” jest już, niesłusznie, niemal tożsame z pojęciem „islamiści”.

Ekspertci zgadzają się, że aby zmniejszyć ryzyko radykalizacji, należałoby rozwiązać stare lokalne konflikty. Ale to trudne, gdy nakręca się spirala przemocy. Kilka dni temu UNICEF podał, że w pierwszej połowie 2019 r. w Mali zginęło ponad 150 dzieci. Młodzież jest przymusowo wcielana do różnych oddziałów, zamknięto ok. 900 szkół. Na początku czerwca w ataku na dogońską wieś So-

bane Da wśród 35 ofiar śmiertelnych aż 22 nie skończyły 12. roku życia – dzieci w większości uduśły się lub spaliły żywcem.

A kilka tygodni temu zachodnią prasę zelektryzowała wypowiedź generała Marcusa Hicksa, dowódcy U.S. Army na Afrykę. Ostrzegł on, że destabilizacja w Burkina Faso – prawdziwym „skrzyżowaniu świata”, państwie przez które przebiegają m.in. najważniejsze szlaki migracyjne na północ – może spowodować eksport ideologii dżihadystycznej na południe, do spokojnych dotąd państw Zatoki Gwinejskiej. „Ghana, Togo i Benin za wszelką cenę próbują powstrzymać przemoc i przestępczość przelewającą się przez ich granice. Jeśli zbrojnym grupom związanym z Państwem Islamskim i Al-Kaidą uda się w tych krajach ustanowić struktury, zyskają dostęp do najważniejszych portów Afryki, przez które będą mogły przemycać broń i narkotyki” – straszył generał.

– To prawda. Wszystko zależy od tego, co wydarzy się w Burkina Faso – przyznaje prof. Hansen. I wskazuje na sąsiednią Ghanę, modelowe państwo zachodniej Afryki, stawiane często za wzór pokojowego rozwoju i współistnienia etnosów i religii. Jej północne regiony są w dużej mierze muzułmańskie. Kilka lat temu do Syrii pojechało walczyć w szeregach Państwa Islamskiego zaledwie czworo obywateli tego kraju. Dziś, po tym gdy w Ghanie szukają schronienia dżihadysty z Nigru i Burkina Faso, radykałów naliczonoby już znacznie więcej.

Donos, areszt, egzekucja

W Burkina Faso, gdzie po obaleniu (pod koniec 2014 r.) rządzącego ćwierć wieku →

– Aktywność tych grup wiąże się z coraz mniej przewidywalnymi cyklami pogodowymi – mówi „Tygodnikowi” prof. Stig Jarle Hansen z uniwersytetu NMBU w Ås (Norwegia), badacz ruchów ekstremistycznych w Afryce. – Niski stan wody w Nigrze, rzecze, od której zależy dobrobyt całego regionu, narusza delikatną równowagę bezpieczeństwa. Zmiana klimatu nie jest przyczyną konfliktu na Sahelu, ale coraz ważniejszym czynnikiem pobocznym. Na naszych oczach właśnie etniczne przeradzają się w walkę o zasoby. Co gorsza, władze Mali i wspólnota międzynarodowa zdają się tego nie dostrzegać – ostrzega ekspert.

Jutro jest teraz

Na Sahelu przyszłość dzieje się już dziś. A ściślej: trwa tu konflikt, który może być zapowiedzią kolejnych, w innych częściach kontynentu.

Schemat jest zawsze podobny: państwa są zbyt słabe, aby samodzielnie przeciwstawić się dżihadystom. Polegają więc na lokalnych oddziałach, związanych z poszczególnymi grupami etnicznymi. To tylko napędza tłące się od dawna kon-

→ prezydenta Blaise'a Compaoré osłabła czujność armii, powstała pierwsza w historii tego państwa lokalna organizacja dżihadystyczna. Ekstremiści stali za zamachami w stołecznym Wagadugu: na hotel (styczeń 2016 r.) oraz ambasadę Francji i sztab generalny armii (marzec 2018 r.).

Sytuacja pogorszyła się w pierwszej połowie tego roku. Porwano kilkoro cudzoziemskich turystów. Państwo, w którym muzułmanie i chrześcijańska mniejszość żyli dotąd bez większych napięć, stało się areną przemocy religijnej. Pod koniec kwietnia dżihadysty zabili pastora i pięcioro wiernych w kościele protestanckim na bezpiecznym dotąd południu kraju.

– Od stycznia do 10 sierpnia, kiedy zebraliśmy ostatnie dane, liczba ofiar ataków w Burkina Faso wzrosła dziesięciokrotnie w porównaniu z podobnym okresem ubiegłego roku – mówi „Tygodnikowi” Héní Nsaibia, analityk finansowanego przez USA i kilka innych państw Zachodu programu ACLED, który zbiera dokładne dane o lokalnych konfliktach na całym świecie. – Już wszystkie regiony kraju oprócz jednego są narażone na takie zamachy.

Nsaibia długo opowiada o brutalizacji wojny: – Notujemy coraz więcej różnych egzekucji dokonywanych przez państwo. Rozmawiałem z oficerami armii Burkina Faso, oczywiście nieoficjalnie. Opisywali, jak wyglądają takie operacje: wjeżdżają do wsi, otaczają targ, wybierają z tłumu podejrzanych, wywożą ich do buszu i rozstrzelują. Oficjalnie twierdzą, że likwidują dżihadystów. Ale czasem wystarczy, że ktoś jest koczownikiem, i już jest podejrzany. To pcha ludzi w ręce ekstremistów. Niestety, Francuzi i Amerykanie nie sprzeciwiają się takiej strategii – mówi analityk.

Przylączenie się do dżihadystów wydaje się w takiej sytuacji logicznym wyborem.

Prof. Stig Jarle Hansen: – Postawmy się w sytuacji młodych. Nauczani są islamu w jego umiarkowanej formie. Potem obserwują pojawiających się w okolicy dżihadystów, którzy w porównaniu z urzędnikami czy żołnierzami, czasem chrześcijanami, wydają się „czyści”, „nieskażeni”. Dżihadysty mówią: „Spójrzcie, my jesteśmy muzułmanami, oni nie” – to też część tego konfliktu.

Norweski profesor przyznaje, że w niektórych częściach Afryki taką narrację



Jedno z dzieci, które w wyniku walk musiało uciekać z miejscowości Dablo, Burkina Faso, maj 2019 r.

trudno sprzedać. Nie udało się to na Zanzibarze, wchodzącej w skład Tanzanii wyspie na Oceanie Indyjskim – głównie dlatego, że niemal wszyscy jej mieszkańcy są muzułmanami. Somalijska Asz-Szabab rekrutuje zwolenników głównie w środkowej Kenii, bo nadmorski region tego państwa jest również muzułmański i nie da się go kupić opowieścią „my–oni”.

– Kłopot w tym, że na północy Burkina Faso wiele wsi nie ma swoich szefów – dodaje z kolei Héní Nsaibia. – Ludność jest zmarginalizowana, zastraszona przez państwo. Tu sytuacja jest najgorsza. Myślę, że to jeszcze pozostałości starego reżimu. Żywe jest przekonanie władz i armii, że pozostają w starciu z lokalnymi społecznościami, głównie z Fulanami.

Efekt? Wystarczy donos, aby armia dokonywała masowych aresztowań. Także członkowie rebelianckich grup zbrojnych sprawnie gromadzą informacje wywiadowcze. Jeśli dowiedzą się, że mieszkańcy danej wsi są zaangażowani we wrogą im działalność, dochodzi do zemsty. Przyjeżdżają na motocyklach, otwierają ogień do ludzi na targu.

Chybiona strategia

Po 2014 r. powstanie i upadek Państwa Islamskiego na Bliskim Wschodzie obserwowaliśmy na mapach. Na Sahelu aktywności grup terrorystycznych jest luźniej przypisana do jednego terytorium. To znów może uśpić Zachód.

– Dżihadysty na Sahelu, podobnie jak Asz-Szabab w Kenii, potrafią działać bez terytorium. Zauważyli, że gdy się je zdobywa, zwykle interweniuje Zachód. Wolą więc trzymać się trybu, który nazywam „półterytorialnym”: nie toczą z państwami Sahelu otwartych wojen, lecz uderzają z baz na prowincji, gdzie nikt poza nimi nie jest w stanie zapewnić ludziom bezpieczeństwa – mówi prof. Hansen.

To klucz do zrozumienia strategii wszystkich grup: JNIM, Boko Haram, Asz-Szabab, nawet Sojuszu Sił Demokratycznych (ADF) w Demokratycznej Republice Konga. Choć zachodnie media martwią się, gdy dochodzi do zamachu albo ataków, prawdziwym powodem do zmartwień powinno być to, że grupy te mają silne zakorzenienie w społecznościach lokalnych.

Prof. Stig Jarle Hansen: – Niestety, strategia sił francuskich i amerykańskich opiera się na założeniu, że trzeba chronić przede wszystkim własnych żołnierzy, a nie ludność cywilną. W rezultacie reakcja na zamachy jest czasem nieproporcjonalna. To pcha ludzi w objęcia ekstremistów. Wiosną Abu Bakr al-Baghdadi, samozwańczy kalif Państwa Islamskiego, wezwał muzułmanów z Sahelu do atakowania francuskich celów w regionie.

Sytuacji nie pomaga też niespokojne sąsiedztwo Sahelu. W Libii od kwietnia trwają walki między armią rządową a od-

działami gen. Chaftara. W Algierii wciąż aktywna jest Al-Kaida Islamskiego Maghrebu. W Czadzie rebelianci zagrażają quasi-militarnemu reżimowi prezydenta Idrissa Déby'ego. W Nigerii przy granicy z Nigrem i w rejonie wysychającego jeziora Czad odzyskują siły bojówki Boko Haram... „Po tym, gdy praktycznie państwo libijskie przestało istnieć, Niger stał się granicą [Afryki] z Zachodem” – mówił w kwietniu dziennikarzowi „Financial Times” minister obrony tego kraju Kalla Moutari. Wypowiedź zakończył w tonie apokaliptycznym: „Jeśli Niger przegra, nie zostanie już nic”.

Wojna i złoto

Zdaniem prof. Hansena żadnej z działających na Sahelu lokalnych grup zbrojnych nie uda się w najbliższej przyszłości pokonać. Najpierw należałoby zdecentralizować aparat bezpieczeństwa, aby chronił cywilów. Nie tylko walczyć z dżihadystami, ale i dbać o porządek.

Dlaczego to takie ważne? – Bo w przeszłości Zachód popełniał już podobne błędy i nigdy się to dobrze nie kończyło. Zaniechaliśmy całe rejony świata. Bałagan w Libii, do którego dopuściliśmy, przyczynił się do ruchu migrantów na Morzu Śródziemnym i w konsekwencji zmian politycznych w Europie. Zostawiliśmy Afganistan samemu sobie, co doprowadziło do zamachów na World Trade Center. Niby wiemy, że bezpieczeństwem takich regionów musimy „zarządzać”. Problem zaczyna się wtedy, gdy wybieramy złą strategię – mówi „Tygodnikowi” wyraźnie poruszony profesor. Przestrzega też: – Przez Sahel wiodą główne szlaki migracyjne świata. Ten region jest kluczowy dla Europy.

Héni Nsaibia ma inną odpowiedź: – Nie lubię narracji „wojny z terrorem”. Na Sahelu Francja mogłaby wykorzystać swoje wpływy, żeby zmusić lokalne władze do lepszego podejścia do ludności. W Mali dobra polityka mogłaby załagodzić konflikt między Fulanami a Dogonami i pozabawić dżihadystów wpływów. Powinniśmy martwić się nie tylko rebeliantami i oddziałami zbrojnymi – narzeka analityk.

I dodaje: – Na razie jest jednak po staremu. W Burkina Faso firmy kanadyjskie kontrolują większość kopalń złota. Wydobycie idzie w najlepszą, choć inne części państwa pogrążają się w chaosie.

© P MARCIN ŻYŁA



„TP” 31 / 2019

Wyspa wolności

Oto kolejny przykład stosunku aktualnie rządzących do wolności. Minister rzekomo od edukacji (trudno bez oporów używać wobec niego formalnej nazwy resortu) uznał, że ataki skinów, „narodowców”, kiboli i im podobnych na uczestników Marszu Równości w Białymstoku uzasadniają ograniczenie prawa do manifestowania przez tych ostatnich – dla ich rzekomej ochrony. Okazuje się, że to przestępcy mają dyktować państwu warunki. Według tej logiki można by chcieć chronić ludzi przed złodziejami poprzez powszechną konfiskatę majątków i likwidację własności prywatnej. Wtedy bowiem, nie mając nic, ludzie nie padaliby ofiarami kradzieży. Nie wiem, czy bardziej jest to przejaw głupoty, totalitarnego myślenia, czy po prostu cynicznej próby wykorzystania sytuacji w celu kolejnego ograniczenia swobód na naszej „wyspie wolności”. Politycy ponownie zmieniają swój stosunek do przedstawicieli środowisk radykal-

nych. Hołubią ich lub potępiają, a prokuratura teraz ich ściga, choć niedawno uznała, że bicie było tylko wyrażeniem dezaprobaty, a nie przestępstwem, godnym zainteresowania organów ścigania i ochrony prawnej. Ciekawe też, jak zachowują się w tej sytuacji politycy, gdyż wysłali swoich prokuratorów przeciwko tym, których chwali ważny sojusznik i protektor ks. Tadeusz Rydzyk. Ten ostatni ma zapewnioną pełną ochronę i nietykalność ze strony swoich politycznych sojuszników, więc nie musi obawiać się czegośkolwiek, choć należałoby podejrzewać popełnienie przez niego przestępstwa pochwalania przestępstwa opisanego w art. 255 par. 3 kk. Mamy tu więc ograniczanie wolności, bezprawny z punktu widzenia konstytucji, konkordatu i doktryny Kościoła sojusz „tronu i ołtarza”, a także prawo stosowane przez zależną od polityków instytucję w zależności od ich potrzeb i interesów. Ale co tam. To niska, jak widać, dla wielu cena za rozdawane pieniądze i reglamentowaną „dumę” narodową.

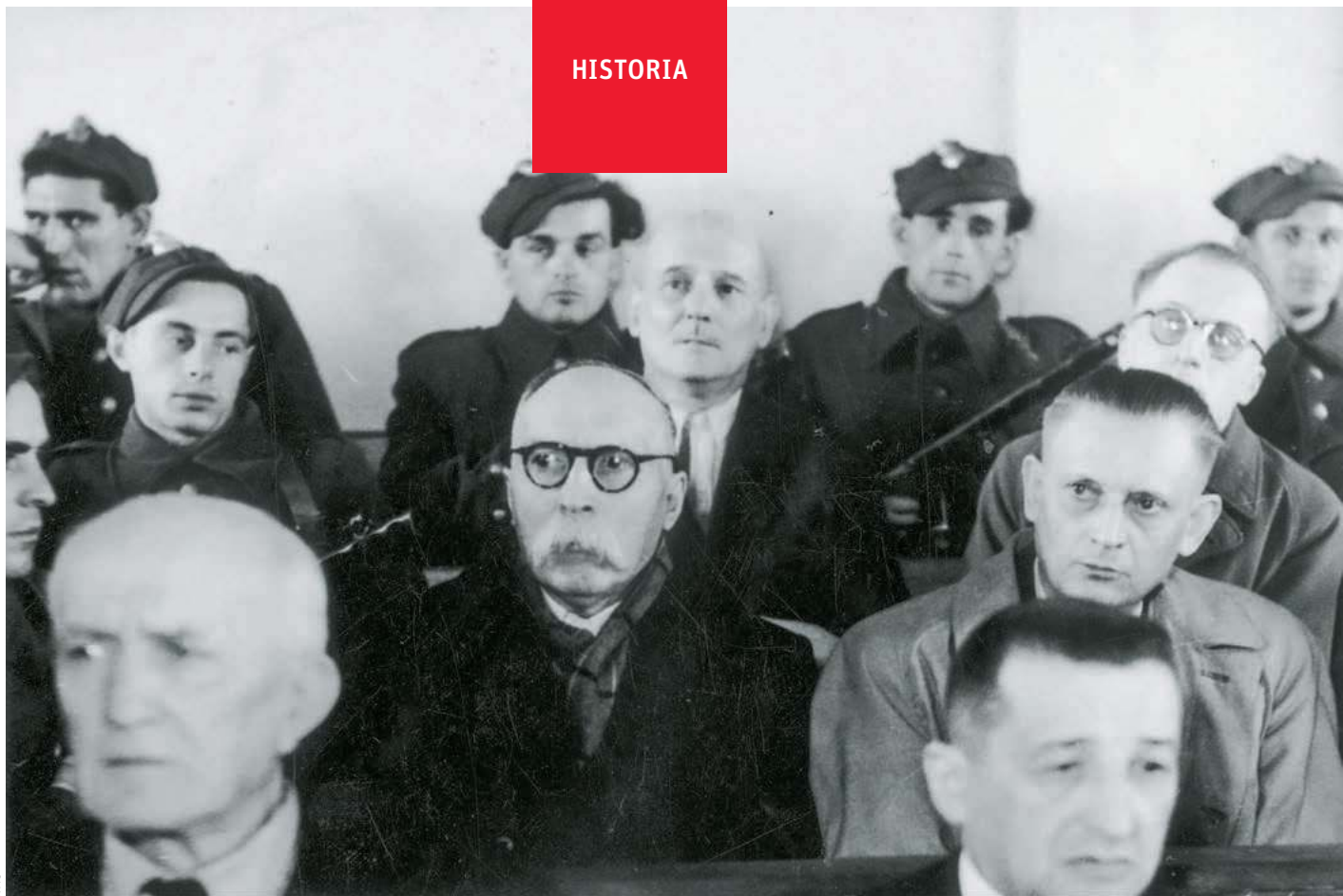
RAFAŁ PAPRZYCKI
Pruszków

PROŚBA O POMOC

Fundacja Charytatyw-
na Pomoc Polakom
na Kresach im. Ks. dr.
Mosinga zwraca się
z serdeczną prośbą
o pomoc dla 48-let-

niego Włodzimierza Romanowa z Mościsk na Ukrainie. Pięć lat temu Włodzimierz spadł z rusztowania na budowie, w wyniku czego doznał złamania kręgosłupa. Pomimo przebytych operacji jest sparaliżowany od pasa w dół. Jest inwalidą pierwszej grupy, a wysokość jego renty to w przeliczeniu ok. 250 zł. Włodzimierz mieszka na pierwszym piętrze w bloku. Praktycznie nie wychodzi z domu, aby to zrobić, potrzebuje pomocy kilku osób. Mieszka samotnie, po wypadku opuściła go żona. Jego wielkim marzeniem, a jednocześnie ogromnym ułatwieniem w codzienności byłby montaż windy – platformy schodowej w korytarzu. Koszt używanej platformy to od 5 do 10 tys. zł, zależnie od firmy i stanu. Drugie urządzenie, które bardzo ułatwiłoby życie Włodzimierzowi, to trójkołowy skuter dla niepełnosprawnych, na którym mógłby się poruszać po mieście. Jego cena to nieco powyżej 4,5 tys. zł. Na Ukrainie osoby niepełnosprawne muszą radzić sobie same z codziennymi przeszkodami, nie ma żadnych refundacji, a pomoc państwa jest tylko teoretyczna. Jeśli ktoś chciałby pomóc Włodzimierzowi, prosimy o wpłaty na konto fundacji BNP Paribas: 23 2030 0045 1110 0000 0222 0700 z dopiskiem „Włodzimierz Romanow”.

FUNDACJA
KS. DR. MOSINGA



Proces sądowy Kazimierza Pużaka i towarzyszy, kwiecień 1948. W środku Kazimierz Pużak, widoczni też Wiktor Krawczyk, Feliks Misiowski, Ludwik Cohn, adwokaci: Mieczysław Maślanko i Marian Niedzielski.

DWAKROĆ ZAFALSZOWANY

Komuniści przypisywali mu prawicowość, dzisiejsza prawica robi coś podobnego. W postaci Kazimierza Pużaka widać paradoksy pamięci o niepodległościowych socjalistach.

REMIGIUSZ OKRASKA

WKRAJU O INNEJ HISTORII PEWNIE miałby kilka pomników. Tymczasem najpierw, w czasach PRL, komunistyczna propaganda obrzucała go błotem lub przemilczała – był niewygodny, wszak walczył z Sowietami, a w końcu zmarł (lub zginął) w PRL-owskim więzieniu. Z kolei dziś w coraz bardziej nierzetelne ramy wtłacza go prawica, czyniąc

swym ulubionym lewicowcem – wyzuty z tego, kim był faktycznie. 26 sierpnia przypada rocznica jego urodzin.

Wywrócić świat

Pisał o sobie: „z rodu Rusin, narodowości Polak”. Przychodzi na świat w 1883 r. na przedmieściu Tarnopola (wtedy austriacka Galicja). Ojciec jest Polakiem

(murarzem), matka Ukrainką. Już w ck gimnazjum podejmuje dalekosiężną decyzję: „Chcieliśmy przewrócić świat do góry nogami i uszczęśliwić ludzkość”.

Z taką ideą w głowie wchodzi w krąg Polskiej Partii Socjalistycznej i socjalizmu niepodległościowego – silnego w Galicji. Na partię za młody, zaczyna w tajnej organizacji „Promień” dla młodzieży o poglą-

dach lewicowo-patriotycznych. Zakłada jej oddział w Tarnopolu, okazuje się świetnym organizatorem. Tworzy też Koło Mierosławczyków, mające przygotowywać do przyszłej walki zbrojnej.

Już dorosły, wstępuje do PPS. Przerywa studia prawnicze we Lwowie i zgłasza się do działań w zaborze rosyjskim. Po rozłamie w partii wybiera niepodległościową PPS Frakcję Rewolucyjną, zostaje członkiem jej Centralnego Wydziału Organizacyjnego. Po stratach poniesionych przez PPS podczas rewolucji 1905 r. wstępuje do jej organizacji bojowej. Jedno z pierwszych zadań to zlikwidowanie zdrajcy i prowokatora Edmunda Tarantowicza; jego zwłoki odnaleziono w Rzymie.

Wiosną 1911 r., po wyspie, trafia w Łodzi w ręce carskiej policji, której udaje się go powiązać tylko z przynależnością do PPS. To „tylko” równa się wyrokowi ośmiu lat w okrytej ponurą sławą twierdzy w Szlisselburgu, a później dożywotniemu zesłaniu na Syberię. Siedzi w ciemnej i zimnej celi, w kajdanach na rękach i nogach. Uwalnia go w 1917 r. rosyjska rewolucja lutowa. Kazimierz Pużak pisał potem: „Dzień ostatni pobytu w Szlisselburgu byłby niezakończony, gdybym nie wspomniął o losie naszych budynków więziennych. Zrobiliśmy to, co należało z nimi uczynić – spaliliśmy”.

Szara eminencja PPS

Z rewolucyjnym wrzieniem w Rosji polscy socjaliści wiążyli nadzieje na demokratyzację tego kraju i odwrót od imperialnej polityki. Pużak zostaje redaktorem pisma „Głos Robotnika i Żołnierza”, wchodzi w skład władz PPS w Rosji, organizuje jej strukturę.

Po przewrocie bolszewickim polscy pepeesowcy początkowo nie są przeciwni nowej władzy. Wszak głosi ona prawo narodów do samostanowienia. Pużak obejmuje funkcję naczelnika rządowego Wydziału Prawno-Politycznego w Komisariacie do Spraw Polskich. Pomaga polskiemu jeńcom, z Trockim pertraktuje (bezsukcesyjnie) o utworzeniu polskich oddziałów do walki z Niemcami.

W miarę narastania bolszewickiego terroru nabiera dystansu. Wspominał: „Trafiłszy na (...) moment bytności delegacji z fabryki Sormowskiej pod Niżnym Nowogrodem. (...) Lenin pytał ich, jak idzie produkcja armat małokalibrowych – odpowiedzieli, że miesięcznie fabryka wypuszcza dwie armaty. Na to Lenin: a ile

produkowano za caratu; odpowiedź – 60; a przy Kiereńskim – odpowiedź – 12; Lenin: ja was sukinsyny zmuszę, że będziecie produkować co najmniej 10 armat miesięcznie. A teraz – won! Właśnie na tę scenę wyrzucania patrzyliśmy”.

Latem 1918 r. Pużak zwołuje konferencję PPS w Rosji, na której zapada decyzja o rozwiązaniu struktur i powrocie do Polski. Gdy w listopadzie powstaje pierwszy rząd niepodległej Polski, premiera socjalisty Jędrzeja Moraczewskiego, zostaje sekretarzem generalnym Ministerstwa Poczty i Telegrafów.

Sytuuje się na lewym skrzydle PPS. Gdy rządzącą lewicę atakuje prawica, przekonuje do radykalnych rozwiązań: „Stwierdzał, że (...) rząd ludowy winien niezwłocznie przystąpić do tworzenia fundamentów rewolucji przez wprowadzenie reform społecznych, zwalczanie oporu burżuazji – aż do odebrania jej rzecznikom wolności zgromadzeń, stowarzyszeń i prasy – i ogłoszenie dyktatury rządu robotniczo-chłopskiego” – relacjonuje badaczka Anna Tymieniecka. Rozczarowany Pużak stwierdza: „My rządymy Polską, ale nie urządzamy jej po swojemu”.

Zostaje wybrany do władz PPS. Funkcję sekretarza generalnego Centralnego Komitetu Wykonawczego sprawuje aż do wybuchu II wojny światowej, co czyni go członkiem wąskiego grona decyzyjnego, wręcz szarą eminencją.

Lewicowiec kontra komuniści

Wybrany w początkach II RP do Warszawskiej Rady Delegatów Robotniczych z listy PPS, zwalcza wpływy komunistów w partii. Podczas sowieckiej ofensywy na Warszawę latem 1920 r. PPS powołuje Wydział Wojskowy, a Pużak wchodzi w jego skład i prowadzi akcję werbunkową do wojska wśród robotników. W obliczu postępów Armii Czerwonej powstaje Robotniczy Komitet Obrony Warszawy, z Pużakiem w kierownictwie.

Już po wojnie Pużak szefuje komisji badającej przypadki współpracy członków PPS z bolszewikami i usuwającej ich z partii. Nie przeszkadza mu to w późniejszych latach domagać się zalegalizowania partii komunistycznej i twierdzić, że sprzeczne z prawem są konkretne czyny, nie zaś poglądy, a wolność i demokracja są także dla wrogów politycznych.

W pierwszych wyborach, w styczniu 1919 r., otrzymuje mandat poselski

z „czerwonego Zagłębia” (Dąbrowskiego). Przemawia w Sejmie w sprawie brutalnego tłumienia demonstracji przez policję, wspiera strajki w regionie. Reelekcję uzyskuje już z okręgu Częstochowa, w trzech kolejnych wyborach. Uwielbiany przez robotników, szczególnie „czerwonego Rakowa”, czyli przyhutniczej dzielnicy, na lokalnym gruncie wspiera walkę o podwyżki, skutecznie zabiega o zmniejszenie skali zwolnień w hucie, pomaga strajkującym, 1 maja przemawia na wiecach.

W parlamencie nagłaśnia fatalne warunki w więzieniach, w tym przemoc wobec więźniów politycznych. W 1928 r. referuje projekt ustawy amnestyjnej, której przyjęcie uwolni wkrótce wielu politycznych lub złagodzi wyroki. Bierze udział w pracach sejmowej Komisji Wojskowej, jest bardzo zaangażowany w sprawę wzmocnienia obronności kraju. Szczególną uwagę poświęca przez lata sprawom lokatorskim. W 1924 r. relacjonuje zakusy prawicy, która chciałaby zmienić wprowadzone wcześniej lewicowe prawodawstwo: „Ustawa o ochronie lokatorów (...) ogranicza prawo własności posiadaczy nieruchomości, (...) właściciel domu nie może samowolnie lokatora usunąć z mieszkania ani też nie może domagać się dowolnie oznaczonego komornego”.

W PPS dystansuje się od lewicowych radykałów, ale zwalcza też prostanacyjny rozłam w partii w 1928 r.; krytykuje autorytarne zapędy Piłsudskiego. Domaga się likwidacji obozu w Berezie Kartuskiej. W 1931 r. rzuca w twarz posłom sanacji: „Czy panowie przypuszczają, że społeczeństwo (...) po to zmieniało rządy najezdnicze, ażeby sprowadzić na siebie tego rodzaju okupację, której jesteśmy świadkiem?”.

Prawie zostaje więźniem twierdzy w Brześciu. Piłsudski wykreśla kilka nazwisk starych towarzyszy lub osób wspierających go w początkach II RP. Wyjątkiem jest Pużak, niezwiązany z Marszałkiem. „Co by o mnie ludzie powiedzieli, gdybym więźnia Szlisselburga zamknął w twierdzy” – miał powiedzieć Piłsudski.

Partyjna bojkówka i Komitet Obrony

Na kongresie PPS w 1934 r. mówi, że „klasa robotnicza, prześladowana nieustannie, dojrzeła do oporu, gdy proklamowano krucjatę przeciwko marksizmowi i socjalizmowi. Żaden kompromis

→ nie uchroni mas przed zachłannością i przemocą faszyzmu” oraz konkluduje: „Nasza najbliższa przyszłość to Polskie Państwo Socjalistyczne”. W PPS-owskim piśmie „Głos Kobiet” stwierdza: „Niedaleki jest czas, kiedy siła uświadomionego proletariatu zaważy na szali i przeciwstawi się wszelkim zakusom faszystowsko-endecko-klerykałnym, żeby Polskę zamienić w Ciemnogród”.

Zygmunt Zaremba, przyjaciel i współpracownik Pużaka, pisał: „Z jego to inicjatywy powstała w 1931 roku specjalna organizacja wewnętrzna w partii pod nazwą Akcja Socjalistyczna (AS)”. Akcja odegrała „wielką rolę w podniesieniu ducha szeregow partyjnych w tym ciężkim okresie i w obronie zgromadzeń i lokali robotniczych, które próbowali nachodzić komuniści i faszysty nieraz z bronią w rękę”.

Akcja, początkowo zwana Antyoeńskim Komitetem Akcji Socjalistycznej, jest *de facto* partyjną bojówką. Gdy część działaczy krytykuje tę formę, Pużak, szef Akcji, odpowiada: „Jesteśmy przeciwnikami gwałtu, ale jeśli ktoś ma być bity, to my będziemy tymi, którzy biją, a nie odwrotnie”.

W 1936 r. mówi: „Gdyby robotnicy choć na chwilę zlekceważyli nacjonalizm i jego dążenia, to tym samym dopuściliby do jego bardzo szybkiego triumfu. To z kolei rozstrzygnęłoby losy walki klasy pracującej o własne wyzwolenie – o socjalizm”. Stąd „klasa robotnicza Polski występuje i zawsze występować będzie przeciwko każdej hecy antyżydowskiej i przeciwko każdemu szczeniuciu nacjonalistycznemu”.

Po dojściu Hitlera do władzy Pużak nie ma złudzeń: „blok faszystowsko-hitlerowski rządzi losami narodów i małe państwa (...) są narażone na napad z zewnątrz”. Jeszcze więcej uwagi poświęca teraz obronności Polski. W 1936 r. deklaruje, że PPS i robotnicy-socjaliści mimo dystansu wobec władz całkowicie popierają armię wobec groźby wojny. W 1937 r. pisze, że obronność to absolutny priorytet, apeluje o zacieśnienie sojuszu z Francją i podwyżki podatków dla zamożnych w celu sfinansowania większych wydatków militarnych.

W lutym 1939 r. wchodzi do Narodowego Komitetu Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej. A od wiosny, wraz z zaufanymi ludźmi z PPS, 56-letni już Pużak poniekąd wraca do czasu młodości: na wypadek wojny tworzy strukturę opartą na

Przez całą okupację
podkreśla, że
**wolną Polskę należy
oprzeć na dwóch filarach:**
demokracji politycznej
i demokracji społecznej,
czyli reformach socjalnych.

trzyosobowych komórkach, szkolonych w zakresie dywersji.

Komendant

Po klęsce wrześniowej podejmuje decyzję o rozwiązaniu PPS. Znając realia konspiracji, „odsiewa” część działaczy i wraz z zaufanymi tworzy organizację podziemną: Wolność Równość Niepodległość, czyli PPS na czas wojny. Stary konspirator szybko organizuje, jako sekretarz generalny WRN, dużą ogólnokrajową strukturę (2 tys. komórek), która opiera się poważniejszym ofiarom w ludziach i wyspom. Prowadzi ona aktywność formacyjną i kolportaż pism podziemnych.

Towarzyszy jej struktura zbrojna: Gwardia Ludowa (później tę nazwę ukradną komuniści) WRN, której Pużak jest komendantem głównym. Prowadzi ona liczne działania dywersyjne, a w 1942 r. zostaje – z zachowaniem autonomii – scalona z Armią Krajową. W maju 1944 r., pod zmienioną nazwą Organizacja Wojskowa Pogotowia Powstańczego Socjalistów, liczy ok. 40 tys. żołnierzy podziemnych.

Od 1940 r. Pużak jest też przedstawicielem PPS w Politycznym Komitecie Porozumiewawczym stronnictw podziemnych. Zostaje jego przewodniczącym. Przestrzega przed wyborem między „hitlerowskim diabłem a sowieckim Belzebubem”. W 1941 r. występuje z Komitetu w proteście przeciw układowi, jaki premier gen. Sikorski podpisuje ze Stalinem; Pużak krytykuje brak deklaracji o uznaniu wschodniej granicy RP. Podkreśla, że wolną Polskę należy oprzeć na dwóch filarach: demokracji politycznej i społecznej, tj. reformach socjalnych.

Na dobre i na złe

W obliczu rosnących wpływów Związku Sowieckiego, mimo niechęci do prawicy, Pużak podpisuje umowę o współpracy PPS-WRN z innymi podziemnymi partiami: Stronnictwem Narodowym, Stronnictwem Pracy i Stronnictwem Ludowym. Na początku 1944 r. powstaje – jako przeciwwaga dla prosowieckiej KRN – Rada Jedności Narodowej. Zostaje jej przewodniczącym. Lojalny wobec władz RP w Londynie, uważa jednak, że kluczowe decyzje powinny zapadać w Polsce.

Wiosną 1944 r. prezydent Raczkiewicz nominuje go na swego następcę, zostaje przygotowany lotniczy przerzut Pużaka do Anglii. Ten jednak w rozmowie z emisariuszem rządu odmawia: „Moje miejsce na złe i dobre jest z polską klasą robotniczą, a nie w emigracyjnym Londynie”.

W powstaniu warszawskim bierze udział jako dowódca Organizacji Wojskowej Pogotowia Powstańczego Socjalistów. Jak jednak wspomina Zaremba: „Pużak nie podzielał naszych nastrojów. Mówił o niebezpieczeństwach rozpalenia walki bez pewności, czy Czerwona Armia przyjdzie z odsieczą, i nade wszystko – bez zapewnienia wystąpieniu zbrojnemu (...) osłony z powietrza. (...) lepiej od nas widział niebezpieczeństwa”.

Po upadku powstania trafia do Krakowa, później do Piotrkowa. Po konferencji w Jalcie pisze: „Cios był dobrze przygotowany przez zmwowę nowego »Świętego Przymierza«, (...) był aktem wielkiej krzywdy wyrządzonej Polsce, krzywdy, której nasz naród – jeśli ma zostać narodem o własnej godności – nie może zapomnieć”.

Na Łubiance i w Rawiczu

W Polsce, zajętej przez Armię Czerwoną, trwa już instalowanie nowej komunistycznej władzy. Pużak jej nie akceptuje. Odmawia uznania „odrodzonej” PPS, budowanej pod kontrolą komunistów. Próbuje odbudować niezależne struktury partyjne. Ale „coś się złamało w psychice i nastawieniu ludzi odpowiedzialnych za całość powierzonej im Sprawy”. Swoje robiła też nagonka komunistów: „Oto pewnego dnia ukazała się we wszystkich gazetach notatka (...) insynuująca mnie i Kazimierzowi Pużakowi (...) kontakty z Gestapo” – wspominał Zaremba.

Wraz z innymi przedstawicielami podziemia decyduje się, mimo obaw, spotkać z przedstawicielami Armii Czerwonej. I wraz z nimi zostaje 28 marca 1945 r. aresztowany i przewieziony do moskiewskiego więzienia na Łubiance. Przez trzy miesiące trzymany w ciężkich warunkach, przesłuchiwany 140 razy, głównie odmawia zeznań. Sowietci zarzucają mu działalność dywersyjną na tyłach Armii Czerwonej i współpracę z Niemcami („robili wszystko, żeby z zaszczytnego i wielce zasłużonego miana postępu europejskiego o Polakach – że co Polak, to rewolucjonista – (...) przedstawicieli [nas] jako faszystów”). W tzw. procesie szesnastu w Moskwie zostaje skazany na półtora roku więzienia.

Dzięki amnestii wychodzi po 4 miesiącach i wraca do kraju. WRN już nie istnieje (została rozwiązana z powodu prześladowań), a w „oficjalnej” PPS działacze niezależni są marginalizowani lub usuwani. Pużak nie ulega naciskom UB ani namowom przyjaciół, by uciekał na Zachód. Przestrzegany, że komuniści znowu go aresztują, odpowiada: „Jeśli mnie nawet zamkną i nie wyjdę z więzienia – i to posłuży sprawie”.

Tworzy konspiracyjną strukturę polityczną, wraz z m.in. Zarembą, Ludwi-

kiem Cohnem i Tadeuszem Szturm de Sztremem. Wiosną 1947 r. zostaje ona rozbita przez UB. Pużak trafia do więzienia. W listopadzie 1948 r., w procesie przywódców PPS-WRN, otrzymuje wyrok 10 lat.

W mowie końcowej oświadcza: „Nie myślę zmienić mojego poglądu. (...) w tej chwili, gdy stoję nad grobem, byłoby naprawdę nie do uwierzenia (...), że zmiana poglądów dokonała się w sposób naturalny”. I dalej: „Jeśli mi wolno wnieść jakąś prośbę do sądu, to prosiłbym bardzo (...), by za cenę mojego wyroku obniżyć tym współtowarzyszom ich dolę wyrokową”.

Więźniowie stali na baczność

Więziony jest w Rawiczu, w fatalnych warunkach: zamykany w karcerze, szykanowany, notorycznie przesłuchiwany. Nakłaniany przez władze więzienia do napisania prośby o łaskę, odpowiada: „Z wami nie będę rozmawiał, o żadną łaskę prosił nie będę”.

Na wolność już nie wyjdzie. Kazimierz Pużak umiera 30 kwietnia 1950 r., w niejasnych okolicznościach: bądź to z powodu wycieńczenia, bądź skutek obrażeń po zepchnięciu ze schodów przez

strażnika. 23-letni współwięzień Władysław Gorzan, partyzant od „Ognia”, wspominał: „Kiedy odbierali [rodziną] zwłoki, zapowiedziano, że nie wolno nikomu wyglądać przez okno. Istotnie, nikt nie wyglądał, gdyż wszyscy więźniowie stali na baczność pod ścianą celi, aby uczcić wielkiego Polaka”. Zostaje pochowany na Powązkach; władze zakazują rozklejania nekrologów i informowania w prasie o pogrzebie.

Dziś prawicowe laurki na cześć Pużaka powtarzają, że ostatnie słowa oskarżonego do sądu sędziowskiego brzmiały, iż jest „rzymskim katolikiem narodowości polskiej i nic więcej nie mam panom do powiedzenia”.

Podobnych słów nie notują akta sprawy ani wspomnienia współoskarżonych. To tylko opowieść krążąca wtedy po Warszawie i zapisana w dziennikach przez Marię Dąbrowską. Plotka ta oraz przemilczane aspekty jego biografii – jego przekonania socjalistyczne i niechęć do prawicy narodowej – służą do kolejnego fałszowania pamięci o nim.

Jest smutnym paradoksem, że kiedyś komuniści przypisywali mu prawicowość, a dzisiejsza prawica robi coś podobnego.

© REMIGIUSZ OKRASKA

TP ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU” SPECJALNY DODATEK HISTORYCZNY:

Polski wrzesień 1939

- **80 LAT TEMU** wojska niemieckie i słowackie zaatakowały II Rzeczpospolitą, dwa tygodnie później do ataku ruszyła także Armia Czerwona – rozpoczęła się II wojna światowa. O kampanii polskiej roku 1939 opowiemy w specjalnym dodatku historycznym.
- **POLSKA STANĘŁA DO WALKI** z dwiema armiami, należącymi do najpotężniejszych w ówczesnym świecie i atakującymi ze wszystkich stron. Czy można było nie przegrać tej kampanii? Czy polscy politycy i generałowie mogli przyjąć inny plan obrony? Czy mogliśmy wygrać?
- **JAK WYGLĄDAŁA** Hitlera i Stalina droga do sojuszu – mimo różnic ideologicznych – i do wojny?
- **WRZESIEŃ W DOLINIE DUNAJCA:** 80 lat temu do ataku na Polskę dołączyła także Słowacja – jak wyglądały walki polsko-słowackie?
- **WARSZAWSKI WRZESIEŃ '39:** dla mieszkańców stolicy ten miesiąc był próbą wytrzymałości psychicznej i fizycznej. Emocje dyktował rytm – nieznaney wcześniej – wojny na wyniszczenie, w której celem stali się także cywile. Jak ponad milionowe miasto przeżywało swoje oblężenie?
- **JAK NIEMCY I ROSJANIE** pamiętają dziś o roku 1939?

WSPÓŁWYDAWCA:



PARTNERZY:



KRAJOBRAZ PO POWODZI

Rzeka danych generowanych przez ludzkość
płynie coraz szerszym strumieniem, a nauka i biznes
uzależniają się od jej analizy. Jakie miejsce
w tym cyfrowym świecie pozostało dla człowieka?

JAREK GRYZ

DANE ZBIERAMY, OD KIEDY ISTNIEJE PISMO: notujemy daty chrztu i małżeństwa, tworzymy kroniki historyczne, spisujemy transakcje handlowe. Do niedawna ich archiwizacja na piśmie napotykała na poważne ograniczenia – koszty papieru i samego zapisu na nim danych (także drukiem), ale technologia cyfrowa zmieniła wszystko.

Największa biblioteka świata, Biblioteka Kongresu, przechowująca 16 milionów książek, wymaga około 10 TB (terabajtów) pamięci – a nośniki o takiej pojemności kosztują dzisiaj około tysiąca złotych. Przesyłanie i zapisywanie danych, a nawet ich zbieranie – z kamer, sensorów, kas sklepowych – jest dziś całkowicie zautomatyzowane.

Nic zatem dziwnego, że w ostatnich latach nastąpiła eksplozja w tej dziedzinie. Co dwa dni generujemy tyle danych, ile zebraliśmy od początku świata do 2000 r.

Ilość, szybkość i różnorodność

Rzeka danych płynie dzień i noc. Eksperymenty w Wielkim Zderzaczu Hadronów (LHC) korzystają z detektorów dostarczających 25 GB (gigabajtów) danych na sekundę, z czego rocznie zachowuje się ich około 30 PT (petabajtów, 1 PT to milion GB). Twitter rejestruje około 500 mln tweetów dziennie. Amerykańska sieć handlowa Walmart przeprowadza milion transakcji na godzinę, co odpowiada 2,5 PT danych. Każdy silnik airbusa A380 generuje w ciągu 30 minut lotu 10 TB (terabajtów) danych (1 TB to tysiąc GB).

Dane same w sobie – nawet w dużej ilości – są bezużyteczne, dopiero ich analiza pozwala wydobyć z nich cenne informacje. Prym wiecie tu wielki biznes, głównie handel. Dla marketingu dane na temat przeszłych zakupów to żyła złota. Można na ich podstawie tworzyć modele klientów o podobnych cechach, przewidywać sekwencje zakupów rozłożone w czasie, modelować „koszyki” zakupów itd.

Każde z tych odkryć przekłada się następnie na skuteczniejszą reklamę lub

wydajniejszą obsługę w sklepie (np. ustawianie obok siebie produktów kupowanych razem).

Angielskie określenie Big Data, pochodzące jeszcze z lat 90., oznacza nie tylko dużą ilość danych, ale także ich różnorodność (liczby, tekst, zdjęcia, nagrania filmowe i dźwiękowe itp.) i szybkość, z jaką do nas docierają – stąd sugestia „rzeki danych” jako polskiego odpowiednika tego terminu. Te dwie ostatnie cechy współczesnych danych wymagały dużo bardziej wyrafinowanych algorytmów niż te stosowane do danych jednorodnych i statycznych.

Nic zatem dziwnego, że rynek w dziedzinie usług i oprogramowania do analizy danych wart był w 2018 r. 42 mld dolarów i rośnie w tempie ponad 10 proc. rocznie. Bodaj najbardziej poszukiwaną specjalnością wśród informatyków jest w tej chwili *data scientist*, a uczelnie – także w Polsce – uruchamiają osobne programy w tej dziedzinie.

Pytanie za milion

Algorytmów do analizy danych są w tej chwili setki, ale służą do realizacji kilku podstawowych zadań.

Grupowanie organizuje zbiory podobnych elementów w spójne grupy, czego efektem ubocznym jest wykrywanie anomalii – elementów, które do żadnej grupy nie pasują. Regresja buduje model danych w postaci funkcji matematycznej. Agregacja opisuje zbiór danych za pomocą ich własności statystycznych, takich jak suma, średnia, mediana itp.

Najczęściej używaną metodą analizy danych jest jednak klasyfikacja, która na podstawie własności elementu danych przydziela go do z góry zdefiniowanych grup. Klasyfikacji używa się do tak różnych zadań jak rekomendacje filmów na Netflixie czy też rozpoznawanie obiektów na zdjęciach.

Ale proces analizy danych to dużo więcej niż tylko wybór i uruchomienie algorytmu. Bardzo ważne jest samo przygotowanie danych.

W ubiegłym roku jeden z największych azjatyckich serwisów muzycznych KKBox zorganizował konkurs, którego celem było zaprojektowanie algorytmu rekomendującego piosenki swoim abonentom. Wziął w nim udział jeden z moich doktorantów, Nima Shahbazi – zresztą niedawny laureat głównej na-

grody, wartości miliona dolarów, w podobnym konkursie.

Poszukiwany algorytm jest uważany za skuteczny, jeśli rekomendowana piosenka jest następnie kilkakrotnie odsłuchana (co sugeruje, że spodobała się użytkownikowi). KKBox dostarczył dane ponad 30 tys. użytkowników, 360 tys. piosenek i ponad 7 mln odsłuchań (par użytkowników/piosenka). Dane te były ubogie: niewiele mówiły o użytkownikach, w dodatku każdy z nich wysłuchał znikomą część dostępnych piosenek.

Co gorsza, algorytm miał być oceniany na podstawie danych o nowych użytkownikach i piosenkach – czyli takich, o których niczego nie wiedzieliśmy. Żeby sprawdzić, jaki efekt uzyskamy analizując takie surowe dane, Nima zastosował algorytm oparty na sieciach neuronowych. Wygenerowane rekomendacje były żenująco słabe – niewiele lepsze niż wybór losowy! Było oczywiste, że dane trzeba lepiej przygotować.

Po pierwsze, należy większą wagę przywiązywać do ostatnich odsłuchań piosenek, bo te reprezentują obecny gust użytkownika. Po drugie, trzeba uzupełnić zbiór odsłuchań w taki oto sposób: jeśli użytkownicy A i B zgadzają się w ocenie wspólnie odsłuchanych piosenek, to można założyć, że piosenkę X, którą A lubi, B też powinien lubić (choć jej nigdy nie słuchał). Po trzecie, należy uzupełnić dane o takie parametry, jak liczba piosenkarzy, gatunków i piosenek odsłuchanych przez danego użytkownika. Obserwacji tego rodzaju było oczywiście więcej.

Nima spędził około 80 proc. czasu na selekcji i uzupełnianiu danych, a dopiero resztę na właściwym doborze algorytmów. Żadne z opisanych powyżej obserwacji nie miały charakteru technicznego, natomiast wymagały zrozumienia kontekstu, którego dotyczyły analizowane dane. Innymi słowy, bardziej niż informatyk, potrzebny był tu po prostu człowiek.

Czy jesteś robotem?

Wiele z zadań, jakie trzeba wykonać przy analizie danych, to żmudna i niewdzięczna praca. Kilkanaście lat temu „New York Times” postanowił zdigitalizować wszystkie archiwalne wydania gazety z ostatnich 150 lat.

Proces ten odbywa się w trzech etapach – najpierw robi się skan archiwalnego tekstu, następnie poddaje się go obróbce →

Archiwa amerykańskiego wywiadu lotniczego zawierające miliony fotografii czekających na digitalizację. Moreno Valley, Kalifornia, 2014.

→ programem do rozpoznawania tekstu i wreszcie poprawia ewentualne błędy. Pierwsze dwa kroki są proste i tanie, ale w przypadku starych i zniszczonych gazet 10-30 proc. tekstu nie jest rozpoznawalne automatycznie i potrzebna jest interwencja człowieka. A to jest kosztowne.

Ale Luis von Ahn, profesor z uniwersytetu Carnegie Mellon, wpadł na przebiegły pomysł. Podzielił cały zeskanowany tekst na pojedyncze wyrazy i podtykał internautom jako dobrze wszystkim znane CAPTCHA. To te ciągi często bezsensownych, powykrzywianych i zamazanych liter, które mamy poprawnie zinterpretować, żeby udowodnić, że nie jesteśmy robotem. Każdy wyraz ze starych wydań „NYT” interpretowany był jako CAPTCHA przez wielu użytkowników dla zapewnienia poprawności odczytu na poziomie 99 proc.

Tak oto wielu z nas wzięło nieświadomie udział w digitalizacji „NYT”. Masowe wykorzystywanie usług czy opinii użytkowników internetu (najczęściej za ich zgodą i wiedzą) dla osiągnięcia jakiegoś skumulowanego rezultatu jest dziś powszechnie stosowane pod nazwą *crowdsourcing*.

Nowy paradygmat?

Dramatyczny wzrost ilości danych dostępnych dla naukowców w ostatnich latach skłonił niektórych obserwatorów do ogłoszenia jakościowej zmiany w uprawianiu nauki. W 2009 r. ukazał się zbiór artykułów opisujących rezultaty analizy wielkich zbiorów danych dokonanych wspólnie przez naukowców i informatyków, zatytułowany „The Fourth Paradigm” (ang. czwarty paradygmat).

Był to jednocześnie manifest zapowiadający rewolucję w nauce. Skoro algorytmy same potrafią wykrywać subtelne związki i zależności między danymi, naukowcy nie muszą już konstruować hipotez i modeli, algorytmy same będą je proponować. Autorzy poszli nawet dalej – uznali, że niepotrzebne jest wyjaśnianie zjawisk, a tylko ich przewidywanie, wystarczy wykrywać korelacje, a nie związki przyczynowo-skutkowe.

Dla metodologa nauki powyższe tezy brzmią naiwnie: choćbyśmy przeprowadzili miliony eksperymentów w LHC, to nie odkryjemy nowej mechaniki kwantowej; możemy co najwyżej sfalsyfikować tę wymyśloną przez Nielsa Bohra. Co do

korelacji zaś, to mają one często marną wartość poznawczą.

Zauważono niegdyś silną korelację między sprzedażą lodów a liczbą utonięć (im więcej lodów, tym więcej utonięć i na odwrót). Ale cóż nam po tej obserwacji? Nie zmniejszymy liczby utonięć przez zakaz sprzedaży lodów właśnie dlatego, że nie jest to związek przyczynowo-skutkowy. Wyeliminowanie ich wspólnej przyczyny – czyli lata – też byłoby dość trudne [więcej na ten temat pisze dalej Michał Eckstein – red.].

Bezrobocie i pornografia

Wydaje się, że entuzjazm wobec możliwości, jakie daje analiza wielkich zbiorów danych, może być jednak uzasadniony w przypadku nauk, w których budowanie prostych modeli jest tak czy owak niemożliwe i gdzie właśnie korelacje są użyteczne. Nie było przypadkiem, że autorzy „The Fourth Paradigm” reprezentowali takie właśnie nauki: oceanografię, epidemiologię, ochronę środowiska.

Największą rewolucję Big Data może wywołać w naukach społecznych, w których problemem było zarówno zbieranie wystarczającej ilości danych, **jak również ocena ich wiarygodności.**

Ale największe chyba możliwości może przynieść Big Data w naukach społecznych, gdzie problemem było do tej pory nie tylko zebranie wystarczającej ilości danych, ale również ocena ich wiarygodności.

W 2017 r. ukazała się fascynująca książka „Everybody Lies”, o której psycholog Steven Pinker pisze wręcz, że „wskazuje nową drogę w naukach społecznych”. Jej autor, Seth Stephens-Davidowitz, poddaje analizie cyfrowe ślady, jakie pozostawiają użytkownicy portali internetowych takich jak Google, Facebook czy Pornhub.

Wartość tych śladów – wpisów, kliknięć czy innych interakcji – leży w ich

masowości, łatwej do analizy formie i wiarygodności. Standardowe w naukach społecznych badania ankietowe zbierają dane z niewielkiej tylko próbki populacji, są kosztowne i często niewiarygodne (badani nierzadko ukrywają prawdziwe przekonania).

Tymczasem Stephens-Davidowitz dostarczył nam informacji o setkach milionów ludzi, którzy szczerze sygnalizują swoje poglądy dzięki poczuciu anonimowości w internecie. Wymieńmy dwa przykładowe efekty jego analizy.

- Częstotliwość wpisywania obraźliwego określenia *nigger* (ang. czarnuch) w wyszukiwarce Google korelowała z głosami oddanymi na Donalda Trumpa w danej okolicy silniej niż bezrobocie, religijność mieszkańców, procent imigrantów czy fakt posiadania broni.
- Wzrost bezrobocia w okolicy wywołuje zwiększoną liczbę wyszukiwań stron pornograficznych.

Choć powyższe odkrycia można traktować jak ciekawostki, a nie rzetelną naukę, to z pewnością mogą one być inspiracją dla bardziej usystematyzowanych badań.

Internetowy test ciężowy

Prawie każde nasze działanie zostawia dziś cyfrowy ślad. Aplikacje telefoniczne takie jak Uber czy Google Maps znają nasze położenie, wyszukiwarka Google wie, co nas interesuje, a media społecznościowe znają nasze poglądy polityczne.

Większość z nas jest jednak świadoma, że pozostawia takie informacje o sobie i może podjąć proste kroki, aby uniknąć ich ujawniania. Niestety, niewiele możemy zrobić, aby zapobiec wykryciu osobistych danych, których nie zostawiliśmy nigdzie *explicite*, ale które można wywnioskować ze śladów zostawionych w internecie. Oto słynna już historia sprzed kilku lat.

Target, amerykańska sieć supermarketów, zatrudniła analityka danych, by ten na podstawie informacji o klientach zebranych przez karty lojalnościowe ocenił, czy dana klientka spodziewa się dziecka.

Zadanie okazało się stosunkowo łatwe: zidentyfikowano 25 produktów, których zakupy pozwalały z bardzo dużym prawdopodobieństwem przewidzieć nie tylko to, że klientka jest w ciąży, ale również przybliżony termin porodu. Marketin-

gowcy zaczęli wysyłać przyszłym matkom kupony rabatowe na śpioszki, wózki itp.

Trwało to dopóty, dopóki w jednym ze sklepów Target nie pojawił się wściekły ojciec pewnej 15-latki. Zażądał wyjaśnień, dlaczego jego córka dostaje broszury reklamujące ubranka dla niemowlaków: czyżby Target zachęcał nastolatki do zachodzenia w ciążę?

Target wystosował oficjalne przeprosiny; no cóż, żaden algorytm nie jest nieomyślny. Ale kilka dni później zadzwonił skruszony ojciec; córka się przyznała, algorytm miał rację.

Pełna anonimiowość

Wydawać by się mogło, że anonimiowość jest prostą i niezawodną metodą zachowania prywatności (gdyby 15-latka nie podała swojego nazwiska i adresu, ani jej ojciec, ani sklep nie wiedzieliby, że jest w ciąży). W istocie ustawodawstwa większości krajów Zachodu wymagają anonimizacji tzw. wrażliwych danych (np. medycznych).

Niestety w ostatnich latach pokazano, że nawet anonimiowość nie daje gwarancji utajnienia danych. Kilka lat temu Vitaly Shmatikov i jego grupa z Uniwersytetu w Teksasie zaprojektowali błyskotliwy algorytm, który porównując wyłączenie strukturę dwóch sieci społecznościowych, Flickr i Twitter, poprawnie wskazał właścicieli 88 proc. anonimowych kont tego drugiego. Warto przy tym podkreślić, że ani Target, ani Shmatikov nie złamali prawa wykrywając informacje, które użytkownicy chcieli ukryć.

Nie znaczy to oczywiście, że niepożądana jest ochrona prawna prywatności, ale moim zdaniem naiwnością jest liczyć na to, że prawo zapewni nam pełną gwarancję ochrony danych osobowych.

Co nam pozostaje? W zasadzie możemy wycofać się ze świata cyfrowego. Wyrzucić smartfon, nie otwierać przeglądarki internetowej na swoim domowym komputerze i zrezygnować z karty kredytowej. Ale kto z nas byłby na to gotowy?

© JAREK GRYZ

Autor jest profesorem informatyki na Uniwersytecie York w Toronto. Od dwudziestu lat zajmuje się analizą danych.

ADOBESTOCK



W OGROMNYCH ZBIORACH DANYCH roi się od osobliwych korelacji. Tyler Vigen, autor książki „Spurious Correlations”, doszukał się m.in. bardzo silnej korelacji pomiędzy rocznym spożyciem sera mozzarella na mieszkańca Stanów Zjednoczonych a liczbą przyznanych w tym kraju doktoratów z inżynierii lądowej w latach 2000–2009.

Wielkie miraż

MICHAŁ ECKSTEIN

Automatyczne algorytmy szukające wzorców w gigantycznych bazach danych mogą pomóc naukowcom, ale ich nie zastąpią.

NAJSTARSZĄ Z DZIEDZIN NAUKOWYCH JEST ASTROnomia. Przynajmniej od starożytności ludzie zaczęli dostrzegać prawidłowości w ruchach obiektów niebieskich. Następnie nauczyli się konstruować teoretyczne modele, dzięki którym mogli przewidywać takie zjawiska jak zaćmienie Słońca. Wraz z rozwojem matematyki i techniki w XIX w. postęp naukowy dramatycznie przyspieszył. Wydaje się, że dziś stajemy przed nowym wyzwaniem: przeżywamy powódź danych, o której pisze prof. Jarek Gryz.

Rewolucja w zbieraniu i przetwarzaniu olbrzymich i różnorodnych zbiorów danych spowodowała, że niektórzy analitycy i publicyści zaczęli głosić „filozofię Big Data”, w myśl której algorytmy całkowicie zastąpią naukowców i ich modele teoretyczne. „Jeśli mamy wystarczająco dużo danych, to liczby mówią same za siebie”, „W erze petabajtów nauka poradzi sobie bez modeli” – pisał w 2008 r. Chris Anderson, redaktor naczelny „Wired”.

To skrajna opinia – inni uważają, że tradycyjna metodologia nauki wymaga pewnego rozszerzenia, ale teoretyków i eksperymentatorów nie trzeba wysyłać na emeryturę.

A co o Big Data mówi nam sama matematyka?

Korelacje i przyczyny

Na początek trzeba zadać pytanie, czym właściwie są dane? Z punktu widzenia matematyki to po prostu →

→ zestawy (ciągi lub tabele) liczb. Ale oprócz wartości liczbowych dane posiadają także etykiety określające ich znaczenie. Na przykład ciąg liczb: 21, 23, 22, 24, 32, 29, 30 sam w sobie nie wygląda specjalnie ciekawie. Jeśli jednak wiemy, że przedstawia on pomiary temperatury powietrza w Krakowie, natychmiast zauważamy, że pod koniec tygodnia nastąpiło ocieplenie.

Ścisłej mówiąc, dane to zbiór wartości pewnych zmiennych losowych. Dopiero w tym kontekście możemy stwierdzić, że pewne wielkości są skorelowane, czyli zmieniają się podobnie (statystyka pozwala zaś mierzyć m.in. siłę korelacji, czyli stopień owego podobieństwa). Na przykład, jeśli ciąg: 17, 19, 19, 18, 25, 27, 26 odpowiada pomiarom temperatury w Zakopanem, to widzimy, że jest on cokolwiek podobny do tego z Krakowa. Ogólnie rzecz biorąc, w górach było chłodniej, ale, podobnie jak i w mieście królewskim, w piątek nastąpiło ocieplenie.

Jeśli jednak przyjmujemy tę korelację za pewnik, to możemy się srogo rozczarować. Bo oto w kolejnym tygodniu zaplanowaliśmy wycieczkę w góry. Zostawiliśmy słoneczny i ciepły Kraków w dobrym humorze, a w Zakopanem przywitał nas rześisty deszcz i chłód. Ten przykład pokazuje, że aby uniknąć rozczarowań, musimy nie tylko widzieć korelacje, lecz także rozumieć ich przyczyny.

Zgodnie z zasadą głoszoną przez niemieckiego filozofa Hansa Reichenbacha, jeśli dwa zjawiska są ze sobą skorelowane, to albo jedno jest przyczyną drugiego, albo mają one wspólną przyczynę w przeszłości. Na przykład: ocieplenie w Zakopanem było skorelowane ze wzrostem temperatury w Krakowie ze względu na ciepły front atmosferyczny napływający nad Małopolskę. Z kolei intensywny deszcz w górach może być bezpośrednią przyczyną powodzi w Krakowie.

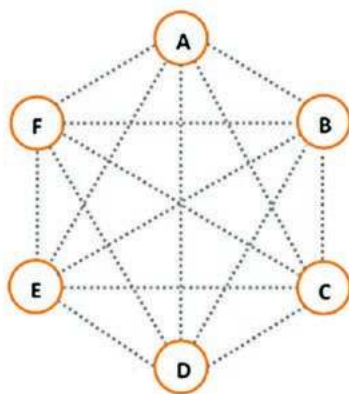
Margaryna a rozwody

W internecie można jednak znaleźć mnóstwo wykresów ukazujących absurdalne korelacje. Tyler Vigen, autor serwisu i książki „Spurious Correlations”, doszukiwał się m.in. bardzo silnych korelacji pomiędzy odsetkiem rozwodów w stanie Maine w USA a ilością zjadanej przez Amerykanów margaryny. Znacznie słabiej – ale wciąż zauważalnie – koreluje liczba osób, które utonęły w basenach, z liczbą filmów, w jakich w danym roku

Matematyka głosi: powiedz, jaki wzorec chciałbyś dostać, a powiem ci, jak duża musi być twoja baza danych, żebyś znalazł go tam z pewnością!

Miraże biorą się z samych wartości liczbowych,

zupełnie ignorując etykiety. Dlatego nie ma znaczenia, czy baza danych dotyczy fizyki, biologii, psychologii czy historii.



Problem towarzystwa

NA PRZYJĘCIU bawiło się 6 osób: Alicja, Bogdan, Czarek, Dawid, Ewa i Franek. Linie łączące odpowiednie litery określają wzajemne relacje danej pary. Jeśli osoby się znają, rysujemy niebieską kreskę, a jeśli nie, to czerwoną. Ponieważ z każdego wierzchołka wychodzi 5 linii, przynajmniej 3 z nich muszą być tego samego koloru. A z tego wynika, że przy sześciu wierzchołkach zawsze powstanie **przynajmniej jeden jednokolorowy trójkąt**. A zatem, jakiegokolwiek byłyby wzajemne relacje uczestników, to zawsze istnieje trójka osób znających się nawzajem albo będących sobie obcymi.

zagrał Nicolas Cage (w latach 1999–2009). Potrzeba dużej wyobraźni, żeby doszukać się stojących za tymi korelacjami związków przyczynowo-skutkowych.

Problem przyczyn i korelacji jest jednak poważny, o czym świadczy słynna afera związana z kryzysem ekonomicznym. W 2010 r. dwójce ekonomistów z Uniwersytetu Harvarda, Carmen M. Reinhart i Kenneth S. Rogoff, opublikowało artykuł w czasopiśmie „American Economic Review”. Opierając się na analizie danych, stwierdzili korelację pomiędzy wzrostem gospodarczym danego kraju a stosunkiem jego długu zagranicznego do PKB. Wyszuli z tego wnioszek, iż jeśli stosunek długu do PKB jest większy niż 90 proc., to gospodarka rośnie o połowę wolniej. Artykuł ten był cytowany ponad 3 tys. razy, a zawarte w nim tezy zostały przywołane w trakcie ustalania polityki ekonomicznej w USA i Unii Europejskiej w latach 2011–12.

Inni naukowcy zaczęli jednak wskazywać, że korelacja, owszem, istnieje, ale pomyłono przyczynę ze skutkiem. Po prostu kraje wolniej rozwijające się mają większy problem z zadłużeniem publicznym. W 2013 r. Thomas Herndon z University of Massachusetts Amherst i współpracownicy wykazali, że korelacja „odkryta” przez naukowców z Uniwersytetu Harvarda jest pozorna, a ich analiza opierała się na nieuzasadnionych założeniach. Reinhart i Rogoff w kolejnych artykułach mocno osłabili swoją kontrowersyjną tezę, ale decyzje ekonomiczne oparte na ich oryginalnych zaleceniach zdążyły już wejść w życie.

Czy my się znamy?

Czy zatem możemy natrafić na korelacje pozbawione sensu, czy też może ich przyczyny zawsze istnieją, ale są głęboko ukryte w gąszczu rozlicznych zjawisk? Nieco światła na to głębokie pytanie rzuca matematyka.

Rozważmy na początek ciąg binarny, czyli składający się z samych zer i jedynek. Możemy zadać pytanie: czy istnieją ciągi binarne całkowicie pozbawione prawidłowości? Okazuje się, że nie! Dobrym przykładem regularności w tym kontekście jest istnienie monochromatycznego podciągu, czyli samych zer lub jedynek pojawiających się w regularnych odstępach wewnątrz naszego binarnego ciągu. Na przykład ciąg 01100110 nie zawiera żadnego podciągu monochromatycznego

DAVID PAUL MORRIS / BLOOMBERG / GETTY IMAGES



MORITZ HAGER / WIKIPEDIA.ORG

KENNETH S. ROGOFF i CARMEN M. REINHART: *gospodarka państwa rośnie o połowę wolniej, gdy stosunek jego długu zagranicznego do PKB jest większy niż 90 proc.*

o długości 3. Natomiast, jeśli dopiszemy na jego końcu 0, to taki podciąg już się pojawi – faktycznie, symbol **0** powtarza się na co czwartej pozycji **011001100**. Co ciekawe, jeśli zamiast zera na końcu wpisujemy jedynekę, to taki ciąg również zawiera podciąg monochromatyczny o długości 3. Rzeczywiście, **1** powtarza się na co trzeciej pozycji – **011001101**. Okazuje się, że każdy spośród 512 możliwych ciągów binarnych o długości 9 zawiera podciąg arytmetyczny o długości 3. Jest to szczególny przypadek tzw. twierdzenia van der Waerdena.

Można by sądzić, że ten wynik jest jedynie artefaktem zbyt sztywnej struktury ciągów binarnych. Bazy danych to zwykle wielowymiarowe tabele, w których szukamy korelacji pomiędzy kilkulementowymi zbiorami. Klasycznym, wyżej wymiarowym zagadnieniem jest tzw. problem towarzystwa (ang. *party problem*). Załóżmy, że na przyjęciu spotyka się sześć osób. Dla każdej pary możemy określić, czy dane osoby się znają,

czy też nie. Powstaje pytanie, czy na każdej sześciuosobowej imprezie możemy znaleźć troje ludzi, którzy znają się między sobą, albo którzy są sobie wzajemnie obcy? Odpowiedź jest pozytywna. Można to szybko rozstrzygnąć przy pomocy teorii grafów (zob. ramkę na poprzedniej stronie). Rozwiązanie problemu towarzystwa jest przykładem ogólnego twierdzenia brytyjskiego matematyka, filozofa i ekonomisty Franka Plumptona Ramseya. Korzystając z tego twierdzenia, możemy znaleźć m.in. odpowiedź na pytanie, jak wielka musi być liczba uczestników dowolnego spotkania, by zawsze znalazła się na nim określona grupa znających się lub obcych sobie ludzi (np. jeśli zależy nam na zebraniu czterech znomych lub obcych, trzeba zaprosić przynajmniej 18 gości).

Metoda wyłuskiwania

Wspomniane wyżej ściśle twierdzenia w zaskakujący sposób odwracają logikę poszukiwania prawidłowości. Ma-

tematyka głosi: powiedz mi, jaki wzorec chciałbyś dostać, a powiem ci, jak duża musi być twoja baza danych, żebyś znalazł go tam z pewnością! Konfuzję wzmaga fakt, że nie wiemy, jak konkretnie szukana prawidłowość się zrealizuje, więc może nam się wydać zaskakujące, kiedy już ją zobaczymy.

Można zatem wysunąć następującą tezę: przytłaczająca większość prawidłowości, które „odkrywamy” w wielkich bazach danych, jest pozorna lub wręcz fałszywa. To znaczy – są one związane tylko i wyłącznie z wielkością próbki i nie mówią nam nic o zjawiskach, których dane dotyczą. Owe miraża biorą się z samych wartości liczbowych, zupełnie ignorując etykiety. Dlatego nie ma znaczenia, czy baza danych dotyczy fizyki, biologii, psychologii czy historii.

Algorytmy autorstwa specjalistów od *data science* mogą być bardzo pomocne (a często są wręcz konieczne!) podczas analizy danych eksperymentalnych. Jednak opieranie się na samych danych jest równie groźne jak bezkrytyczne zawieszenie czystej teorii. Dzięki wielu wiekom interakcji zarówno matematyka, jak i filozofia nauki oferują nam szereg narzędzi i kryteriów pozwalających wyłuskać te wzorce, które rzeczywiście odzwierciedlają jakiś aspekt otaczającego nas świata.

Parafrazując słynny passus z „Rejsu” w reżyserii Marka Piwowoskiego, można zapytać: świetnie, ale jaką metodą wybierzemy metodę wyłuskiwania? Na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi, a o tym, że być jej nie może, również mówi nam matematyka, a dokładnie tzw. twierdzenia limitacyjne w systemach formalnych. Ale to już temat na odrębne rozważania.

© MICHAŁ ECKSTEIN

TP DRODZY CZYTELNICY, W NAJBLIŻSZYM NUMERZE ZNAJDZIECIE SPECJALNY DODATEK

Nagroda Literacka GDYNIA

a w nim zapowiedź najważniejszych wydarzeń festiwalowych oraz rozmowę o kondycji współczesnej polskiej literatury z jurorami, którzy dołączyli do kapituły Nagrody w tym roku: Elizą Kącką, Adamem Lipszycem i Tomaszem Swobodą.

Zapraszamy do lektury!



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KONIEC WĘDRÓWKI

AGNIESZKA PAJĄCZKOWSKA, FOTOGRAFKA:

Nigdzie mi się nie spieszyło, nie miałam problemu z tym, żeby przez półtorej godziny rozmawiać o wnukach czy operacji kolana, skrobiąc ziemniaki. To stało się ważniejsze niż zdjęcia.

ADAM ROBIŃSKI: Wpuściłabyś kogoś obcego z aparatem fotograficznym na szyi do twojego mieszkania, gdyby niezapowiedzianie zapukał do drzwi?

AGNIESZKA PAJĄCZKOWSKA: Raczej nie. Szczególnie jeśli byłabym w domu sama. Ale pukanie nieznajomej osoby do drzwi mieszkania w miejskim bloku to dość podejrzana sprawa.

Jeżdżąc starym volkswagenem z Wędrownym Zakładem Fotograficznym po wsiach ściany wschodniej i Dolnego Śląska, zaczęłaś obcych. Jaka była twoja metoda pracy?

Te spotkania odbywały się w przestrzeni publicznej, wspólnej. Przyjazd obcego auta do wsi powoduje, że ludzie podnoszą wzrok i patrzą, kto jedzie. Szybko byłam identyfikowana jako nietutejsza. Mając świadomość, że jestem w tych miejscach gościem, chciałam się przedstawić – starałam się skrzyżować wzrok z pierwszą napotkaną osobą. Kimś, kto szedł drogą, stał przy płocie, pracował w ogrodzie. Przedstawiałam się, mówiłam, że prowadzę Wędrowny Zakład Fotograficzny i że mogę wykonać tej osobie zdjęcie portretowe, a potem wydrukować je na miejscu i wymienić na jedzenie lub

opowieści. To był zwykle początek dłuższej rozmowy.

Zofia Rydet wiele lat temu pukała do drzwi, podawała rękę, szybko rozglądała się po wnętrzu i komplementowała coś z jego wystroju.

Dzięki temu nawiązywała nić porozumienia z gospodarzem i mogła mu zrobić zdjęcie. Metoda pracy Rydet dotyczyła wsi sprzed prawie 40 lat. Choć sama była miastowa, wchodziła przez otwarte drzwi, czasem nawet bez pukania – bo tak się kiedyś wchodziło do domów na wsi.

Twoim celem było wejście do cudzego domu?

Czasami tak się to kończyło, ale kompletnie mi na tym nie zależało. Celem Zofii Rydet było zrobienie zdjęcia do wielkiego projektu – „Zapisu socjologicznego”. Kiedy niedawno pracowaliśmy w Fundacji im. Zofii Rydet, udało nam się wydedukować, że w niektórych domach spędzała raptem kilka minut, robiąc w tym czasie kilkanaście zdjęć. Dla mnie fotografia była tylko pretekstem, żeby się przedstawić, porozmawiać i poznać. Zresztą ludzie często wcale nie chcieli tych zdjęć. Mówili, że są starzy, brzydacy, że „klisza pęknie”, że fotografować trzeba młodych, albo inaczej – że mają już zdjęcia, więc nowych nie po-



KAMILA SZUBA / MAT. PRASOWE

trzebują. A mnie to wcale nie zniechęcało, bo rozmowa już się zaczęła. Teraz mogłam zapytać: „No dobrze, a jak się tutaj żyje?”. Albo: „Czy pani jest stąd?”. Albo: „A był tu kiedyś taki objazdowy fotograf?”. I zdarzało się, że łądownaliśmy w kuchni przy kawie nad stosem starych zdjęć, czasem wykonanych przez wędrownych lub małomiasteczkowych fotografów, czasem przez członków rodziny, rzadziej – samych gospodarzy. Ich opowieści krążyły wokół tych fotografii.

W książce, która jest niejako biografią twojego zakładu, piszesz, że Rydet Cię wkurzała. Więc pewnie nie czujesz się jej spadkobierczynią?

Faktycznie, gdy byłam na początku studiów, irytowały mnie relacje o sposobie



Agnieszka Pajęzkowska, Dolny Śląsk, 2016 r.

jej pracy. Miałam w sobie neoficką złość na to, że z uprzywilejowanej pozycji wykonywała i wykorzystywała wizerunki osób, które nie były świadome tego, że będą później prezentowane w miejscach, do których nie mają dostępu.

Potem mi przeszło, bo zrozumiałam, że realizowała ten projekt z pozycji marginesu. Starsza, samotna kobieta, działająca poza systemem dofinansowań, robiąca konsekwentnie i autorsko to, co w ówczesnej fotografii wcale nie należało do głównego nurtu. I trudno od niej wymagać, aby pod koniec lat 70. miała stosować współczesne standardy prawne dotyczące upowszechniania wizerunku i refleksję o ambiwalentnym charakterze fotografii.

Bliskie mi jest to, że Rydet fotografowała świat, który uważała za znikający.

Tyle że zawsze jakiś świat znika. W każdym momencie coś się kończy, a fotografia pozwala to zobaczyć.

Piszesz, że jednym z bodźców, które pchnęły Cię do założenia Zakładu, był los pewnej chaty na Podlasiu, która z dnia na dzień zniknęła. Została rozebrana i spalona. Ale równocześnie wydaje się, że nie chodziło Ci o dokumentowanie czegokolwiek.

Chciałam doświadczyć takiej wsi, o której teraz się mówi właśnie, że „już znika” – niegdyś pełnej małych przydomowych gospodarstw rolnych, które potrafiły wyżywić rodzinę. Pojechałam pod wschodnią granicę, bo tam część z nich właśnie obumiera, zarasta. Bywa, że są zamieszkałe przez pojedyncze osoby dożywające tam swojej starości. Młodzi uciekli

do miast. Jeśli wracają, to tylko po to, by urządzać sobie domy letniskowe w chatkach po dziadkach.

Postawiłaś się w sytuacji rzemieślniczki, która oferuje usługę. Wielu fotografów obraziłoby się pewnie za takie przedstawienie sprawy.

Pewnie masz na myśli fotografów, którzy definiują się jako artyści lub dokumentaliści. A fotografia od początku miała co najmniej trzy ścieżki. Z jednej strony aspirowała do bycia bliską malarstwu, bo ono miało status sztuki. Stąd dawny pomysł na techniki szlachetne i na to, aby fotografie były niepowtarzalne. Nawet teraz fotografie artystyczne mają krótkie edycje. Drugą ścieżką myślenia o fotografii był zachwyt nad chemiczno-fizycznym procesem, który →



AGNIESZKA PAJĄCZKOWSKA X2

→ dawał poczucie, że fotografia może przedstawiać obiektywny obraz rzeczywistości – być dowodem, informacją.

Zdjęcie znaczące więcej niż tysiąc słów.

Jest jeszcze trzecia ścieżka, marginalizowana przez instytucje i badaczy, dla mnie – najbardziej interesująca. Mam o tym nienapisany doktorat. Fotografia niemal od samego początku używana była przez zwykłych ludzi. Obwoźna, jarmarczna, użytkowa, robiona w zakładach, które świadczyły usługi dla ludności. Za stosunkowo nieduże pieniądze można było dostać swój wizerunek. Dla przyjemności własnej, ale też po to, by go komuś pokazać, podarować, z myślą o kimś przechować. Zdjęcia to prywatne przedmioty użytkowe, które się przechowuje, gromadzi, kupuje, ofiarowuje, pali, drze, zakopuje albo chowa do portfela. To właśnie ta domowa, prywatna fotografia jest najbardziej powszechna. Każdy – prawie każdy – posiada jakieś rodzinne zdjęcia. Prowadząc Wędrowny Zakład, proponowałam ten rodzaj fotografii, który jest ludziom znany i bliski, bo jest użytkowy.

Nie miałaś żadnych ciągót, żeby swoich modeli reżyserować?

Sami się reżyserowali! Pani Helena, którą opisuję na początku książki, poprosiła o zdjęcie, które mogłoby się nadać na jej grób. Przebrała się, uczesała, ustawiła tło z roślin, usiadła na taborecie, zrobiła minę taką, jaką uznała za stosowną. Sama bym tego lepiej nie wymyśliła. Jasne, czasem ktoś mnie pytał, gdzie ma stanąć, co zrobić z rękami. Ale nie mnie oceniać, co jest ładne, a co nie. Chodziło o to, aby to oni byli zadowoleni z efektu. Tak rozumiem swoją rolę rzemieślniczki. Zdjęcie ma być ostre, dobrze naświetlone. Mam dopilnować, żeby fotografowana osoba nie miała zamkniętych oczu i odpowiednio ustawiła brodę.

Technicznie poprawne.

I tyle?

Ciągot artystycznych nie miałam żadnych, także dlatego że na początku zdecydowałam się nigdy nie publikować tych zdjęć. One były na wymianę – ktoś dostał zdjęcie na wyłączny użytek, ja dostałam jajka i opowieść przy okazji. To mnie zwolniło z jakichkolwiek ambicji, również reporterskich czy dokumentalnych.

Mówisz „zdjęcie jako przedmiot”, ale przecież w świecie fotografii cyfrowej to chyba przeżytek.

Prowadząc Wędrowny Zakład, często umyślnie wybierałam na swoich rozmówców osoby starsze, których domy i wygląd zewnętrzny mówiły o tym, że są ubogie. Chciałam szukać osób, którym zdjęcie może być faktycznie potrzebne. Ale to jest wąska grupa – sposób, w jaki te osoby myślą i używają fotografii, na pewno nie jest reprezentatywny. Często słyszałam, że: „Kilka lat temu na weselu wnuczki ktoś zrobił mi zdjęcie, ale nie mogę go zobaczyć, bo młodzi to teraz mają w telefonach”. Być może dzięki technologii cyfrowej fotografia stała się jeszcze bardziej powszechna, masowa i egalitarna, ale jest grupa osób, która tego nie doświadczyła i już nie doświadczy.

Tak, dla nich fotografia pozostanie przedmiotem. Pewnie dlatego moja oferta drukowania zdjęcia na miejscu i dawania go do ręki miała sens i powodzenie. Miałam w samochodzie tanią drukarkę termo-sublacyjną. Mogłam ją podłączyć do gniazda zapalniczkowego w aucie. Pozwalała mi zamienić w kilka chwil cyfrowe zdjęcie na papierowe.

Ludziom zostawiałaś zdjęcia, a co zostawiłaś sobie?

Doświadczyłam, że nie ma jednego Wschodu, nie ma jednej Polski B, że ta na



Propozycja wykonania portretu jest okazją do rozmowy o starych zdjęciach i ich historiach, granica z Rosją (Mazury), lipiec 2014 r.

Suwalszczyźnie jest naprawdę całkiem inna niż ta na Podkarpaciu, a granica z Ukrainą ma inne historie niż ta z Białorusią. To radykalne doświadczenie różnorodności – w tej nieodległej przecież podróży wzdłuż granicy – było znaczące. Jestem też mądrzejsza o praktyczną lekcję współczesnej historii Polski. Można czytać o powojennym kształtowaniu granic czy przesiedleniach, a można też rozmawiać z osobami, których one dotknęły. Czerpać z ich pamięci.

Pamięci, która bywa zaskakująco dobra?

Tak, choć różni się od naukowej historii. Choćby dlatego, że pamięci jest wiele. Pamięć się myli, zmienia, wypacza, przekształca, koloryzuje, miesza. Jest nieweryfikowalna, szalenie subiektywna, żyje i zmienia się wraz z osobą, do której należy. Byłam przejazdem, więc zbierałam jej urywki. To, że współczesna Polska jest jednak nowym tworem, a zaskakująco wielu ludzi nie mieszka tam, gdzie wcześniej żyli ich rodzice czy dziadkowie, jest niby oczywiste, ale dla mnie jako doświadczającej z urodzenia było ważnym doświadczeniem. To zresztą faktycznie jest ostatni moment, aby porozmawiać z kimś, kto urodził się za sanacji, kto pa-

mięta wbijanie słupków granicznych czy jak go w 1947 roku przesiedlali. Jadąc tuż przy granicy przez Lubelszczyznę, słyszysz, że tu ludzie są zza Bugu, a Ukraińców wywieźli. Potem na Podlasiu, że ludzie są „tutejsi”, a na Warmii – że tu nikt nie jest stąd. Spotykasz tam Ukraińca znad Bugu, a potem Łemka na Dolnym Śląsku. Niby to wszystko wiemy, ale bycie w drodze pozwala tego doświadczyć.

Większość ludzi nie miała problemu, żeby się przed Tobą otworzyć? Ktoś ci nawet powiedział, że prowadzisz Wędrowny Zakład psychologiczny, a nie fotograficzny.

Myślę, że ten osobliwy obraz: żółty rozklekotany samochód, trochę śmieszny, a trochę intrygujący, z drobną kobietą w środku powodował, że ludzie się mnie nie bali, byli ciekawi. Ale ta otwartość może być też podobna do „efektu przedziału kolejowego”. Rozmowy niezobowiązującej, ale ważnej. Ktoś nieznajomy jest tu chwilowo, ale ma dla ciebie czas i okazuje szczere zainteresowanie. Zadaje pytania, których bliscy czy sąsiedzi już nie zadają, bo to są pytania o przeszłość lub codzienność. Być może wystarczy to, że nigdzie się nie spieszy? Osoby mieszkające w przygranicznych wioskach, da-

leko od miast, od ośrodków kultury, od rodziny, miewają mało okazji do rozmowy. Przyjeżdża listonosz, straż graniczna, objazdowy sklep. Ale ile można gadać z listonoszem? Mnie się nigdzie nie spieszyło, nie miałam problemu z tym, żeby przez półtorej godziny rozmawiać o wnukach czy operacji kolana, stojąc przy bramie albo skrobiąc ziemniaki. To czasami było potrzebne, aby pojawiły się sytuacje lub tematy, które interesowały mnie bardziej.

Nie spieszyłeś się, bo nikt Cię potem z tego nie rozliczał?

Nie planowałam wydania zapisu Wędrownego Zakładu Fotograficznego jako książki. Jeździłam w wakacje, bez konkretnego tematu, bez deadline'ów, umów i dofinansowań. Gdy ktoś realizuje konkretny projekt, być może musi swoich rozmówców cisnąć. Ja mogłam sobie pozwolić na niespieszne i niezobowiązujące bycie razem, z którego czasami coś się wyłaniało. Zostawał mi potem w pamięci obrazek, dialog, krótka historia. Z czasem – mam nadzieję, że to będzie dla czytelnika klarowne – pojawiły się tematy, które mnie szczególnie interesowały. Na Warmii, Mazurach, Dolnym Śląsku temat przesiedleń i poniemieckiej →

→ obecności zaczął w moich obserwacjach i pytaniach regularnie powracać.

Czyli Ty, fotograficzka, nauczyłaś się też tego, że fotografia jest nieważna?

Powiedzieli mi to moi rozmówcy. Ponad połowa osób, które zaczęłam, po prostu nie była zainteresowana zdjęciami. Po co mi zdjęcie, skoro mam już jedno od ślubu? Pewna kobieta poszła do fotografa w momencie, gdy urodziła już wszystkie dzieci, ale jeszcze nie zdążyła się zestarzeć. Kolejnych już nie chciała, bo i po co? Zatrzymała na zdjęciu ten konkretny, wybrany moment w życiu, który uznała za najpełniejszy.

Chciała się zapamiętać taką, a nie inną.

Własna starość jest chyba tym czymś, czego ludzie na zdjęciach nie chcą widzieć, bo – to cytuję – „mają ją na co dzień w lustrze”. Gdyby ci ludzie potrzebowali zdjęć, toby je sobie zrobili. Poprosiliby wnuka o odbitkę. Sąsiada o podwózkę do zakładu fotograficznego w mieście. Zresztą instytucja wędrownego fotografa też do końca nie umarła. Czasami przy okazji świąt religijnych czy peregrinacji świętych obrazów zawodowy fotograf robi zdjęcia parafianom, a potem w kolejną niedzielę wystawia przed kościołem tablicę, z której można wybrać coś dla siebie i zamówić odbitkę.

Drukujesz zdjęcia, które robisz dla siebie?



PIOTR SPIGIEL / MAT. PRASOWE

AGNIESZKA PAJĄCZKOWSKA (ur. 1986) jest fotograficzką, animatorką kultury i kuratorką. W latach 2012-16 prowadziła Wędrowny Zakład Fotograficzny. Właśnie nakładem wydawnictwa Czarne ukazała się jej książka pod takim tytułem.

Rzadko. Nie jest tak, że jako autorka Wędrownego Zakładu Fotograficznego mam swoje życie wydrukowane w albumach ustawionych na regale. Mam kilka zdjęć na ścianie, a na dysku folder, do którego wrzucam zdjęcia naprawdę ważne. Wiem też, że kiedy następnym razem będę jechała do rodziny w Warszawie, to uruchomię drukarkę, tę samą, której używałam w trasie, i wydrukuję zdjęcia mojej czteromiesięcznej córki, bo upominają się o to jej dziadkowie i pradziadkowie: „Aga, my nie mamy zdjęcia Heleny!”. Mają – na telefonach, ale nie na ścianie.

Na Wędrowny Zakład Fotograficzny składały się trzy elementy. Zakład,

czyli Ty, Fotograficzny, czyli aparat i drukarka. Został nam jeszcze Wędrowny, czyli samochód. Jak się ma twój volkswagen?

Kiepsko. Ma już 38 lat, popsuł się we wrześniu ubiegłego roku na trasie szybkiego ruchu między Wrocławiem a Warszawą, pierwszy raz zabrała mnie wtedy laweta. Ale wokół volkswagenów T3 wytworzyła się w Polsce świetna społeczność ludzi, którzy się na nich znają i sami je naprawiają. Często korzystałam z ich pomocy. Więc dziesięć miesięcy po tamtej awarii moje auto znów jest sprawne. Zależało mi na tym, bo chcę pojechać na festiwal literacki do Miedzianki i – poza tym drugie – dlatego, że chciałabym wrócić do kilku z portretowanych osób, kiedy książka się już ukaze. Dzięki nim powstała, chciałabym, aby ją dostali. Samochód ma więc przed sobą jeszcze jedną trasę. Potem pewnie sprzedam, bo koszty jego utrzymania mnie przerastają.

Wyobrażam sobie, że jego zdjęcie na pewno trafi na twoją ścianę.

Wisi od dawna. To zdjęcie z pierwszego wyjazdu w 2012 roku. Białe-żółte auto przed białą-niebieską cerkwią. Uroczy obrazek. Wydawało mi się wtedy jeszcze, że ta podróż to będą beztrudne wakacje. Szybko się okazało, że to nie do końca tak.

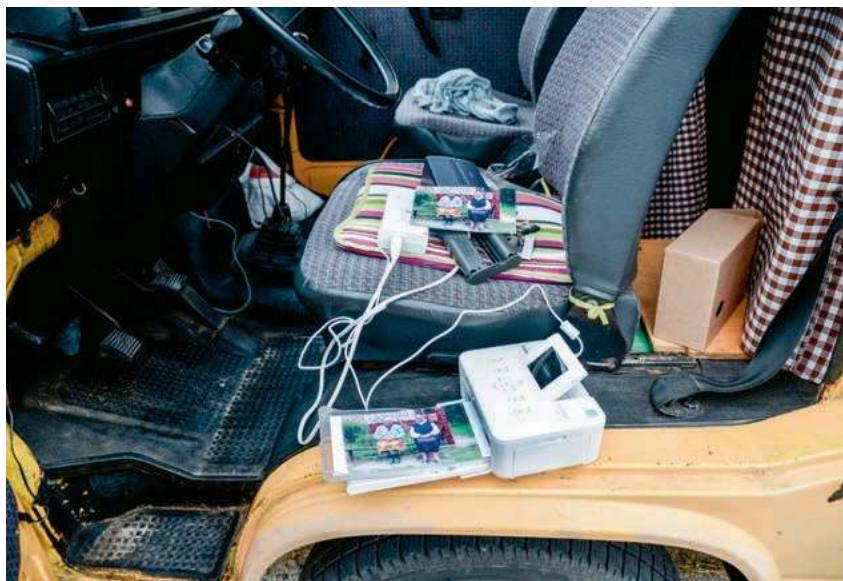
Czyli Zakład zamykasz?

Zakład już jest zamknięty od 2016 roku i nie wiem, czy będę do tej formuły wracała. Z czasem łapałam się na tym, że coraz trudniejsze jest dla mnie to przyjeżdżanie i odjeżdżanie, prześlizgiwanie się po miejscach, sytuacjach i historiach. Poznaję kogoś, rozmawiamy, śpię na jego podwórku, rano odjeżdżam – i po kilku kilometrach miałam ochotę zawracać. Zostać dłużej, dopytać, coś zweryfikować. Zaczęła mi doskwierać ta wędrowność, która była przecież sensem projektu.

Wędrowiec jako przechodzień, ten, który może tylko liźnąć temat. Odwieczny problem literatury drogi.

Bycie w drodze bez wyraźnego celu jest dobre i potrzebne do pewnego momentu. Ma wielką wartość, dopóki nie zaczyna doskwierać niedosyt wynikający z powierzchowności spotkań, z ich przypadkowości i nietrwałości. Dobrze jest doświadczyć, jak wędrowanie doprowadza do miejsca, w którym ma się ochotę zostać na dłużej. © Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

Dzięki drukarce autorka oferuje wykonanie zdjęcia na miejscu, Podlasie, sierpień 2012 r.



AGNIESZKA PAJĄCZKOWSKA



RAFAŁ MASŁOW

Jakub Józef Orliński, Teatr w Łazienkach, Warszawa, 2014 r.

Głos pokolenia Y

DOROTA KOZIŃSKA

Gdyby wielbiciele Jakuba Józefa Orlińskiego nie mieli możliwości dawania upustu emocjom w internetowych komentarzach, z pewnością mdleliby i wypadali z łóż. Nie ma na niego mocnych.

SZCZYT POPULARNOŚCI WŁOSKIEJ OPERA *Seria*, przypadający mniej więcej na drugą ćwierć XVIII wieku, zbiegł się z narodzinami fenomenu pierwszych wokalnych celebrytów w dziejach nowoczesnej Europy. Ubóstwiani przez tłumy kastraci troskliwie pielęgowali niepokojącą tożsamość stworzeń pięknych jak kobieta, silnych jak mężczyzna i nie-

winnych jak dziecko. Przede wszystkim zaś dysponowali potężnym głosem, ćwiczoną latami, o brzmieniu trudnym dziś do wyobrażenia, generowanym przez zatrzymane w rozwoju więzadła krtaniowe i rezonującym w nieproporcjonalnie rozrośniętym ciele.

Na dźwięk ich niebiańskich tryli i apoggiatur kobiety mdlały i wypadały

z łóż. W kastratach durzyli się też mężczyźni, snując perwersyjne fantazje o miłosnych przygodach z istotami o skórze gładkiej jak jedwab, obdarzonymi niezwykłą ponoć czułością i wrażliwością na dotyk. Rzezańcy cieszyli się sławą bezpiecznych kochanków, nadrabiających braki anatomii iście operową siłą namiętności. Giovanni Francesco Grossi, zwany Siface, uwiódł żonę pewnego szlachcica z Modeny i nie zerwał z nią nawet wówczas, kiedy kobietę wysłano do klasztoru. Skończył z gardłem poderżniętym przez skrytobójców, rzucony do rzeki twarzą w dół. W swoim czasie sam Casanova smalił cholewki do nieziemsko pięknego śpiewaka, który – ku jego rozczarowaniu – okazał się przebraną za kastrata sopranistką.

Przywracanie głosu

Ostatni kastrat, a zarazem jedyny, po którym zostały jakiekolwiek nagrania – śpiewak Kaplicy Sykstyńskiej Alessandro Moreschi – zmarł w 1922 r. Był epigonem pod każdym względem: oddalonym o przeszło stulecie od przerwanej tradycji *opera seria*, niezbyt muzycznym, prowadzącym swój niepiękny głos w modnej wówczas manierze werystycznej. Wnioskować z jego interpretacji o estetyce śpiewu dawnych kastratów to jak rekonstruować głos Carusa na podstawie filmów współczesnego youtubera, który lubi sobie pośpiewać przy goleniu, choć słoń mu na ucho nadepnął.

Śmierć Moreschiego zbiegła się w czasie z odrodzeniem zainteresowania operą barokową w Europie – tyle że partie pisane przez Händla, Scarlattiego i Glucka z myślą o wielkich kastratach cięto na kawałki, czyszczono z karkołomnych ozdobników i transponowano o oktawę w dół, żeby powierzyć je głosom męskim. W rolach barokowych *primi uomini* zaczęły też występować kobiety, przeważnie kontraltistki, obdarzone rzadko dziś spotykanym typem głosu o niezmiernie szerokiej skali i głębokim, aksamitnym brzmieniu w dolnym rejestrze. Legenda odżyła w „androgynicznym” śpiewie Clary Butt, później zaś Kathleen Ferrier. Operowa „trzecia płeć” zyskała oblicze kobiety dysponującej zmysłowym, bogatym harmonicznie, a zarazem niepokojącym męskim w barwie instrumentem wokalnym.

A potem role się odwróciły. Wraz z początkiem wykonawstwa „prawdziwie” →

→ historycznego do głosu doszli mężczyźni brzmiący jak kobiety. Za ojca chrzestnego współczesnych kontratenorów uchodzi Alfred Deller (1912-79) – śpiewak odkryty przez Michaela Tippetta, wielbiony przez Benjaminą Brittena, który w swoim „Śnie nocy letniej” powierzył mu partię króla wrózek Oberona. Deller był typowym falsecistą, śpiewającym na niedomkniętych, silnie napiętych, drgających na skróconym odcinku więzadłach krtaniowych. Jego nosowy, nieduży głos zdawał się naprawdę nie z tego świata – zwłaszcza w eterycznym *piano*, którym Deller operował zaiste po mistrzowsku, kształtując frazę na przekór „romantycznym” przyzwyczajeniom ówczesnych słuchaczy.

Tą samą drogą poszli jego bezpośredni i późniejsi następcy, m.in. James Bowman, Michael Chance, Andreas Scholl i Philippe Jaroussky, z biegiem lat doskonaliąc technikę śpiewu falsetowego, który stawał się coraz płynniejszy, bardziej uwodzicielski w brzmieniu i szerszy w wolumenie. Nowy typ głosu, nazwany umownie kontratenorem, stał się symbolem stylowości w interpretacjach muzyki dawnych epok. Oblicze legendarnego kastrata zaczęło niewieścić, jego spojrzenie miękło, jego śpiew nieuchronnie tracił męski rys bohaterstwa.

A przecież Deller miał swój odpowiednik w Stanach Zjednoczonych – w osobie nieco młodszego, urodzonego w 1928 r. Russella Oberlina, zdaniem muzykologów dysponującego kontratenorem naturalnym, pięknie rozwiniętym także w dolnym, piersiowym rejestrze, w którym brzmiał jak prawdziwy tenor albo... dobrze wyszkolony żeński kontralt. Jego wspaniała sztuka na długo popadła w zapomnienie. Powoli zaczęła odradzać się w śpiewie kontratenorów młodszego pokolenia – po słusznych skądinąd protestach znawców, że „anielski” falset w niczym nie przypomina śpiewu dawnych kastratów, których niepokojąco żeński głos rozbrzmiewał w piersiach potężniejszych niż u niejednego mężczyzny, wsparty oddechem zdolnym utrzymać pojedynczy dźwięk przez minutę.

Materiał na bożyszcze

Oberlin zmarł w 2016 r. Kto wierzy w wędrowkę dusz, ten powinien bacznie obserwować karierę Jakuba Józefa Orlińskiego, który w tym samym 2016 r. zdobył II nagrodę na warszawskim Konkursie im. Stanisława Moniuszki, po czym

Orliński wyniósł z domu nie tylko obycie i wiarę w siebie, ale też **umiejętność całkowitego skupienia** na upatrzonym celu.

zwyciężył w wielkim finale Metropolitan Opera National Council Auditions w Nowym Jorku.

Orliński ma niespełna 30 lat – systematyczną naukę śpiewu zaczął dopiero na studiach w warszawskim Uniwersytecie Muzycznym, gdzie trafił do klasy Anny Radziejewskiej. Przedtem, od dziewiętego roku życia, był członkiem amatorskiego chóru Gregorianum, prowadzonego przez Berenikę Jozajtis. Wkrótce po mutacji zaczął sam eksperymentować z rejestrem falsetowym. Kiedy ktoś mu powiedział, że śpiewa kontratenorem, obraził się. Jako nastolatek żył w błogiej nieświadomości, jak znaczącą rolę odgrywa ten „niemęski” typ głosu w praktyce wykonawstwa historycznego.

Szczerze mówiąc, niespecjalnie interesował się muzyką poważną. Był typowym dzieckiem artystycznej klasy średniej – zadbanym, kochanym, korzystającym z szerokiego marginesu wolności. Zamiast ćwiczyć gamy w szkole muzycznej, wolał szaleć na deskorolce i być może zostałby zawodowym skateboardzistą, gdyby jego młodzieńcze plany nie pokrzyżował wypadek. Do deski nie wrócił, wciąż jednak nie stronił od aktywności fizycznej.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy złożył papiery na wydziale wokalnym, zaczął trenować *breakdance*. Taniec do dziś traktuje z pasją, ale i pokorą – w pełni świadom, że zadebiutował w tym fachu zbyt późno, żeby liczyć na profesjonalną karierę. W pewnej chwili zdał też sobie sprawę, że towarzyszące intensywnym treningom napięcia mięśniowe utrudniają „otwarcie” głosu i pracę nad jego indywidualnym brzmieniem. Mimo to dba o kondycję – niezbędną każdemu wokaliście, który wiąże swą przyszłość z nieubłaganiem światem operowego show-biznesu.

A do tego wymagań wydaje się wręcz stworzony: przystojny, wygadany, obdarzony ujmującą osobowością, płyn-



nie władający angielskim. Chodzący ideał, wymarzone tworzywo dla współczesnych reżyserów i dyrektorów oper, którzy wolą mieć na scenie artystę, który w razie czego „dowygłąda”, jeśli nie zdoła dośpiewać? Podnosiły się już takie głosy, niekiedy uzasadnione, czasem nawet życzliwe.

Nie da się bowiem ukryć, że Orliński nie zdążył w pełni okrzepnąć na studiach w Warszawie. Ale nie spoczął na laurach – nowojorski sukces w dużej mierze zawdzięcza kanadyjskiej sopranistce Edith Wiens, która pracowała z nim w Juilliard School of Music. Jego wirtuozowska, lecz wciąż jeszcze dość mechaniczna koloratura zaczęła wreszcie płynąć zgodnie z rytmem frazy. Piękny, soczysty alt „zmężniał”, nabrał wolumenu i pięknie się wyrównał w obrębie całej skali. Wie-dza o ornamentyce barokowej znalazła ujście w swobodnym, odrobinę jazzującym stylu improwizacji. Orliński wyniósł z domu nie tylko obycie i wiarę w siebie, ale też umiejętność całkowitego skupienia na upatrzonym celu. Postanowił zostać bożyszcem współczesnych tłumów



Jakub Józef Orliński i pianista Alphonse Cémin w arii „Vedro con mio diletto”, nagranie dla kanału France Musique, 2017 r.

– bez kompleksów, bez rozpychania się łokciami, z wdziękiem i za cenę mrówczej pracy. Na razie idzie mu świetnie.

Znalazł doskonałego akompaniatora: Michała Biela, kolegę i współlokatora z czasu studiów w Juilliard School. Trafił pod skrzydła jednego z najbardziej rzutkich amerykańskich agentów, który ma w swojej „stajni” m.in. Renée Fleming, Andreasa Scholla i Stuarta Skeltona. Mądrze dobiera repertuar, starając się nabywać doświadczenia na scenach najrozmaitszego kalibru, w rolach pierwszo- i drugoplanowych. Ostatnio z marszu wszedł w tytułową partię Rinalda w operze Händla na festiwalu w Glyndebourne, gdzie obsadzono go pierwotnie w mniejszej partii Eustazia – miał w zanadrzu obydwie, Rinalda zaśpiewał dwa lata wcześniej we Frankfurcie. Bez trudu nakłania reżyserów do wykorzystywania w pełni jego niepospolitych możliwości fizycznych.

Na pierwszą płytę solową „Anima Sacra” dla prestiżowej wytwórni Erato, poświęconą przede wszystkim twórczości kompozytorów szkoły neapolitańskiej,

wybrał aż osiem nienagrywanych wcześniej arii. W studiu towarzyszył mu zespół Il Pomo d'Oro, który przyczynił się do sukcesów fonograficznych innych kontratenorowych gwiazd, m.in. Maksa Emanuela Cenčicia.

Wszyscy mdleją

Orliński umie też jednak docierać „pod strzechy”. Pozuje do zdjęć z zacięciem profesjonalnego modela, którym zresztą od czasu do czasu bywa (wystąpił m.in. w reklamach Mercedesa, Samsunga i streetwearowej marki Cropp). Na Instagramie ma przeszło 40 tys. „followersów”, jego *fanpage* na Facebooku obserwuje prawie 30 tys. osób. Film z arią „Vedro con mio diletto” z opery „Il Giustino” Vivaldiego zrobił absolutną furorę na kanale France Musique na YouTube – nie tyle ze względu na wykonanie (świetne), ile na fakt, że Orliński wystąpił przed słuchaczami programu „Carrefour de Lo-déon” niedogolony, w seksownie rozchełstanej koszuli w kratkę, modnych szortach i przybrudzonych adidasach. A jego pianista Alphonse Cémin – w klapkach.

Ponoć dlatego, że było gorąco i obaj nie spodziewali się transmisji wideo. *Se non è vero, è ben trovato*.

Miesiąc temu do sieci trafił krótkometrażowy dokument „Inner Voice”, w którym Orliński przedstawia pracę kontratenora od kulis – zaskakująco podobnych do kulis występu gwiazdy pop bądź idola miłośników b-boyingu. Rozczulił wszystkich, z niżej podpisaną włącznie, opowiadając o swej słabości do złotego sera i wybitnym talencie do zmywania naczyń w telewizyjnej reklamowie tegorocznego Verbier Festival.

Gdyby wielbiciele Orlińskiego nie mieli możliwości dawania upustu emocjom w komentarzach, z pewnością mdleliby i wypadali z łóż. Ktoś oznajmia, że śpiewak jest uosobieniem greckiego ideału kalokagatii, czyli połączenia dobra i piękna. Ktoś nazywa go darem niebios. Kilkudziesięciu widzów filmu dla France Musique zaczyna swoje peany od słów: „wprawdzie nie jestem gejem”, wywołując lawinę złośliwych uwag innych fanów. Wytrawni krytycy zagraniczni starają się trzymać fason i piszą w protekcyjnym tonie, że przystojny milenials powinien jeszcze nad tym i owym popracować, ale na nic ich starania, bo ostatecznie i tak prześcigają się w zachwytach.

Bo prawda jest taka, że Orliński sam wie, nad czym powinien popracować, i z pewnością niezwłocznie to uczyni. Odnoszę wrażenie, że w świecie wokalistyki wreszcie pojawił się kontratenor, który nie próbuje nikomu wmawiać, że brzmi jak Farinelli, a technikę ma lepszą niż Senesino. Że z opery barokowej trzeba wyrugować wszystkie kobiety i zastąpić je męskimi altami i sopranami.

Jakub Józef Orliński jest rzeczywiście pięknym i dobrym człowiekiem, który chciałby podzielić się z każdym swoją radością śpiewania. Nie utożsamia się z wielkimi kastratami minionego czasu. Pragnie ich tylko zrozumieć.

© DOROTA KOZIŃSKA

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”. Słuchaj nas
w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy
Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM |
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
| Zakopane – 100,0 FM | Andrychów
– 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM |
www.radiokrakow.pl

Beznadzieja młodości

JAKUB MAJMUREK

Bohaterowie dorastający w nowej cyfrowej rzeczywistości są jak koloniści rzućni na obcy kontynent. Nagromadzona przez poprzednie pokolenia wiedza do niczego nie może się im już przydać.

SERIALE DLA I O MŁODZIEŻY STAJĄ SIĘ w ostatnich latach coraz bardziej odważne artystycznie i obyczajowo. „13 powodów” (Netflix), historia samobójstwa uczennicy z amerykańskiego ogólniaka, szczerze mówi nie tylko o piekle codziennej rówieśniczej przemocy, ale także o kulturze gwałtu i nierównościach, jakich młodzi Amerykanie doświadczają od najmłodszych lat. „Szkoła zabójców” (HBO) przenosi na telewizyjny ekran estetykę kontrkulturowego komiksu, łącząc przerysowaną, wysoce wystylizowaną przemoc i makabryczne poczucie humoru z drapieżnym obrazem Ameryki czasów Reagana. Brytyjsko-amerykańskie „Sex Education” (Netflix), najbardziej optymistyczna produkcja w tym zestawie, podejmuje ze swoimi młodymi bohaterami szczerą, odważną, pozbawioną tabu rozmowę o seksie.

Na tym tle pokazywana w HBO „Euforia” jest jednak produkcją wyjątkową. To serial o nastolatkach, przeznaczony raczej dla widzów dorosłych. Drastyczność poruszanych tematów – to, jak film mówi o przemocy, uzależnieniu, jak dosłownie pokazuje sceny seksu – wygląda odważnie nawet na tle dalekiej przeciwieństwa pruderii produkcji HBO.

Tubylcy sieci

Twórca serialu, Sam Levinson – syn kłasyka amerykańskiego kina niezależnego, Barry’ego – przygląda się stworzonym przez siebie postaciom z wielką empatią. Mimo że bohaterowie „Euforii” starszemu o prawie dwie dekady twórcy mogą się wydawać czymś w rodzaju obcego plemienia. Obserwujemy pokolenie urodzone na początku XXI wieku. Ludzi nie tylko niepamiętających przedcyfrowej epoki, ale także od najmłodszych lat dorastających w przestrzeni mediów społecznościowych, ze smartfonem w ręku.

Dla bohaterów „Euforii” przestrzeń wirtualna jest znacznie bardziej istotna

niż ta „realna”: to w tej pierwszej toczą się kluczowe społeczne interakcje, kształtują się społeczne hierarchie i zapadają wyroki opinii publicznej. Przedmiście, na którym rozgrywa się akcja serialu, jest całkowicie anonimowe, pozbawione jakichkolwiek specyficznych cech. Wiemy, że akcja rozgrywa się gdzieś w południowej Kalifornii, ale równie dobrze mogłaby w Teksasie, na Florydzie czy w Kentucky. Zewnętrzny świat przemyka bohaterom przed oczami, mijają go całkowicie obojętni, zapatrzeni w swoje ekrany, uciekający w różnego rodzaju wewnętrzne emigracje.

Dorośli – rodzice, szkoła, wszelkie inne instytucje mające pomagać, przeprowadzić i wspierać – nawet nie tyle nie rozumieją, co zwyczajnie nie dostrzegają świata, w jakim realnie funkcjonują ich dzieci. Mieszkający pod jednym dachem dzieci i rodzice żyją w równoległych wszechświatach. Młodzi bohaterowie, dorastający w nowej cyfrowej rzeczywistości, są jak koloniści rzućni na obcy kontynent, na którym nagromadzona przez poprzednie pokolenia wiedza do niczego nie może się przydać.

Śmierć amerykańskiego snu

To, jak współczesny internet, sieci społecznościowe, gospodarka zbudowana na algorytmach opartych na gromadzeniu, przetwarzaniu i sprzedawaniu wrażliwych danych, zmieniają społeczeństwo, interesowało Levinsona już w jego kinowym debiucie, „Assasination Nation” (2018). Tak jak w „Euforii”, tu również akcja rozgrywa się na anonimowym przedmiście, Salem. Życiem sennej społeczności wstrząsa akt cyberterrorystyczny: ktoś wykrada dane z maili, twardych dysków i różnych komunikatorów sporej grupy mieszkańców – i upublicznia je w sieci.

Na jaw wychodzą małżeńskie zdrady, wstydlive przyjemności, kompromi-

tujące poglądy, kryminalne, a przynajmniej społecznie nieakceptowane zachowania. Cała starannie utrzymywana fasada konwencjonalnej moralności sypie się w kilka godzin, więzy spajające podmiejską wspólnotę pękają w wybuchach absurdałnej przemocy. Wyciek prywatnych danych wyzwala najgorsze demony z amerykańskiej historii. Władzę nad Salem przejmują grupa uzbrojonych, wściekłych mężczyzn, szukających winnych, którzy odpowiadają za odebranie im społecznego szacunku, do niedawna traktowanego jak oczywistość.

Czy to jednak faktycznie internet i hakerzy zniszczyli amerykański sen w Salem? Levinson pokazuje, że od dawna pozostawał on głęboko zepsuty. Podobną diagnozę przedstawia w „Euforii”. Choć zamieszkiwane przez bohaterów przedmiście wydaje się zamożne, szczęśliwe, spocone silnymi więzami społecznymi, są to tylko pozory. Społeczność, tak jak cała amerykańska klasa średnia, rozjeżdża się pod wpływem ekonomicznych sił, nad którymi nikt wydaje się nie mieć kontroli. Za fasadami zadbanych domów toczy się codzienna, prowadzona w cichej desperacji walka z widmem deklasaacji – w wielu wypadkach skazana na klęskę.

W tej rzeczywistości dorośli są równie bezradni jak młodzi bohaterowie. Nie potrafią wejść w rolę autorytetów, pomóc swoim dzieciom w dokonywaniu kluczowych wyborów. Zwłaszcza postaci ojców wydają się kaleki, przetrącone. Jeden, jak pan Dulski ze sztuki Zapolskiej, praktycznie nie odzywa się do domowników, całymi dniami przesiadując z puszką piwa przed telewizorem. Drugi, pozornie człowiek sukcesu i wzorzec konserwatywnego ojca rodziny, jakby wyjęty z klipu wyborczego Republikanów, całe swoje życie buduje na kłamstwie, jednocześnie nie mogąc pomóc synowi borykającemu się z przemocą i toksyczną męskością. Trzeci stacza się w otchłań uzależnienia od twardych narkotyków.

Nie on jeden. W „Euforii”, chyba po raz pierwszy w telewizji, widzimy przekonujący obraz pustoszącej współczesne Stany epidemii uzależnienia od opiatów, zbiegającej zniwo także na pozornie zamożnych przedmiściach. Znieczulenie, obojętność, stupor, jakie dają opiaty, wydają się naturalną drogą ucieczki z wrogiego świata, wysyłającego zbyt wiele bodźców, by dało się je przetworzyć na trzeźwo.



Hunter Schafer jako Jules Vaughn i Zendaya jako Rue Bennett w serialu „Euphoria”

Pokolenie porno i #MeToo

W „Assasination Nation” gniew wkurzonych mężczyzn zwraca się głównie przeciw kobietom: powtarza się scenariusz polowania na czarownice z innego Salem, tego z XVII wieku. Cztery główne bohaterki, uczennice miejscowego liceum, odwołują jednak wejścia w rolę ofiar. Pograżający się z każdą kolejną sceną w surrealistycznym delirium film zmienia się w końcu w krwawą fantazję o kobiecej zemście, rodem z filmów Quentina Tarantino.

Także w „Euforii” problem relacji między płciami (nie tylko seksualnych) i przemocy, jaka się z nimi wiąże, stanowi jeden z głównych tematów. Dla młodych bohaterów podstawowym przekazywaniem, w jakim doświadczają swojej płciowości, wydaje się internetowa pornografia. Z niej czerpią wiedzę i wyobrażenia na temat seksu, ciała, kulturowych wzorców płci i intymności. Są nie tyle konsumentami, co prosumentami pornografii: w relacjach intymnych próbują inscenizować i rejestrować wywiedzione z porno fantazje, komunikując się wysyłając sobie własne półpornograficzne zdjęcia itd. Levinson patrzy na to wszystko bez pruderii i moralnej paniki, ale z humorem.

Od początku do końca chce stać po stronie bohaterów, ale jednocześnie

uczciwie pokazuje depresję, zagubienie i przemoc, której doznają. Zwłaszcza bohaterki. Choć przez świat „Euforii” przetoczyły się wszystkie możliwe rewolucje obyczajowe, to ciągle kwitnie w nim przemocowa, toksyczna męskość. Seks często jest nie tyle kwestią pożądania, o miłości nie wspominając, co emocjonalnej manipulacji, szantażu, rówieśniczej presji, różnych form przymusu. „Euphoria” jest kolejnym serialem o nastolatkach reagującym na dyskusję, jakie wywołał ruch #MeToo. Pokazuje dołującą codzienność znormalizowanej seksualnej przemocy, cenę, jaką płaci się za błędne wybory, konfuzję towarzyszącą wchodzącym w dorosłość bardzo młodym i niedoświadczonym ludziom.

Narodziny gwiazd

Każdym odcinek skupia się na problemach i dylematach innej postaci. Najważniejszą z nich jest Rue – zmagająca się z uzależnieniem od opiatów, naprężeniowymi atakami depresji i maniackalnej energii, drapieżnie inteligentna, błyskotliwa i wygadana nastolatka. To ona jest narratorką i przewodniczką po świecie serialu. Konstruując jej postać Levinson czerpał z własnej historii uzależnienia, konfliktów z rodziną, pobytów w kolejnych ośrodkach odwykowych.

Choć „Euphoria” jest formalnie remakiem izraelskiego serialu, Levinsonowi udało się nadać produkcji osobiste piętno nie tylko za sprawą tych biograficznych inspiracji. Serial wyrasta z podobnych filmowych poszukiwań co „Assasination Nation”. W tamtej produkcji świetne pomysły przytłaczały czasami zbyt widoczne wpływy innych twórców, w niektórych momentach fabuła filmowa się rozchodziła. „Euphoria” jest dziełem niemal całkowicie spełnionym, nowatorskim na tle współczesnej telewizyjnej produkcji. Levinson bardzo ciekawie subiektywizuje filmową narrację: obrazy, które widzimy na ekranie, ilustrują „strumień świadomości” Rue, układają się w popkulturowe klisze ze znanych dziewczynie filmów, seriali i innych form audiowizualnych. Po „Euforii” Levinson bez wątpienia stanie się jednym z tych młodych reżyserów, na których kolejne produkcje w kinie i telewizji będziemy czekać z wielką niecierpliwością.

Podobnie jak na następne role obecnych w serialu młodych aktorów. Żadna produkcja w tym sezonie nie ma tak genialnego castingu jak „Euphoria” – co jest tym bardziej imponujące, że wielu aktorów po raz pierwszy pojawia się na ekranie. Transgenderowa modelka Hunter Schafer jest rewelacyjna w roli Jules →

→ – nowej dziewczyny na przedmieściu, z którą Rue próbuje budować bliską romantyczną relację. Debiutantem jest też Angus Cloud, przekonująco odtworzający rolę młodego dilerka Fezco. Choć jego produkt niszczy życie całej społeczności, Fezco w końcu okazuje się jedną z najbardziej ludzkich i uczciwych postaci w serialu. Genialna jest wreszcie Zendaya w roli Rue – znana z roli w „Spider Manie” i występach w produkcjach Disneya dawna dziecięca gwiazda udowadnia, że posiada niezwykle aktorski talent i warsztat o imponującej palecie aktorskich środków.

Ku drugiej stronie dojrzałości

Serial nie oferuje żadnego pocieszenia. Wręcz przeciwnie, wszystkie złudzenia, jakie mają młodzi bohaterowie, wszystkie fantastyczne scenariusze, jakie kino i telewizja kierują do nastolatków, zostają przez twórców całkowicie zniszczone.

Młody chłopak, któremu wydaje się, że dzięki swoim talentom sportowym podbije świat, przekonuje się bardzo szybko, że nie ma szans na zawodową karierę. Potępiany przez zamożną rodzinę chłopaka romans dwojga nastolatków bardziej niż współczesną wersją „Romea i Julii” zdaje się historią o przymusie powracania do głęboko toksycznej relacji.

Kontrkulturowy mit ucieczki z nieznane – od nudy i konformizmu przedmieścia ku bezdrożom amerykańskiego kontynentu – okazuje się wyłącznie mitem, jakiego nikt nie ma odwagi i zdrowia wcielić w życie. Nawet jeśli bohaterowie dostają to, czego chcą, ostatecznie okazuje się, że tak naprawdę nie tego chcieli. Nowo odkryta seksualna siła uważającej się do tej pory za nieatrakcyjną dziewczyny nie przynosi jej szczęścia, spełnienia i nie uczyni jej mniej samotną.

A przy tym wszyscy bohaterowie „Euforii” w jakiś sposób dojrzeją. Ponieważ ich życiowe lekcje, jakkolwiek bolesne by były, to czegoś istotnego jednak ich uczą. Dlatego obecna w serialu wiara, że rozczarowania młodości mogą prowadzić do życiowej – nawet jeśli depresyjnej – mądrości, nie pozwala osunąć się „Euforii” w łatwą beznadzieję.

© JAKUB MAJMUREK



MANOLO PAVON / MAT. PRASOWE

Antonio Banderas jako Salvador Mallo w filmie „Ból i blask”

Bułka z czekoladą

ANITA PIOTROWSKA

„Ból i blask” ogląda się z podwójną, aczkolwiek chwilami rozdartą na pół przyjemnością: jako poszukujący straconego czasu „męski” melodramat i jako równie nostalgiczną rewizytę w dobrze znanym Almodóvarowskim świecie.

PEDRO ALMODÓVAR KOŃCZY W TYM roku 70 lat. Przestał ukrywać siwą i sprawia wrażenie, jakby pojednał się ze światem i samym sobą. Pewnie dlatego więcej w jego nowym filmie zwykłego bólu aniżeli krzykliwego blasku. Mniej fajerwerków, za to wiele cierpkich słów wypowiedzianych pod własnym adresem. Po tym, jak stał się mistrzem,

a następnie epigonem jedyne w swoim rodzaju gatunku zwanego almodramą, przyjął ton zdecydowanie bardziej intymny i bezpośredni. Odkładając wysłużonego autopilota, zrezygnował – na szczęście tylko częściowo – z wybuchowej mieszanki patosu, namiętności i filmowej ironii na rzecz melancholijnej podróży w czasie. Dodajmy jeszcze jeden

szczegół: wszystko odbywa się w znieczulających oparach heroiny. Staje się ona w „Bólu i blasku” chwilowym substytutem zupełnie innego narkotyku, którego sam Almodóvar nie odstawia już prawie 40 lat.

Bo nawet jeśli fikcyjna historia Salvadora Mallo, reżysera w twórczym kryzysie i mężczyzny w smudze cienia, tylko z grubsza odnosi się do biografii twórcy „Volvera”, jego najnowszy film wręcz doprasza się o lekturę z kluczem. Dostarcza go chociażby obsada. W rolę główną wcielił się Antonio Banderas, aktor-fetysz co najmniej od czasów wspólnego filmu „Matador” (1986). Jego matkę zagrała wówczas Julieta Serrano, podobnie jak później w „Kobietach na skraju załamania nerwowego” (1988) i ponownie teraz. Z kolei powracającą w retrospekcjach postać młodej matki bohatera gra Penélope Cruz, rozślawiona rolą zakonniczki we „Wszystko o mojej matce” (1999). Na dodatek wiele zdjęć do „Bólu i blasku” kręconych było w stylowym madryckim mieszkaniu Almodóvara, który użyczył protagoniście nawet własnych ubrań. Gdy dołożymy do tego osobisty monolog bohatera zza kadru, trudno wyobrazić sobie bardziej otwartą deklarację: „Salvador Mallo to ja”. Ogląda się więc „Ból...” z podwójną, aczkolwiek chwilami rozdartą na pół przyjemnością: jako poszukujący straconego czasu „męski” melodramat i jako równie nostalgiczną rewizytę w dobrze znanym Almodóvarowskim świecie.

„Ocaliło mnie kino” – to zdanie ma połączyć oba poziomy opowieści, którą kino zna już co najmniej od czasów Felliniego. Tym razem jej bohaterem jest filmowiec, który zamilkł na ponad 30 lat, ale także człowiek, któremu ciało i umysł z wiekiem odmawiają posłuszeństwa, skazując na konfrontację z własną skończonością. Owym najbardziej pierwotnym kinem raz jeszcze okazuje się ludzka pamięć. Stąd pierwsze ujęcie dojrzałego Salvadora siedzącego pod wodą na widmowym krześle płynnie przechodzi w bukoliczny obraz z dzieciństwa: piękna matka bohatera w towarzystwie innych wiejskich kobiet robi pranie przy strumieniu, śpiewając piosenkę w stylu flamenco. Kilka scen później śnieżnobiałe prześcieradło stanie się pustym ekranem, na którym ma być wyświetlony zrekonstruowany

po latach film bohatera. Powróci również wspomniane już podwodne krzesło – ożyje w wątku małego Salvadora, namalowanego ongiś przez młodego murarza z Paterny, który stał się dla dorastającego chłopca obiektem pierwszego erotycznego zachwyty.

Bohatera nawiedzają także inne, znane skądinąd obrazy: katolickie wychowanie (nie aż tak złe jak w głośnym tytule z 2004 r.), ubogi dom w skalnej grocie urządzony z finezją przez matkę, młodzieńczy bunt oraz pierwsze miłosne uniesienia i rany. Kiedy Salvador odwiedza swego aktora, skłóconego z nim od trzech dekad, a ten częstuje go działką narkotyku, widma przeszłości zaczynają materializować się również pod współczesną postacią. Bohater spotyka kochankę, który zniknął z jego życia dawno temu, lecz na zawsze pozostał obecny w jego sercu, oraz sędziwą matkę, która umarła kilka lat wcześniej, nie otrzymawszy od syna tego wszystkiego, co był jej winien. Owe spotkania należą do najbardziej poruszających scen filmu, niezależnie od tego, do którego porządku ostatecznie należą: urojonego, ekranowego czy rzeczywistego.

Jedno zdaje się pewne – tylko ból jest tutaj realny. I to on kładzie się cieniem na całym filmie hiszpańskiego reżysera, nie pozwalając widzowi zatracić się w „almodramie”, rozsmakować w symbolizującej sielskie dzieciństwo bułce z czekoladą, ani bawić się podsuwanymi przez niego autocytatami. Zmęczenie wypisane na twarzy Banderasa, młodszego od reżysera o dekadę, z ledwo dostrzegalnymi iskami chłopięcego uroku, staje się wyznaniem samego twórcy. Bez kokieterii rozlicza się na ekranie z własnej niemocy oraz nadużyć popełnionych w imię narcystycznie rozumianej twórczości. Odmawia jednak odstawienia na boczny tor. Salvador vel Almodóvar sięga więc raz jeszcze po swoją „heroinę”. Zapala ją nieśpiesznie, zaciąga się z umiarem i odlatuje tam, gdzie przeszłość mieni się intensywniejszym kolorem, przywracając do życia tych, którzy odeszli – i sprawia, że teraźniejszość boli choć odrobinę mniej. ©

BÓL I BLASK (*Dolor y gloria*) – reż. Pedro Almodóvar. Prod. Hiszpania 2019. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 30 sierpnia.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [24 – 30 VIII]

1. Ága



Dramat, reż. Milko Lazarov, Francja / Niemcy / Bułgaria 2018, Cineman VOD

Pośród śniegów Jakucji toczy się życie dwojga starszusków, podporządkowane rytmem natury, codziennym rytuałom i pradawnym wierzeniom. Z oddali docierają wąte sygnały cywilizacji, dokąd ucieka kiedyś córka bohaterów. Film jest surową kontemplacją na temat świata, który na przekór wszystkiemu trwa w swym niezmiennym kształcie.

2. Alternatywne zakończenie



Dokumentalny, reż. Perri Peltz, Matthew O'Neill, USA 2019, HBO GO

„Sześć nowych sposobów, by powitać śmierć w Ameryce” – brzmi podtytuł dokumentu, który bada, jak zmieniło się w ostatnich latach podejście do umierania i pochówku. Ma na to wpływ m.in. większa świadomość ekologiczna, ale także coraz większa kreatywność w umianiu odchodzącego przemiana na drugą stronę.

3. Ramen. Smak wspomnień



Dramat, reż. Eric Khoo, Francja / Japonia / Singapur 2018, Cinemax 2, 25 VIII, 20.30, 26 VIII, 12.15

Oto film dla smakoszy azjatyckiej kuchni i kulinarnych podróży. Młody japoński kucharz pielgrzymuje do swoich singapurskich korzeni, by poznać tajniki znanych z dzieciństwa dań. Wyprawa ta staje się okazją do poznania skomplikowanej sytuacji rodzinnej i refleksji na temat narodowościowych uprzedzeń.

4. Wszystkie pieniądze świata



Sensacyjny, reż. Ridley Scott, Włochy / USA / Wielka Brytania 2017, Canal+ Film, 25 VIII, 22.15

Fabularyzowana opowieść o rodzinie Gettych skupia się na głośnym zdarzeniu z 1973 r., kiedy to w Rzymie został porwany nastoletni wnuk miliardera. Nieśpieszny rytm akcji pozwala delektować się moralnym upadkiem jednego procenta ludzkości. W roli głównej doskonały Christopher Plummer, który zastąpił oskarżonego o molestowanie Kevina Spaceya.

JAN

Klata:

I love Poland



PO RAZ KOLEJNY DOTRZYMALI SŁOWA. PRZYKŁADY MOŻNA BY MNOŻYĆ I MNOŻYĆ, ALE MOŻE PIERWSZY Z BRZEGU: JACHT. MIAŁ PROMOWAĆ I UPAMIĘTNIC – ZAISTE PROMUJE, ZAPRAWDĘ UPAMIĘTNIA. TA WŁADZA PO PROSTU JEST WIARYGODNA. NIE MA BARIER, KTÓRYCH

nie można przekroczyć. Hejterzy rzucają jachtowi Polskiej Fundacji Narodowej i wicepremiera Glińskiego kłody pod nogi, ale oni (jacht, Fundacja i wicepremier) opierają się sztor-mom. Koszty są duże, ale nawet i 20 milionów PLN to po prostu pestka w porównaniu z niezmierzalnymi korzyściami, które łódź I Love Poland przyniosła nam wszystkim, Polakom, promując stulecie rocznicy odzyskania niepodległości przez nas wszystkich.

Jacht się co prawda zepsuł na kilka miesięcy – generalnie dużo, dużo było perypetii, zapewne spowodowanych tęczą zarazą – ale po pierwsze: ładnie cumował w marinie, a po drugie: w końcu został naprawiony, bo dobra zmiana umie naprawiać. Zdecydowanie, jacht I Love Poland od samego początku

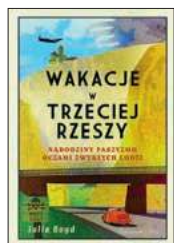
przebija szklany sufit imposybilizmu. Przykłady można mnożyć, ale przytoczę tylko jeden, z ostatnich dni.

Narodowa łódź miała wziąć udział w najbardziej prestiżowych regatach świata... Jednakowoż ktoś coś zaniedbał, nie dostarczono na czas papierów, i cóż, nasz narodowy jacht jednak nie wystartuje w Fastnet Race. Czy mnie to dziwi? Mnie nie dziwi już nic od kilku lat, gdyż I Love Poland. Tysiącletnią Poland, zarządzaną stalową wolą szeregowego posła oraz jego marionetek. Władza może być wiarygodna, władza, która słu-cha Polaków. Miał promować Polskę i promuje: jest najlepszym niestartującym jachtem w dziejach regat Fastnet Race! Tak się pisze historię, na epicką skalę. Wystartować w prestiżowych regatach to sobie może każdy, ale mieć naprawiony jacht, gotową załogę, i jednak nie wystartować – oto medialna promocja Polski i Polaków ponad podziałami! Zrobili to, zrobili to, dla Ojczyzny, na rocznicę!

Wicepremier Gliński niczym prorok Jeremiasz stawiał od kilkunastu miesięcy czoło zalewającej go bezprzykładnej fali hejtu na temat całego przedsięwzięcia. Już na wiosnę zeszłego roku prosił o nieuczestniczenie w „polskim piekle” i stał murem za jachtem. „Biorę odpowiedzialność za ten projekt o charakterze patriotycznym, wychowawczym. Jest on skierowany do młodzieży, jest także medialny i miał mieć charakter wydarzenia ponad podziałami. A tymczasem zjednoczył hejterów. A mimo to zrobimy to. Dla Polski. Wesołych Świąt dla wszystkich hejterów i całej reszty”. Można dotrzymać słowa? Można. Z tego, co pamiętam, święta były wesołe. Następne święta też będą wesołe. Dla Polski. Niech to trwa wiecznie. ©

Lektor:

Podróżnicy



■ Julia Boyd,
**WAKACJE W TRZECIEJ RZESZY.
NARODZINY FASZYZMU OCZAMI
ZWYKŁYCH LUDZI**

Przeł. Małgorzata Moltzan-Małkowska,
Prószyński i S-ka,
Warszawa 2019, ss. 460.

NAJPIERW DWA CYTATY, oba o anszlusie Austrii. Pierwszy: „Obudziłem się nagle o północy. Z radia na dole dochodziło wycie; ani chybi stary Xi [tj. Hitler]... Po wyciu huczne okłaski... Niemcy oszaleli. Bliski jest dzień, kiedy to wszystko szlag trafi”. Drugi: „Pozwolę sobie... wyrazić głęboką wdzięczność, że anszlus odbył się bez rozlewu krwi i ku radości niemieckiego

i austriackiego narodu”. Autorem pierwszego jest Ji Xianlin, młody Chińczyk studiujący w Getyndze, w przyszłości znakomity orientalista (przetrwiał nie tylko wojnę w Niemczech, ale i rewolucję kulturalną we własnym kraju). Cytat drugi pochodzi z listu, jaki do Hitlera wystosował George Pitt-Rivers, brytyjski oficer i propagator eugeniki, inter-nowany potem w ojczyźnie

za pronazistowskie sympatie. Znajdziecie tu setki podobnych fragmentów i zdumiewających czasem historii. Podtytuł irytuje: wśród bohaterów są nie tylko „zwykli” ludzie, cokolwiek to znaczy, a nazizm to jednak szczególna odmiana faszyzmu. Poza tym książkę brytyjskiej historyczki czyta się znakomicie, byle się nie pogubić w tłumie postaci. Opowieść sięga społecznych korzeni III Rzeszy po I wojnie, kończy się w roku 1945. Podróżują do Niemiec politycy, dyplomaci, arystokraci, pisarze, germanofile, studenci, panny uczące się dobrych manier i po prostu turyści; najwięcej wśród nich Anglosasów. Ich relacje uderzają często naiwnością, by nie rzec: ślepotą i głupotą – starczy przypomnieć nieszczęsną wielbicielek Führera Unity Mitford, jedną z sześciu córek lorda Redesdale’a. Nieczęsto

pojawia się temat prześladowań Żydów, ale też wielu podróżnikom one nie przeszkadzały, bo sami byli antysemitami. Z ulgą czytamy więc o siostrach Idzie i Louisie Cook, melomankach, które podróże na spektakle operowe łączyły z funkcją kurierek wywozujących kosztowności rodzin żydowskich, co pozwalało później opłacić ich wyjazd z Niemiec. Ida finansowała te podróże dzięki sukcesowi jej publikowanych pod pseudonimem roman-sów, a skuteczność działania sióstr poświadczają dziś ich drzewka w Yad Vashem. Nieskuteczna za to okazała się misja trzech amerykańskich kwaków, na czele z pisarzem Rufusem Jonesem, którzy już po nocy kryształowej postanowili perswazją spro-wadzić nazistów na dobrą drogę. Niestety, nie pomogła nawet medytacja w siedzibie Gestapo... ©P

PAWEŁ

Bravo:

Sceny z Mediolanu



ŚRODKOWY PALEC WYMIERZONY W NIEBO, piękny karraryjski marmur, w tym miejscu nie wypada robić niczego po taności, Piazza degli Affari, czyli plac Interesów, miasto nie mogło wymyślić bardziej stosownego adresu na siedzibę giełdy. To

samo miasto pozwoliło Maurizio Cattelanowi postawić wulgarną rzeźbę na majestatycznym cokole. Gest nie jest tu całkiem dosłowny – żyłasta dłoń nie ma pozostałych czterech palców, są ucięte. Rzeźbiarz pytany o wyjaśnienia mówił, że to chodzi o rękę uniesioną w rzymskim salucie, którą nadwyreżył upływ czasu, i że to aluzja do faszystowskiej architektury budynku giełdy. Przepysznej zresztą, naprawdę można dostać kręcka od dysonansu, bo jakże tak źli i ciśni ludzie, hodowcy kołtuna i polityczne żule, a taki dobry gust mieli, tyle niestarzejącego się piękna postawili, nawet im nazwa stylu „racjonalizm” nie przeszkadzała.

Rzeźbiarz niech mówi, co chce, lud wiedział swoje: był rok 2010, chodziło więc o prosty komunikat do tych z giełdy i banków, rozsiadłych po jej bokach jak w fałdach maminej spódnicy. Były zbyt duże, żeby dać im upaść – pamiętacie to zakłęcie, którym zamykano nam gęby, kiedy się pytaliśmy, w imię czego tłuste bankierskie koty wyszły bez krzywdy z kryzysu, w który wszystkich wpędziły? Pozostaje pokazać środkowy palec. A może – skoro grzbiet dłoni skierowany jest ku placowi – to oni nas w ten sposób pozdrawiają, zaryglowani w swojej świętyni?

Kusząca metafora, ale niecelna. Obrót akcjami od dawna toczy się na serwerach i nie ma już jednej fizycznej przestrzeni, po której latają z kartkami maklerzy, mediolański budynek nadal służy pieniądзом, ale w inny sposób. Zostały nam tylko stare nagrania i sceny filmowe. Kiedy patrzę na budynek przy Piazza Affari, to jakbym dosłownie słyszał ze środka koszmarny harmider z „Zaćmienia” Antonioniego, kiedy Vittoria przychodzi odszukać swoją matkę – notoryczną spekulantkę. Genialnie przedstawiony szal, histeryczna bieżanina, owczy pęd, kocioł chciwości i strachu. A potem nagle to zamarza w minucie ciszy ku czci zmarłego finansisty. Piero, młodzieńcki cwaniak o słodko-cynicznej twarzy Alaina Delona, złości się, bo nie może odebrać telefonu i szepcze dziewczynie: „Czy ty wiesz, że minuta milczenia kosztuje tu miliardy?”.

Cóż to zatem za świetna okazja: 10 euro za możliwość, żeby pomilczeć choćby i sto minut przed Pietą Rondanini. Życzliwi rzeźbom włodarze utworzyli dla niej kilka lat temu osobną przestrzeń w skrzydle zamku Sforzów. Nie tylko z powodu układu ławek dla widzów jest to dla mnie rodzaj świeckiej kaplicy. Epicentrum milczenia. Miejsce, gdzie nie tylko

słowa, ale i myślenie obrazowe zdają się tracić użyteczność. Nawet Michał Anioł musiał przegrać, przerabiał i przerabiał, nie dokończył nigdy dzieła. Maria, której martwe ciało Chrystusa zaraz wysunie się z rąk, nie walczy z jego ciężarem, tylko pochyla się nad nim, jakby tuląc, z całą świadomością, że to wszystko już na nic. Ta rzeźba to znak dojścia do granicy tego, co można wyrazić przez sztukę, przez akt tworzenia. Jeśli poza granicą języka jest milczenie, to co jest poza granicą sztuki? Tego nie można oglądać bezkarnie. Łzy mi lecą tu za każdym razem, starczy, że się moment zapatrzę, strach przed końcem trwa aż do finału, chociaż codziennie osuwam przygodność życia; nie przywiązuję się – powtarzam do lustra.

Jeśli nic nie jest na zawsze i na pewno, to może wszystko jest na niby? Mediolan, miasto mody i kroków na pokaz, nie ma co do tego wątpliwości. Inaczej nie wpuściłby w swoje progi Starbucksa, który nieopodal katedry dorabia sobie szlachectwo w lokalu połączonym z butikową palarnią, barem degustacyjnym i luksusowym bistro. Podobne przybytki istnieją w Szanghaju i Tokio, ale Mediolan liczy się szczególnie, bowiem mit założycielski firmy to rzewna opowieść, jak szef właśnie w tym mieście doznał kiedyś oświecenia i postanowił, że rozniesie kawowy kaganek na cały świat.

Większego cyrku dawno nie widziałem. Feeria, wysoki połysk, nawet „robotnicy” obsługujący palarnię wystylizowani aż do końcówki sznurowadła, a to wszystko skrzekliwie jarmarczne, namolnie aspiracyjne. W barze, gdzie brakuje tylko pana Kleksa, w retortach bulgocą blade napary, które za słoną opłatą można porównać niczym wina z różnych roczników. Pewnie to ciekawe i zdrowe dla żołądka, ale co dokładnie pana prezesa oświeciło, że jako *espresso experience* proponuje takie dziwy albo kawę o aromacie skórek pomarańczy, smaku porzeczek, białej brzoskwini i nucie toffi? Ale nie narzekam, po marmurze gniewnych i rozpaczliwych rzeźb potrzebowałem oddechu wśród morskiej pianki iluzji. Poza tym kanapki, placki i focaccię dostarcza tam znana piekarnia Princi – nigdzie w okolicy nie zjecie lepszej przekąski. A potem kawa za rogiem w ciasnym barze pod jarzeniówką, z włączonym na cały regulator Rai Sport. ©

*O parę kroków – czy stacji kolejki miejskiej – od Mediolanu leży piękna Pawia, z dwoma cudownymi kościołami romańskimi, ale generalnie uroczą z powodu nieturystycznej zwyczajności. To miasto akademickie, więc można tanio i solidnie zjeść nawet w centrum. A na deser miejscowa sława, torta paradiso, coś podobnego do naszej babki piaskowej, tylko bardziej suche, więc prosi się o herbatę czy kawę. Ucieramy 200 g miękkiego **masła** na bardzo puszystą masę. Dodajemy ciągle mieszając 200 g **cukru pudru**, **skórkę z cytryny**, następnie po kolei 3 **żółtka** i 2 **jajka**. Przesiewamy do miski 100 g **mąki tortowej** i 100 g **mąki kartoflanej** – chodzi o to, żeby je dobrze napowietrzyć. Dodajemy delikatnie do masy. Przekładamy do tortownicy lub formy o średnicy ok. 24 cm z wysokim brzegiem, wyłożonej papierem do pieczenia. Pieczemy w 180 stopniach ok. 45 minut, aż się zrumieni i będzie suche w środku. Posypujemy cukrem pudrem.*





WARHOLAND

Dla mieszkańców Medzilaborców i okolicznych wsi muzeum pełni funkcję wieży z kości słoniowej. Przychodzą, jeśli mają gości z zagranicy. Ale jest dużo Polaków, bo blisko.

JAKUB MEJER

PIĘTROWY OTYNKOWANY DOM PRZY drodze. Głośno warczący, niewyczesany wilczur i kilkuletni styrany SUV na podwórku. W przedpokoju linoleum, szafka z gumiakami. Żeliwny kuchenny piec na drewno, za głośno włączone przenośne radio, grające popularne hity, ze sterzącą i błyszczącą w słońcu anteną. Sypana czarna kawa, podana na stole przykrytym ceratą. Mam rozmawiać z ostatnim w regionie żyjącym bliskim krewnym jednego z najsłynniejszych i najbardziej wpływowych artystów globalnej sztuki nowoczesnej XX wieku.

Jan Zavadsky, 74-latek z Mikovej, odbywał tę rozmowę już wiele razy i jest nie-specjalnie zainteresowany swoim krewnym Andym Warholem.

– Tak, jestem jego bratankiem [naprawdę – kuzynem ze strony matki – JM], najmłodszym z dziesiątki dzieci. Wiedziałem, że żyje w Ameryce, bo korespondował z moją ciotką Julką [siostrą matki Jana – JM]. Sam też coś tam do niego pisałem... Był bogaty, ale nikt nic nie odziedziczył, bo był artystą – mówi.

Jeszcze mniejszą ochotę ma na mówienie o muzeum Warhola w pobliskich Me-

dzilaborcach. Wywołuje u niego tylko za-wieść i złość.

Z domu Julii Warholowej, matki artysty – została tylko zaniedbana, nieużywana studnia. Nie ma już gruszy, której owoce mieli jeść rodzice Warhola.

– Ścieli ją kilka lat temu elektrycy, bo im przeskadzała w naprawach – mówi Zavadsky.

On sam woli mówić o innych sprawach: – Byłem w Polsce. W ubiegłym roku w Oświęcimiu. Tragedia. Europejczycy przypisują to Polakom, ale prawda jest taka, że jak ktoś tam już był, to mu-

*Muzeum Andy'ego Warhola
i fontanna z pomnikiem artysty,
Medzilaborce, Słowacja*

siał się słuchać Niemców. Polacy zachowali się jak patrioci. Węgrzy współpracowali do końca wojny. Słowacy mieli jedno powstanie, ale była też gwardia Hlinki. Polacy się najlepiej zachowali, a Francuzi i Brytyjczycy ich zdradzili.

II wojna światowa to temat, przed którym ciężko uciec w tej okolicy.

– Wielu ludzi odeszło po wojnie za pracę, kiedy Niemcy oddali Sudety. W tym moi dwaj bracia. Tu nie było żadnej pracy. Wielu ludzi pojechało też do Ameryki. Potem zaczęły powstawać duże fabryki, huty, spółdzielnie rolnicze – mówi Zavadsky.

Swoje życie związał, podobnie jak setki osób w okolicznych wioskach, z fabryką czechosłowackiego monopolisty na sprzęt elektroniczny – firmy Tesla w powiatowym Stropkovie. Jej wyroby – telewizory, radia, telefony stacjonarne – gościły w domach większości Czechów i Słowaków. Dzisiaj produkuje głównie domofony, gniazda elektryczne i włączniki światła.

Andrej, ojciec Andy'ego, wyprowadził się za ocean w wieku 26 lat w 1912 r. Najprawdopodobniej przeczuł zbliżający się koniec długiego wieku XIX i uciekł przed poborem do armii cesarza Franciszka Józefa. Jego żona Julia do Stanów wyjechała już z nowego kraju, Czechosłowacji, w 1921 r.

Dowódcom I wojny światowej nie umknęło strategiczne znaczenie przełęczy Beskidu Niskiego, który oddzielał królestwo Węgier od królestwa Galicji. Po ofensywie armii cara jeden z amerykańskich korespondentów pisał, że „pojawienie się Rosjan zapewne będzie miało taki efekt jak pojawienie się Hannibala, po przejściu przez Alpy, na Rzymianach”. Ale już kilka miesięcy później polskojęzyczne dzienniki w Małopolsce publikowały na czołówkach doniesienia z „wojennej kwatery prasowej”, mówiące o „jednym z najświetniejszych ustępów walki z masą naokół atakujących nieprzyjaciół” i 70 tys. wziętych do niewoli żołnierzy rosyjskich.

Wiele lat później matka Warhola opowiadała synowi o „trupach porozrzucanych w lasach i na łąkach” i „czaszkach

żołnierzy, które lśniły jak wielkie pieczarki na długo po zakończeniu wojny”.

– Większość z mieszkańców Mikovej to byli Warholowie i Zavadscy. Dużo było Polaków. Dalej tak jest, ale mieszcina wymiera. Po wojnie było nas 950. Teraz jest 120, w tym 80 Cyganów. Wielu ludzi ma tu domy, ale tu nie mieszka – opowiada Jan Zavadsky. Podobnie było w innych miejscach w okolicy – np. w 1880 r. w Łupkowie mieszkało 511 Łemków, 50 Polaków i 10 Żydów.

– Warhol generalnie nie był Słowakiem. Po rodzicach był Łemkiem. A jak popatrzymy dalej, ich rodzice pochodzili z Polski, z Galicji – mówi Michał Bycko, założyciel Muzeum Andy'ego Warhola w Medzilaborcach.

Sam Warhol niechętnie rozmawiał o swoim pochodzeniu. Często mówił, że pochodzi „znikąd”. W prywatnych rozmowach czasami wspominał o „czechosłowackich” korzeniach, chociaż nie zawsze mu to pasowało – ze zdziwieniem zauważył kiedyś, że nie jest się w stanie dogadać z pochodzącą z Czechosłowacji modelką, a podczas audjencji u Jana Pawła II nie miał takich problemów (papież miał pamiętać język rusiński z czasów wędrówek po górach).

Z poczty do domu kultury

Budynek muzeum przy głównej, prowadzącej do oddalonej o 10 km polskiej granicy, ulicy w Medzilaborce (kiedyś imienia Lenina, dziś imienia Warhola) wyróżnia się na tle miasta, chociaż wpisuje się w lokalną architekturę. Nawet fakt, że mieści się pomiędzy Tesco i cerkwią, dziwnie tu pasuje. Towarzyszy mu pensjonat Andy, na jednym z lokalnych sklepów jest nawiązujący do Warhola mural, a obok fontanna z pomnikiem artysty i przystanek w kształcie słynnej „Puszki z zupą firmy Campbell”. To relikty z zarzuconego już pomysłu na zmianę Medzilaborców w „miasto Warhola” z pomocą funduszy unijnych.

Warhol jest już silnie kojarzony z tym miastem, ale stało się tak przez przypadek. O tym, że kuzyn Andy w Ameryce maluje obrazy, a nie domy, rodzina miała dowiedzieć się z jednej z podkarpackich gazet, które ktoś im przywiózł z Polski.

W okresie wzmożonych represji po Praskiej Wiośnie 1968 r. Warholem zainteresował się młody student Michał Bycko. Na badanie jego sztuki nie pozwa-

łała komunistyczna cenzura, więc skupił się na pochodzeniu artysty.

Zainteresowanie amerykańską sztuką u zmierzchu czechosłowackiego komunizmu nie było dla Bycki łatwe: – Pytali o mnie komuniści, pytała służba bezpieczeństwa. Raz wywieźli mnie 30 km i zostawili w deszczu. Innym razem pytali, co myślę o CIA. Nawet nie wiedziałem, co to, powiedziałem, że cenię jej twórczość. Pomyliłem ją z AC/DC.

Andy nigdy w swe rodzinne strony nie dotarł. Zmarł w lutym 1987 r., akurat w chwili kiedy jego brat John przygotowywał się do pierwszego wyjazdu do Czechosłowacji. Przyjechał we wrześniu tego samego roku.

– Spotkaliśmy się, zaproponowałem, żeby tu powstało muzeum, żeby nawet na tej zapomnianej Słowacji była jakaś wystawa przypominająca, że Warhol ma tu korzenie. Znakomicie to przyjął, po powrocie do Stanów zaczął nad tym pracować z Fundacją Andy'ego Warhola – mówi Bycko.

Czechosłowacja u kresu komunizmu niespecjalnie była jednak zainteresowana upamiętnieniem artysty.

– Państwa zupełnie to nie interesowało. Odmówiły nam wszystkie galerie w kraju, nawet Narodowa – dodaje Bycko.

Na udostępnienie budynku poczty zgodziły się Medzilaborce, gdzie w 1989 r. powstała prowizoryczna wystawa informująca o Warholu. Gdy w 1990 r. John wrócił, aby zobaczyć postępy prac nad muzeum, zderzył się ze wschodnioeuropejskimi realiami transformacji, inflacją i brakiem zainteresowania wspieraniem kultury.

– Budynek nie został wyremontowany. Muzeum na oficjalnej stronie przyznaje, że brat Andy'ego wracał „zawiedziony”. A fundacja nie zgadzała się na przekazanie jakiegokolwiek obrazu, póki nie będzie odpowiedniej infrastruktury.

W końcu miasto zdecydowało, że na muzeum przeznaczy ostatnie osiągnięcie czechosłowackiego komunizmu w Medzilaborcach: nowo wybudowany lokalny pałac kultury.

Oficjalne otwarcie placówki nastąpiło 1 września 1991 r. Zaprezentowano dziewięć oryginalnych obrazów Warhola i trzy plansze, które spokojnie zmieściły się w jednej sali. W pozostałych znalazły się informacje o rodzinie i zdjęcia jego krewnych.

Krewni wcale nie byli zachwyceni. Jan Zavadsky, ówczesny sołtys Mikovej, →

→ mocno lobbował, aby muzeum powstało w rodzinnej wsi. Gdy tematem w latach 90. zaczęły się interesować media, również zachodnie, co trzeci jej mieszkaniec twierdził, że jest spokrewniony z amerykańskim malarzem (gdy oczywiście stało się, że nie będzie z tego pieniędzy, tytuł „krewnego” spadł na najbliższych spokrewnionych, z których żyje już tylko Zavadsky). Nie było to trudne we wsi pełnej Warholów i Zavadskich, nawet biorąc pod uwagę, że wielu sąsiadów o tych samych nazwiskach nie było ze sobą spokrewnionych. Dziennikarze, przyjeżdżając na dzień, dwa, nie wdawali się przecież w takie szczegóły.

– Pewnie wam o tym nie powiedzą, ale w muzeum są też obrazy, które Paul [drugi brat Andy’ego] mi dał – mówi Zavadsky, który nie ukrywa swojej niechęci do Bycka (z wzajemnością). – John i Paul myśleli, że Medzilaborce to główny ośrodek w regionie, że w okolicy nie ma nic innego. Gdy przyjechał Paul, obwiozłem go po okolicy. Jesteśmy Rusinami, więc byliśmy w Svidniku, w skansenie i muzeum; w uzdrowisku w Bardejovie, bo bolały go nogi. Chciałem też zabrać go do Starej L’ubovnej, bo planował zobaczyć zamek, ale nie było już czasu. Gdy John, który przyjeżdżał częściej, usłyszał o tej wycieczce, kazał się zabrać w podobną. To było około roku 2000, teraz już nie mamy ze sobą kontaktu.

Awantury

Media, pisząc o nowym muzeum, skupiały się głównie na tym, że przeciekał dach i były problemy z elektrycznością, okraszając to opowieściami o właścicielach obrazów (większość prac wystawianych w muzeum należy do prywatnych kolekcjonerów), zabierających je lub grożących zabraniami, bo warunki ich przechowywania są nieodpowiednie.

– Teraz na przykład przecieka dach w galerii w Prešovie. Czy ktoś o tym pisze? A jak u nas? Bum, od „The Independent” po „The Sunday Times” – mówi Bycko.

Na początku ważnym źródłem utrzymania była pomoc Fundacji Andy’ego Warhola, która dawała rocznie średnio od 10 do 20 tys. dolarów.

– Od pięciu, sześciu lat jesteśmy na swoim. Założyliśmy stowarzyszenie. Ale w tym kraju w trzecim sektorze wszyscy widzą strachy. Od Sorosa po Stany Zjednoczone, slniekarów [pejoratywne



JAKUB MEIER X2

Przystanek autobusowy w Medzilaborcach, marzec 2019 r.

określenie liberałów z większych miast, porównywalne do polskiego „leminga” – red.]. Może wrócimy do współpracy, ale sytuacja w sektorze pozarządowym na Słowacji jest krytyczna – mówi Bycko.

W 2018 r. słowackie media donosiły, że muzeum może nie przetrwać. Problem wywołała obecnie już jego była dyrektorka Ľudmila Štecová, która oskarżyła Bycka o kradzież.

– Dostałem tę sprawę w spadku. Pomiędzy nimi był personalny konflikt – mówi Martin Cubjak, nowy dyrektor placówki, wyjaśniając: – Paul Warhol na początku wręczył trochę obrazów ludziom: rodzinie i Byccze. Zostały wystawione w muzeum i błędnie opisane jako należące do niego. Gdy Bycko przechodził na emeryturę, chciał sprzedać eksponat, wart może 150 dolarów. Dałoby się to rozwiązać łatwo, ale spór przez trzy miesiące był ogólnokrajowym newsem.

– Pracownicy byli przygnębieni, atmosfera zła, ludzie przestali wierzyć w to, co robią – dodaje Cubjak. W końcu sprawę udało się wyjaśnić, chociaż tłumaczyć się musieli nawet bracia Warhola. Bycko wrócił na symboliczne stanowisko kuratora wystaw w muzeum.

Teraz Cubjak skupia się na innym problemie, który odziedziczył po poprzedniczce: – Dwa dni przed odejściem podpisała bezsensowną umowę. Mamy wysłać dużą część obrazów do Chin, za darmo, nawet nie wiemy dokładnie gdzie. Musiałem zatrudnić prawnika. Prawdopodobnie umowa została podpisana, gdy ona już nie była pracownikiem muzeum, ale trudno to udowodnić. Oficjalna pieczęć muzeum do dziś do nas nie wróciła.

Zachodnia sztuka

Muzeum składa się z czterech głównych sal wystawowych. Dwie z nich mieszczą dzieła Warhola – można tu zobaczyć słynne prace z puszką zupy Campbella lub Marilyn Monroe, ale też chociażby „Czerwonego Lenina” i zdjęcie artysty z Janem Pawłem II, podobno najczęściej publikowane wśród Rusinów jako obraz związany z Warholem.

Kolejna sala przedstawia historię jego rodziny – są tu dokumenty administracyjne jego i bliższych lub dalszych krewnych, drzewo genealogiczne, szata z chrztu i filmy nakręcone w miejscu, gdzie kiedyś był dom matki (z widoczną jeszcze gruszą).

Najczęstszym zarzutem wobec placówki jest wybiórczość. Nie dowiemy się z niej nic o seksualności autora, o jego słynnych homoerotycznych filmach. Na całej wystawie jest zaledwie kilka prac, które prezentują jakkolwiek nagość.

Problem z seksualnością Warhola ma też jego rodzina w Stanach (w tym bracia), a otwarciu muzeum na początku lat 90. towarzyszyły protesty przed „zachodnią sztuką pedała”. Dlatego też od wielu lat każdy szanujący się film lub artykuł o słowackich krewnych Warhola nie obchodzi się bez któregoś z nich (z reguły Jana Zavadskiego), wątpliwego w homoseksualizm Andy’ego. Ostatnio Zavadsky pojawił się w „New York Timesie” z sierpnia 2018 r., wcześniej w „Absolucie Warhola”, najsłynniejszym filmie na ten temat w reż. Stanisława Muchy z 2001 r. Dla mieszkańców Medzilaborców i okolicznych wsi muzeum pełni funkcję wieży z kości słoniowej.

– Są wycieczki zorganizowane, na przykład ze szkół. Ale spontanicznie Słowacy przychodzą jedynie, kiedy mają gości z zagranicy, żeby się pokazać. Większość turystów jest z zagranicy, głównie Polacy, Niemcy, ale są też goście z Chin, Korei, całego świata – mówi Bycko.

Obecnie placówkę odwiedza ok. 30 tys. turystów rocznie, przy kilkunastoprocentowych wzrostach, co jak na placówkę kultury na Słowacji uznawane jest za dobry wynik.

Romom wstęp wzbroniony

W pierwszej turze słowackich wyborów prezydenckich w marcu tego roku 45-letnia liberalna prawniczka Zuzana Čaputová wygrała w 71 z 79 okręgów. I mimo że ze sceny dziękowała też w języku romskim i rusińskim, to właśnie na północnym wschodzie kraju, gdzie te mniejszości są najliczniejsze, poniosła największą porażkę. W Svidniku, jako jedynym miejscu na Słowacji, pierwszy był Stefan Harabin, były przewodniczący Sądu Najwyższego, który zapowiadał sprzeciw wobec „ideologii gender” i LGBT+, ochronę „tradycyjnych wartości” przed zagranicznymi

organizacjami pozarządowymi i migrantami oraz nowe otwarcie na Rosję.

W Medzilaborcach i Stropkovie wygrał natomiast Maroš Šefčovič, który na potrzeby kampanii musiał porzucić swój brukselski technokratyzm (był wieloletnim komisarzem unijnym i jedynym mało skompromitowanym, rozpoznawalnym politykiem rządzącej od lat partii Smer-SD) na rzecz populistycznych, prawicowych opcji. W każdym z tych okręgów kilkanaście procent dostał też nacjonalista, czasami nazywany wręcz neonazistą, Marian Kotleba, gloryfikujący Słowację z czasów II wojny światowej.

Muzeum Warhola za czasów Bycka prowadziło politykę niewpuszczania Romów. We wspomnianym już filmie „Absolut Warhola” widać, jak są wypraszani, kiedy starają się wejść do środka.

– Mucha [reżyser „Absolut Warhola” – red.] był tutaj aż miesiąc. Dobrze nas pokazał, rozumiał naszą duszę jako Słowianin. Chwilę później przyjechała niemiecka ekipa telewizyjna, ale Niemcy już tego nie rozumieli – mówi Zavadsky o filmie, który pokazuje jego i innych mieszkańców jako niestroniących od alkoholu biednych, zapomnianych i niewykształ-

conych kulturowo homofobów i ksenofobów liczących na pieniądze ze Stanów.

Nie wiadomo, czy lokalną duszę rozumie nowy dyrektor muzeum. Choć spędził w nim początki swej kariery w zarządzaniu instytucjami kultury (później ją kontynuował w prywatnych galeriach), to Cubjak, dojeżdżający codziennie do pracy mini cooperem 75 km z drugiego największego miasta w kraju, Koszyc, raczej nie nastawia się na otwarcie na lokalną społeczność.

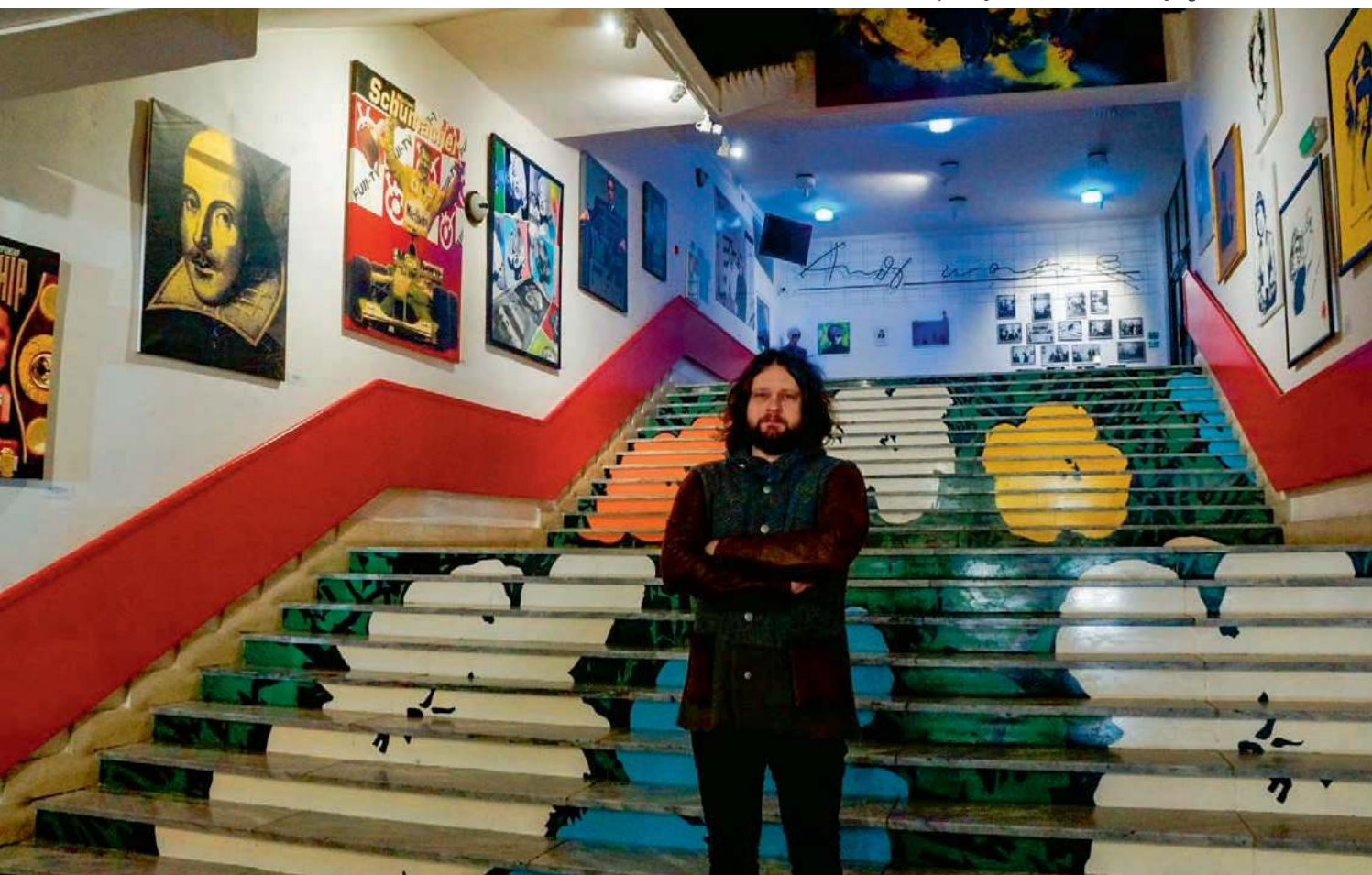
– Muzeum tutaj jest jak UFO, a teraz wejdzie w pełne *science fiction* – zapowiada. Właśnie planuje pierwszy porządny remont od czasu powstania 30 lat temu placówki. Nowa elewacja miałaby nawiązywać do paryskiego Centre Pompidou. 125 tys. euro, które instytucja dostała na ten cel do tej pory, z pewnością nie wystarczy. Cubjak liczy, że jak pokaże ambitny projekt, to i pieniądze się znajdą. A wtedy wieża z kości słoniowej będzie wyglądać dostojnie.

© JAKUB MEJER

Współpraca TAMARA PETERKOVÁ

Tekst powstał w ramach Stypendium im. Leopolda Ungera.

Martin Cubjak, dyrektor Muzeum Andy’ego Warhola



STANISŁAW

Mancewicz:

Pobądźmy w sklepie



W RAMACH DORAŻNEJ UCIECZKI OD RZECZYWISTOŚCI zrobiliśmy relaksującą turę po sklepach z garniturami. Taki sklep jest jedynym miejscem, gdzie mężczyzna polski znajduje się w stanie nie do obejrzenia gdziekolwiek indziej. Dowolne jego kompetencje są tu nieprzydatne. Rzec można, że mężczyzna polski w sklepie z garniturami jest nieaktualny. W każdym ujęciu, od fizjologii po – cokolwiek to znaczy, jeżeli znaczy jeszcze cokolwiek – metafizykę.

Przez lata badań w sklepach z garniturami dokonaliśmy niezliczonych wymazów ze wszystkich kątów i szparek, a nasze analizy na frontach i zaplecach tych placówek wykazały całkowitą sterylność, jeśli idzie o obecność tam testosteronu. Sklepy z garniturami, prócz magazynowania garniturów, magazynują najczystszy estrogen. Są gabinetami, w których estrogen występuje w każdej formie, a to gazu, maści, cieczy i proszku. Żadna maseczka, gazik ni chusteczka czy koreczek nie są w stanie zapobiec jego wchłanianiu przez mężczyznę polskiego. Zaprawdę nie ma poza sklepem z garniturami miejsca, gdzie można zobaczyć mężczyznę polskiego w stanie skrajnej, niemaskowanej bezpłciowości, osłupienia, umęczenia, zaczerwienienia i poddania. Mężczyzna polski w sklepie z garniturami jest równocześnie babunią i dziaduniem.

Oto bezustannie oglądamy polskich mężczyzn demonstrujących publicznie nieprzebrane pokłady swej męskości, nie-selekcjonowanej ani etyką, ani estetyką. Jest to zaiste wyłączenie nasze spostrzeżenie, że jeżeli ktoś, kiedykolwiek, miałby ochotę zobaczyć polskiego mężczyznę w stanie jednak prawdziwym, powinien pójść do najbliższego sklepu z garniturami. Trzeba tam usiąść cichutko, na kanapce, w pobliżu przebiegalni i po prostu patrzeć i słuchać. Można wyjąć notesik.

Żuż na progu sklepu z garniturami widać, że męskość we wchodzącym tu mężczyźnie polskim znika z prędkością komety opuszczającej z obrzydzeniem naszą Galaktykę. Jest on (a może już ono?) w ciężkim szoku i w stanie wstrząsu. Wpada natychmiast w bierność, którą trudno nazwać rezygnacją. Karczycho mu wiotczeje, a wszystkie otwory ciała jego wchłaniają natychmiast ogromne ilości estrogenu, a są to dawki burzące wiotkie zapory ze skisłego testosteronu. Mężczyzna w sklepie z garniturami popada w stan bezpłciowy i przetrwałnikowy, jakiego mogłyby mu pozazdrościć niesporczak z jednocyfrowym IQ, wylegujący się na Księżycu. Wejdźmy w detal i okoliczności tych zdarzeń.

Oto do polskiego sklepu z garniturami, w którym obsługa jest zazwyczaj damska, mężczyzna przychodzi zawsze z kobietą. Z mamusią, żoną, córką albo i z narzeczoną. Dlaczego? Ano dlatego, że mężczyzna polski samodzielnie jest w stanie kupić sobie tylko kilka przedmiotów: flaszkę, sterydy, koszulkę z krótkim rękawkiem, maczetę, przecenioną powieść Wildsteina albo antysemitki biuletyn. Jest w stanie zlecić sobie tatuaż i wypić kefir. Na tym jego samodzielność zaku-powa się kończy. Czasem jednak trzeba pójść na wesele, gdzie wciąż oczekiwany jest występ w garniturze. Ponieważ reprezentacyjną estetyką rodziny polskiej rządzi kobieta, koleś nie ma wyboru. Musi z nią pójść do sklepu z garniturami, a jest to z jego punktu widzenia wizyta w miejscu kaźni. I słusznie. „Nie stój tak, stań inaczej, tak będzie dobrze, tak będzie jednak niedobrze”. I, jak wiemy, jest zazwyczaj bardzo niedobrze. Nie zdarzyło nam się oglądać mężczyzny polskiego wiążącego sobie krawat. Wiąże mu go zawsze ekspedientka albo matka. To jest minimum tego, co mężczyzna polski musi przeżyć, będąc w obcym mu przebraniu, gdy mamusię, czyli żonę wraz ze sprzedawczynią, folgują sobie po kobiecemu. Jakie są reakcje jego organizmu, opisaliśmy wyżej, towarzyszy im oczywiście afazja i nieskrywany częstomocz. Taka jest prosta prawda o polskim mężczyźnie.

Wydawałoby się, że mógłby on zemścić się podczas wspólnej wizyty w sklepie ze stanicami. Ale nie. W sklepie ze stanicami mężczyzna polski jest jeszcze bardziej beczynny niż w sklepie z garniturami. To ostatnie to gwóźdź wbity w fałszywy obraz męskiego świata, w imaginację polskiego mężczyzny. Każdy to powie, kto widział.

©P

BARTOSZ MINKIEWICZ





PREMIERA!

Tylko w sklepach z dobrą prasą oraz na powszech.net/zwierzenia

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO**



S-NET

GRUPA TOYA

ZAAWANSOWANE TECHNOLOGICZNIE USŁUGI TELEINFORMATYCZNE DLA BIZNESU

**INTERNET
TRANSMISJA DANYCH
USŁUGI GŁOSOWE
HOSTING I CLOUD COMPUTING**

łatwiejszy dostęp / wyższy poziom niezawodności / więcej usług

WYCIĄGAJ Z SIECI ILE SIĘ DA.

Kupuj Internet on line*

- NATYCHMIASTOWA weryfikacja zasięgu
- spersonalizowana OFERTA
- sprawny proces zamawiania
- SZYBKA INSTALACJA

*Innowacja roku: pierwszy konfigurator usług telekomunikacyjnych w Polsce

www.s-net.pl/konfigurator

Kontakt: +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl